

KULISY GRY O WPŁYWY W TELEWIZJI

Kto zyskał, a kto stracił
na walce o fotel szefa TVP



Marek Jurek:
czas wypowiedzieć
konwencję stambulską

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 12/365 16-22 MARCA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

NOWY SEZON
„WESTWORLD”

– PIOTR GOCIEK
RADZI, CZY WARTO
GO OBEJRZEĆ



Putin wiecznie żywy

Minister kontra wirus

Kim jest Łukasz Szumowski,
szef resortu zdrowia

PLUS RAPORT „DO RZECZY”:

- + WYBORY PREZYDENCKIE PÓŹNIEJ?
- + ZARAŻY PUSTOSZĄCE DAWNĄ POLSKĘ
- + JAK KRYZYSY WPŁYWAŁY NA GOSPODARKĘ

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 67,5 tys. egzemplarzy

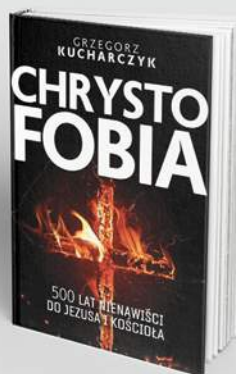
PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**DO
RZECZY** TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

GRZEGORZ KUCHARCZYK
„CHRYS TOFOBIA.
500 LAT NIENAWIŚCI
DO JEZUSA I KOŚCIOŁA”

~~347~~ zł



139,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
208 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zdrowy rozsądek kontra histeria

Zagrozenie związane z epidemią koronawirusa nie tylko nie maleje, ale wręcz, jak pokazują dane statystyczne, rośnie. W związku z tym rząd przygotował specjalną ustawę, ogłosił też decyzję o zamknięciu szkół, przedszkoli, kin. Minister zdrowia ogłosił zaś w całej Polsce stan zagrożenia epidemicznego.

Jest prawdą, że oprócz rzeczywistej epidemii – tej, która polega na faktycznych przypadkach zapadnięcia w stan choroby – mamy pierwszy raz do czynienia z czymś, co powoli zaczyna przypominać psychozę. Masowe wykupywanie towarów w sklepach, przekonanie, że lada moment rozpęta się prawdziwy armagedon. Tym, co nie mniej niebezpieczne niż sama epidemia, jest histeria. Różne są jej powody.

Pierwszym jest nowa sytuacja, wynikająca z rozwoju mediów społecznościowych, i szybkość

informacji w Internecie. Drugim to nowość sytuacji – od dawna już współczesne państwo nie musiało się mierzyć z czymś, co całkiem nieoczekiwane, z zagrożeniem spowodowanym przez śmiertelną potencjalnie zarazę. Wreszcie, co też jest nowe, w przypadku Polski walka z koronawirusem nałożyła się na kampanię wyborczą. To nieszczęśliwy zbieg okoliczności, powoduje bowiem to, że silne emocje towarzyszące epidemii mogą zostać łatwo wykorzystane do zdobycia poparcia politycznego. Skoro nie wiadomo do końca, bo nikt nie może mieć pewności, jak najlepiej radzić sobie z zagrożeniem, łatwo rzucić różne radykalne propozycje. To właśnie jest przyczyną rozmaitych absurdalnych pomysłów, głównie ze strony posłów opozycji. A to domagają się oni powszechnych testów na obecność koronawirusa u wszystkich Polaków, a to szerzą teorie spiskowe, a to obwiniają rząd o bierność.

Na razie – myślę, że w dużej mierze jest to zasługa odpowiedzialnej i roztropnej postawy ministra Łukasza Szumowskiego – histerię udaje się trzymać w ryzach. Warto przypomnieć, że minister na wiele tygodni przed pojawieniem się w Polsce pierwszych przypadków choroby wyraźnie mówił, że tak się stanie. Podobnie i teraz nie boi się wskazywać, jaki może być rozwój epidemii. Konsekwentnie jest też pierwszym, który informuje o nowych przypadkach zakażenia, i robi to spokojnie i rzeczowo. To bardzo ważne, bo dzięki temu udaje mu się, na tyle, na ile to możliwe, panować nad sytuacją i nad społecznym lękiem. Minister najwyraźniej dobrze rozumie, jak ważną rzeczą jest dobra, sprawna i szybka komunikacja. Lepiej, żeby nawet złe informacje były podawane przez niego, niż docierały do opinii publicznej w inny, na pewno już wielokrotnie wyolbrzymiony, sposób. Histeria ma to do siebie, że karmi się okrucami informacji. W stanie pobudzenia i pod wpływem strachu ludzie kupują najbardziej nieprawdopodobne opowieści. To zaś może z kolei pociągać za sobą działania irracjonalne i w dłuższej perspektywie szkodliwe.

Najbliższy tydzień pokaże, jak podjęte przez rząd środki wpłyną na przebieg epidemii. Czy Polska będzie przypominać Niemcy – gdzie śmiertelność spowodowana przez koronawirusa przypomina tę, którą wywołuje grypa, czy Włochy – gdzie liczba zmarłych i zakażonych jest największa na świecie. Na pewno w realizacji pierwszego scenariusza pomogą zdrowy rozsądek i opanowanie. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

14 KATARZYNA PINKOSZ
MINISTER NA TRUDNY CZAS
Kim jest szef resortu zdrowia

16 ROZMOWA Z PROF. ŁUKASZEM SZUMOWSKIM
LEKCEWAŻENIE EPIDEMII PROWADZI DO ŚMIERCI NAJSŁABSZYCH

18 ŁUKASZ ZBORALSKI
WALKA O CZAS

20 ROZMOWA Z PROF. NORBERTEM MALISZEWSKIM
SITUACJA KRYZYSU TO TEST PRZYWÓDZTWA

22 ŁUKASZ WARZECHA
WYBORCZY STAN NADZWYCZAJNY

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WOJENKA NA GÓRZE
Kto zyskał, a kto stracił w grze o fotel szefa TVP

27 PIOTR SEMKA
NOWY PREZES TVP – MILCZEK Z GDAŃSKA

30 MAREK JUREK
GENDER: CZAS POWIEDZIEĆ „NIE”

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRAWO KALEGO

34 TOMASZ ROWIŃSKI
KANDYDAT BEZ WŁAŚCIWOŚCI

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
OBRONIĆ EUROPEĘ PRZED ROSJĄ

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŚLEDZCY DALEJ SZUKAJĄ IWONY

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
DUSZA ANIOŁA ZEMSTY
Powrót hitu HBO

45 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM HERDZINEM
MUZYCZNY ALPINISTA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
WYZNANIA REWIZJONISTY
Religia w oczach filozofa
Leszka Kołakowskiego

HISTORIA

58 ROZMOWA Z LESZKIEM ŻEBROWSKIM
TO BYŁ NAJAZD ARMII CZERWONEJ
Żołnierze wyklęci stali się obiektem manipulacji

62 MACIEJ ROSAŁAK
POLSKI ŚLAD CZARNEJ ŚMIERCI



65 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ZAPOMNIANI, CZYLI NIEZNANE OBLCZE POLSKOŚCI

ŚWIAT

68 ROZMOWA Z HANSEM-GEORGE MAASENEM
ERA MERKEL TO KROK WSTECZ
Polityk CDU: Niemcy same się izolują w Europie

72 GABRIEL MICHALIK
PUTIN WIECZNIE ŻYWY

74 MARIA KĄDZIELSKA
INDONEZYJSKA ROZGRYWKA

EKONOMIA

80 JAKUB WOZINSKI
BOLESNY CZAS KOREKTY
Gospodarka wróci do normalności

STYL

86 ROZMOWA Z DARIUSZEM JARONIEM
NARTY TRĄCĄCE NAFTALINĄ
Polscy narciarze w II RP

O ZDROWIU

88 ROZMOWA
Z PROF. KRZYSZTOFEM KAŁWAKIEM
LICENCJA NA ZABIJANIE BIAŁACZKI
Pierwsze podanie CAR-T u dziecka w Polsce

90 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM GONTKIEWICZEM
NOWE TECHNOLOGIE SĄ PO TO, BY POMAGAĆ

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (61), WARZECHA (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (83), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), SIEDLECKA (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gódek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminski**,
Dominika Cosi (*Brusela*), **Tomasz Culiernik**, **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalcuk** (*Rzym*),
Jakub Kowalski, **Grzegorz Kucharczyk**, **Tomasz Leniewicz**, **Piotr Litka**,
Ewa Łosińska, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**, **Monika Małkowska**,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkos**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Joanna Siedlecka, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Toralski, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Jakub Woźniak, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL, redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**,
Anna M. Piotrowska, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibińska**, **Damian Cygan**,
Jan Fiedorczuk, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcik**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Mazena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Andrzej Hulimka/FORUM**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 67,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

i w listach przewija się temat numer
jeden ostatnich dni. Choć nie tylko
o tym. Korespondencję elektroniczną
prosimy kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

„Wykańczanie strachem”,
Łukasz Warzecha, „DR” 9/2020

Szanowna redakcjo, spodobał mi się
artykuł redaktora Łukasza Warzechy
„Wykańczanie strachem”. Klimatyzm
lub ekologizm to kolejna antyludzka
ideologia, która wchodzi w naszą
cywilizację. [...]

Jestem mieszkańcem Krakowa od kilku
lat, a w swojej pracy często spotykam
się m.in. z ubogimi osobami mieszkają-
cymi na obszarach peryferyjnych miasta
w starych domach bez instalacji gazo-
wych. Podczas tej na szczęście wyjątkowo
łagodnej zimy po raz pierwszy spotka-
łem ludzi, którzy marzną we własnych
domach. Czegoś takiego nie widziałem
nawet w socjalnych barakach.

Uchwała antysmogowa, która weszła
w życie w Krakowie we wrześniu 2019 r.,
zakazuje spalania paliw stałych w celach
grzewczych, tj. węgla i drewna. [...]

Ludzie, których spotykam, nie mają
w domach instalacji gazowych ani nie
mogą ich łatwo założyć. Nie stać ich na
ogrzewanie się prądem, a nawet jeśli
otrzymają jakąś dopłatę, to instalacja
elektryczna niekoniecznie wytrzyma.
[...] Do tej pory ogrzewali się drewnem lub
węglem z niewielkim dodatkiem energii
elektrycznej. Obecnie próba dogrzania
się oznacza dla nich nalot drona straży
miejskiej lub przyjazd patrolu. [...] Zwykle
są to osoby starsze w wieku emerytalnym,
mało zaradne, do tego w słabej sytuacji
ekonomicznej. W mieście widoczne były
plakaty z zachętą do donoszenia na sąsia-
dów z napisami: „Widzisz dym z komina,
dzwoń...” [...] Eliminacja ogrzewania
węglem i drewnem, jeśli zostanie wprowa-
dzona powszechnie, zwiększy drastycznie
uzależnienie Polski od gazu, który gdzieś
trzeba kupić, albo od energii elektrycznej,
którą gdzieś trzeba wytworzyć.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Koronawirus w polityce

Ataku na Kościół (zakazać mszy, księży
się spóźniać etc.) się spodziewałam, tego,
że koronawirus będzie w jakimś stopniu

wykorzystywany politycznie, też. Ale
polska opozycja po raz kolejny swoim za-
chowaniem bije na głowę moje najśmiel-
sze wyobrażenia. Naprawdę nie spodia-
wałam się szerzenia fake newsów (takich
jak o izolatkach tylko dla VIP-ów z PiS)
czy tak nieodpowiedzialnych i bzdurnych
pomysłów jak „testy na koronawirusa
dla każdego obywatela”. Nie wiem, co
chce opozycja w ten sposób osiągnąć,
ale zawsze sądziłam, że celuje raczej
w „wykształconych, z dużych ośrodków”
itp. Naprawdę nie trzeba mieć doktoratu,
żeby już na pierwszy rzut oka rozpo-
znąć niemające nic wspólnego z logiką
propozycje, które sięgają tylko zamęt i pani-
kę, a których realizacja oznaczałaby co
najwyżej paraliż służb mających czuwać
nad naszym zdrowiem i życiem.

I jeszcze jedno. Gdy słucham i obser-
wuję ministra Szumowskiego (który swo-
ją drogą wygląda na strasznie wyczerpa-
nego), cieszę się, że ministrem zdrowia
nie jest pani Kopacz ani pan Arłukowicz.
Mimo wszystko czuję się wtedy bezpiec-
zniej! Zdrowia wszystkim państwu życzę!

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Pomnik Bitwy Warszawskiej

Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie informuję, że o cały miesiąc
pospieszyliście się z primaaprilisowym
żartem, a i tak jest on zbyt „grubymi ni-
mi szyty”, by ktoś dał się na niego nabrać.
Nikt bowiem nie da wiary, że ten wielki
świder wkręcony w chodnik to zwycięski
projekt pomnika mającego upamiętniać
stulecie Cudu nad Wisłą.

Gdyby jednak – o zgrozo! – okazało
się to prawdą, to „młodzi niedouczeni
z wiejskiej sieni” byliby zachwyceni
brakiem w projekcie takich „przestarza-
łych” symboli jak krzyż czy orzeł, a forma
słupa zachęcałaby do spacerów z psem
w razie braku drzew w okolicy.

Pozostając z nadzieją na stosowne spro-
stowanie, przesyłam wyrazy szacunku.

Paweł Zieliński, Kraków

Wyjaśnienie

W numerze 10/2020 tygodnika „Do
Rzeczy” pod wywiadem Tomasza
Zbigniewa Zaperta (na str. 69) zostało
użyte zdjęcie Andrzeja Fedorowicza –
aktora – zamiast Andrzeja Fedorowicza
– dziennikarza i publicysty. Za pomyłkę
przepraszamy obu Panów oraz Czytel-
ników.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

O czym przypomniał koronawirus?

Po pierwsze, o tym, o czym zapomina każde społeczeństwo pogrążone w dobrobycie i spokoju. Że nie jesteśmy w 100 proc. panami własnego losu. Że zjawiska wywracające nasze uporządkowane życie, o których czytaliśmy w kontekście dawnych epok, w każdej chwili mogą wrócić. A to, jak długo potrwają, jest poza naszym wpływem. Że jutro może być gorzej, a nawet bardzo źle. Że trzeba gromadzić oszczędności i najbardziej efektywną i sprawną wspólnotą jest rodzina. Że ideologie kpiące z rodzinnych wigilii i lansujące zamiast tego hedonistyczny wyjazd na „winter holidays” w tropiki z przyjacielem bądź przyjaciółką to jedynie atrybut czasu dostatku i beztroski.

Po drugie, że w chwilach kryzysów decyduje siła i sprawność niezależnego państwa, a nie najwspanialszych nawet wspólnot. Te mogą pomóc w korygowaniu różnych akcji, ale

nie zastąpią własnego państwa. Szczególnie że koronawirus zamyka granice i odwołuje loty, a za chwilę być może zagrozi połączeniom kolejowym. Że każde państwo musi liczyć się z turbulencjami i mieć zapasy żywności, leków i wody.

Po trzecie, że zbytne skupienie się na tym, by źródła energii były rygorystycznie przyjazne dla środowiska może stworzyć systemy przesyłu energii zbyt kruche i zawodne wobec sytuacji kryzysowych. I że państwo musi mieć zróżnicowane źródła energii.

Po czwarte, że politycy muszą wiedzieć, kiedy zatrzymać się z wykorzystywaniem pandemii do politycznej nawalanki. Ponieważ w sytuacji naelektryzowania i lęku opinii publicznej każde niesprawdzone oskarżenie, każde „granie” wirusem może doprowadzić do paniki. I dotyczy to zarówno rządu, jak i opozycji.

I po piąte, lęk przed koronawirusem już pokazał nam

jak łatwo przychodzi ludziom lewicy i obozu liberalnego czynić z Kościoła obiekt żądań i podejrzeń mających narzucić regulacje życia wspólnotom religijnym bez poszanowania ich autonomii. Każdy kataklizm bywa okazją do uderzenia w Kościół pod pozorem racjonalnymi hasłami dobra wspólnoty.

I wreszcie na koniec warto zacytować mądre słowa jezuity, o. Roberta Wawera skierowane do ludzi wierzących: „W tym roku będziemy mieli jedno z najlepszych rekolekcji wielkopostnych. Ograniczenie imprez, wydarzeń rozrywkowych, kontaktów z innymi, dużo czasu na refleksję, w obliczu niepewności jutra i niebezpieczeństwa śmierci”. Te słowa to nie jest napawanie się sytuacją „gdy trwoga, to do Boga”. To propozycja mądrego wyciągnięcia wniosków z krytycznej sytuacji.

Skorzystajmy z tej szansy. ©©

NOWY SPOSÓB NA WITANIE SIĘ

W czasie pandemii koronawirusa eksperci odradzają podawanie sobie dłoni, by w ten sposób nie przenosić choroby. Padają różne propozycje, czym ten tradycyjny gest zastępować. Niektórzy radzą, by dotykać się łokciami. Inny sposób wybrał prezydent USA i premier Irlandii podczas spotkania w Białym Domu w ubiegłym tygodniu. Donald Trump i jego gość w gabinecie owalnym – Leo Varadkar – wykonali gest złożenia dłoni „namaste”. To tradycyjne indyjskie przywitanie i wyrażenie szacunku. (luz) ©©



FOT. LEAH MILLIS / REUTERS / FORUM

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przezroczysta Unia

Powiada przysłowie, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Epidemia koronawirusa pokazała, że dotyczy to nie tylko przyjaciół – dowiadujemy się także dzięki niej, co nam jest tak naprawdę potrzebne, a co nie.

Z wielką uwagą szukałem w informacjach o walce z zarazą takich, które dotyczyłyby wpływu

ale gdyby nie latały, przewoźnicy musieliby płacić kary.

Poza tym wszystko wskazuje, że w chwili realnego zagrożenia Unii Europejskiej mogłoby równie dobrze nie być. Każde państwo i tak musi sobie radzić z kryzysem samo. Cała bizantyjska biurokracja, pochłaniająca miliardy euro, hektary europejskich biurek, kilometry korytarzy, tony produkowanych dyrektyw, które na razie okazują się zupełnie na nic. Owszem, gdy trzeba walczyć z ociepleniem klimatu w perspektywie nadchodzących 40 lat, tresować w praworządności dzikusów ze środkowej Europy, promować homoseksualizm i zwalczać w imię nowomodnych idei o „płynnym genderze” religijne zabobony i przesady, jakoby istniały dwie płcie i miały charakter biologiczny – to tak, wtedy te suto karmione tłumy unijnych reprezentantów są w swoim żywiole. Pamiętamy też, jak chętnie nadstawiali

piersi do orderów, gdy noblowska kapituła postanowiła wyrazić Unii wdzięczność za to, że dzięki niej od ponad 70 lat nie było w Europie wojny.

Ale gdy pojawił się problem realny, naprawdę wymagający współpracy transgranicznej i koordynacji działań – Unia po prostu go nie zauważyła. I, z wrażliwością, dotknięte koronawirusem państwa nie zauważyły Unii. Jej istnienie wyraziło się w tym, że dostarczyła sali do spotkania ministrów zdrowia unijnych państw. Jednak, umówmy się, można by taką salę wynająć w dowolnym ze świecących dziś pustką hoteli nieskończenie taniej.

Sprawa nie jest dziś pilna, ale kiedy już epidemia (oby z najmniejszymi stratami) wygaśnie, warto by było o tym pomyśleć i wyciągnąć wnioski, póki jeszcze w ogóle da się europejską współpracę pchnąć z powrotem na właściwe tory. © ©

Gdy pojawił się problem realny, naprawdę wymagający współpracy – Unia po prostu go nie zauważyła

na sytuacji organów Wspólnoty Europejskiej. Znalazłem tylko jedną: że za sprawą unijnej dyrektywy linie lotnicze zmuszone są stale utrzymywać połączenia, z których prawie nikt nie korzysta. Samoloty latają puste, przepalając benzynę,

CZERWONE I CZARNE

Oczekiwana zmiana narracji



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Ktoś ukrywa informacje o wyniku testów koronawirusa – grzmiał poseł Jan Grabiec, rzecznik Platformy. A w ślad za nim zarzuty pod adresem rządu o ukrywaniu epidemii powtarzali czołowi politycy PO. Można stawiać pytania o wiarygodność polityków, którzy w obliczu kryzysu podważali zaufanie do instytucji państwowych, ale na tę kwestię akurat odpowiedzą wyborcy przy urnach.

Rzecz właśnie w wyborach; do mediów bliskich Platformie i polityków opozycji dotarła oczywista prawda – w sytuacji kryzysu społeczeństwo szuka oparcia w stabilnym rządzie,

a jeśli ten daje radę, to zyskuje w słupkach zaufania społecznego. To partii Budki na rękę nie jest, więc nastąpiła zmiana retoryki. Bohater niejednego już żenującego spektaklu, marszałek Senatu Tomasz Grodzki, przekonywał, że koronawirus to w sumie pikuś, bo rak i grypa oznaczają więcej ofiar, zaprezentował też – na własnym przykładzie – jak lekceważyć ochronne procedury. Jeszcze dalej poszła „GW” w publikacji „Nie pozwólmy im się zastraszyć”, przekonując, że „Koronawirus minie, państwo policyjne zostanie”.

Czytelny sygnał – olewajcie zalecenia, łamcie prawo i nie

dajcie się zastraszyć państwowym urzędnikom. Życie pokazuje, że bezkrytycznie wierzący w brednie o rzekomym quasi-faszyzmie w Polsce teraz też uznają, iż tak trzeba, bo to „podziemny opór obywatelski” czy coś w ten deseń.

Wirus nie przeminie, co najwyżej zmutuje i pozostanie jak grypa, ustawa też zostanie, przyda się władzy – każdej – do szybkiego reagowania w sytuacji epidemiologicznego zagrożenia. Pozostanie też wstyd za polityków i dziennikarzy, którzy dziś dla celów politycznych postanowili poigrać sobie z bezpieczeństwem rodaków. © ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Sodoma i gomora

Neapol jest od lat stolicą włoskiego bezprawia. Bandyterka jest tam zawodem nawet dorastającej młodzieży. Zjawisku na imię „camorra”. Dlatego opisujące to zjawisko słynna książka, film, a potem serial TV noszą tytuł „Gomorra”.

Kilkanaście dni temu po północy w centrum miasta 15-latek zsiadł ze skutera pilotowanego przez rok starszego kolegę i podszedł do parkującego w pobliżu samochodu. Przykładając rewolwer do głowy kierowcy, zażądał zegarka. Miał pecha. Trafił na 23-letniego karabiniera w cywilu, który odwoził dziewczynę do domu. Karabinier powiedział chłopcu, kim jest, co nie zrobiło na bandycie wrażenia, więc użył swojej broni. Pierwsza kula trafiła bandytę w pierś i odrzuciła o kilka metrów, a druga w szyję. Zmarł w szpitalu. W odwecie około setka młodocianych bandytów zdewastowała pogotowie ratunkowe szpitala. Pobici zostali Bogu ducha winni medycy i pacjenci. Pogotowie trzeba było zamknąć, a oczekujących na pomoc ewakuować. Następnie młodzieżowe gangsterskie komando ostrzelało posteru-

nek policji, w którym pracował karabinier.

Zdaniem ojca chłopca i neapolitańskiej młodzieży karabinier złamał kodeks honorowy, bo wypalił drugi raz, zamiast zadowolić się pierwszym trafieniem. Kilka dni później ulicami centrum miasta przeszedł pochód gangsterskiego narybku z białą trumną, złorzecząc policji i wdając się w bójkę z karabinierami. Prokuratura z urzędu wytoczyła karabinierowi proces o zabójstwo. Kilku publicystów poważyło się napisać, że bandyterka jest zawodem bardzo wysokiego ryzyka, a chłopak rzucił wyzwanie losowi i pojedynek przegrał. Sugerowali, że karabinierowi, który bronił nie tylko siebie, lecz także swojej dziewczyny, należy się order za odwagę, a nie proces.

Rozpętało się piekło. Postępowcy, jak zwykle, uznali, że nieletni bandyta w szczególności padł ofiarą żadnego krwi karabiniera, a w ogóle źle zorganizowanego neapolitańskiego społeczeństwa. Ideologia znów wzięła górę nad rozumem. Jak będziecie w Neapolu, uważajcie na siebie i na postępowców. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Zanim Holownia zrezygnowała ze
spotkań z wyborcami, ci zrezygnowali
ze spotkań z Holownią...



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Test baristy

Nie ma i nie będzie przez najbliższe tygodnie ważniejszej sprawy na Twitterze od koronawirusa, kampanii wyborczej i troski o losy pacjentów onkologicznych. Przed państwem galeria empatii. Zaczniemy od działu badawczego. „Czy ktoś weryfikował testy PiS-u pod kątem tego, czy one rzeczywiście wskazują obecność koronawirusa? Przecież równie dobrze ich »naukowość« może być podobna jak podkomisji smoleńskiej. Czyli żadna” – zaniepokoił się Roman Giertych.

Na szczęście nie tylko jemu leżało na sercu zdrowie Polaków. „Wybrał propagandę nad życie ludzi. 21 dni kunktatorstwa, kupczenia i kręćtwa. [...] Nikt Panu już ręki nie poda. I to nie ze względu na #koronawirus! Pokazuje Pan pacjentom #gestLichockiej!” – skomentował spokojnie decyzję o przekazaniu środków mediom publicznym Michał Szczerba. „Czy prezydent zapomniał, że codziennie – dzień w dzień!!! umiera w Polsce prawie 300 osób na nowotwory złośliwe?! Gdybyśmy dołożyli na walkę z nimi dodatkowe 2 mld zł, kilkanaście tysięcy osób można by uratować. Jestem głęboko rozczarowany bezduszną decyzją PAD” – dodał lekarz i marszałek Tomasz Grodzki. Zapominając jednak o dodatkowych 3 mld na leczenie raka.

I jeżeli gdzieś w przestrzeni medialnej pojawi się za dużo złych emocji, to błyskawicznie studzą je wolne media. „Andrzej Duda cały czas się uczy. Wcześniej podpisywał, jak leci, ustawy. Wczoraj zademonstrował, że potrafi też podpisywać wyroki śmierci” – podsumował rozważnie Tomasz Lis. Przy okazji, gdyby komuś przyszło do głowy panikować, proszę brać przykład z Jarosława Kuźniara. „Zamykanie szkoły po szkole, wyganianie dzieciaków z przedszkoli, wygaszanie imprez, blokady kin, muzeów, teatrów to czyste szaleństwo. Od polityków i mediów oczekiwałbym opanowania, dojrzałości, braku manipulacji i sensacji. Wiem, za dużo” – uspokoił.

Po chwili doszła kolejna refleksja. „Pisałem ten post przez 30 sekund z wirusami na klawiaturze, w biurze, gdzie ktoś kichnął. Wczoraj kawę parzył mi barista, który był na nartach we Włoszech. Cholera wszyscy żyjemy. Mało tego, wygląda na to, że #koronawirus też będzie żył długo. I mutował, jak grypa robi od lat” – stwierdził dziennikarz. Skoro barista żyje, to wszyscy możemy odetchnąć z ulgą. ©©



FOT. PAMEŁ GROMADA

MOŻNA? MOŻNA

Sprawa koronawirusa bardzo uaktywniła polskich celebrytów. I jak to bywa, jedni wypowiadają się nader rozsądnie, inni bez sensu, a jeszcze kolejni tak, że głupiej się nie da. Na pochwałę zasługuje piosenkarka Cleo, która wiedząc, że ma wśród fanów dużo młodzieży szkolnej, zaapelowała do nich o to, by nie wychodzili z domu. „Odwołano zajęcia w szkołach, koncerty z konkretnego powodu. Kwarantanna to przymusowe czasowe odosobnienie, a nie ferie i zabawa na całego. Proszę was, abyście nie wychodzili masowo do zamkniętych pomieszczeń typu kluby, knajpki, puby i galerie handlowe. Włosi w ten sposób doprowadzili się do dramatycznej sytuacji. Uczmy się, błagam, na cudzych błędach. Bądźmy rozważni, w przeciwnym razie dojdzie niebawem do podobnej tragedii” – napisała, dodając, że nie chce wzbudzać paniki, i wierzy, że wszystko „się powoli ułoży i będzie dobrze, jak będziemy grać w jednej drużynie”. Jednak czasem polski show-biznes potrafi pozytywnie zaskoczyć. Rzadko, bo rzadko, ale jednak!

UŻYWAJMY GŁOWY

W podobnym tonie próbowała się wypowiedzieć także inna celebrytka – Julia Wieniawa. Niby chciała dobrze, ale wyszło, jak wyszło. – Właśnie dostałam zaproszenie na piątkową imprezę, gdzie cytuję: „Będzie darmowe jedzenie, darmowy alkohol, coś tam, coś tam. Impreza do rana”. Nie po to zostały zamknięte wszystkie kina, teatry, muzea i inne imprezy masowe, żebyśmy my teraz świetnie się bawili, nie chodzili do szkoły i imprezowali w klubach, gdzie w sposób najprostszy można zarazić się wirusem – oburzyła się w swoim wpisie. Dodała też, że ona sama planuje wychodzić z domu w rękawiczkach i maseczce. Gdy uświadomiono ją, że maseczka przed niczym jej nie chroni, odpowiedziała: – Nie wiem, jest tych teorii dużo, więc przepraszam, nie jestem w tym specjalistką. Wiem, że sytuacja jest nowa, sama nie wiem, jak się odnaleźć w tym wszystkim, ale błagam was, po prostu bądźmy mądrzy. Używajmy głowy. Bardziej chyba do siebie samej niż do innych, ale w sumie dobre i to.

CO KTO MA I GDZIE?

Były też reakcje zgoła inne. Oto była modelka Viola Kołakowska poczuła się wielce zgorszona tym, że Polacy ruszyli do sklepów robić

zapasy. Swojemu obrzydzeniu dała wyraz w dość pogardliwym wpisie. – Będą się wypróżniać. Dlatego wykupili cały papier toaletowy. Ja się zastanawiam, co wy macie w głowach? – zapytała. Na pewno mają w głowach więcej niż osoba, która wpadła na pomysł opublikowania takiego komentarza.

ODWOŁAĆ PANDEMIĘ!

Panią Violę przebił jednak nieoceniony Jarosław Kuźniar, o którym ostatnio jakby przycichło. Po stanowił więc przypomnieć o sobie z przypetą. „Zamykanie szkoły po szkole, wyganianie dzieciaków z przedszkoli, wygaszanie imprez, blokady kin, muzeów, teatrów to czyste szaleństwo. Od



FOT. FORUM

polityków i mediów oczekiwałbym opanowania, dojrzałości, braku manipulacji i sensacji. Wiem, że dużo” – stwierdził na Twitterze. „Pisałem ten post przez 30 sekund z wirusami na klawiaturze, w biurze, gdzie ktoś kichnął. Wczoraj kawę parzył mi barista, który był na nartach we Włoszech. Cholera, wszyscy żyjemy” – dodał jeszcze. Skoro tak, to luzik. Apelujemy do Światowej Organizacji Zdrowia, by odwołała tę całą pandemię! I to natychmiast! Bo skoro Kuźniar wypił kawę od baristy po urlopie we Włoszech i przeżył, to oczywiste jest, że nikomu nic nie grozi.

SKROMNOŚĆ BIJE PO OCZACH

Ten sam Kuźniar wziął właśnie udział w kampanii reklamowej pewnego trunku wysokoprocentowego. W ramach kampanii miał opisać sam siebie. I niestety to uczynił. „Nie jestem wyłącznie publicystą czy przedsiębiorcą. Tylko smakoszem, podróżnikiem czy dziennikarzem? Również nie. Bogaty? Intrygujący? Wyrafinowany? Bezpośredni? Nic z tych rzeczy. Jestem sumą ich wszystkich” – czytamy opis. Zapomniał jeszcze dodać, że skromny. A to przecież aż bije po oczach. ☹

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, w okolicach Dnia Kobiet dotarła do nas pozytywna informacja, iż osobosamica warana z Komodo w amerykańskim zoo rozmnożyła się bez żadnego udziału w tym procesie osoby fallusododatniej waraniej.

Tym samym natura pokazuje, iż tak naprawdę udział mężczyzny może zostać zmarginalizowany w każdym aspekcie życia wagino-osoby, które potrafią same zadbać o posiadanie potomstwa.

Nasze frendziary z kolektywu już zapowiedziały, iż podejmą próby zajścia w ciążę za pomocą medytacji, samokontroli i słuchania nagrań coachów motywacyjnych (of kors po to, iżby zyskać później prawo do wyboru).

W ten sposób chcą nam udowodnić, iż nasze role jako białych, heteronormatywnych mężczyzn są społecznie zbędne, ale też zaznaczyły, iżbyśmy nie brali tego osobiście, co – naszym zdaniem – jest nawet całkiem miłe.

Kiedy robi nam się smutno na myśl o koronawirusosobie, przypominają nam się słowa zatweetowane przez Jarka Kuźniara: „Zamykanie szkoły po szkole, wyganianie dzieciaków z przedszkoli, wygaszanie imprez, blokady kin, muzeów, teatrów to czyste szaleństwo” oraz „Wczoraj kawę parzył mi barista, który był

! to jest prawdziwa prezydent?!



na nartach we Włoszech. Cholera wszyscy żyjemy”.

Pocieszamy się bowiem, iż pomimo zamykania kolejnych instytucji są wciąż miejsca, w których elity tego kraju mogą się spotkać, wyluzować, a potem napisać jakiegoś mądrego tweeta ku pokrzepieniu serc.

My of kors doceniamy odwołanie lekcji, ale z innych przyczyn – im mniej młodzież będzie miała lekcji polskiego, historii i religii, tym lepiej dla przyszłości tego kraju i integracji europejskiej. Za to otwarte są nadal kawiarnie w galeriach handlowych, gdzie już niebawem będzie nas można spotkać realizujących swoje obowiązki dla korpo w ramach pracy zdalnej.

Spośród wszystkich możliwych konsekwencji pandemii koronawirusosoby zdecydowanie

zbyt mało miejsca poświęca się jednemu tematowi: mianowicie koronawirusosoba może pomóc utrzymać u władzy pis oraz Adriana xD

Dlaczego? Otóż, jak pewnie wiecie, iż jesteście świetnie wykształceni, w czasie kryzysów ludność zwykła zwracać się w stronę aktualnej władzy i szukać u niej pomocy oraz ratunku.

Boimy się, iż podobnie będzie tym razem i Polacy po raz kolejny nie dorosną do demokracji, wybierając Dudę ponownie na prezydenta. To bardzo niepokojąca perspektywa, przyznacie chyba sami? @@

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Lajcik

No i niestety, Gocha, musimy sobie już chyba do końca odpuścić spotkania z ludźmi.

Niestety?! Bartek, wiesz, jak mnie to cieszy? Przyłóżą jacyś PiS-owcy, jeszcze trzeba być dla nich miłym, tłumaczyć oczywistości, jakieś małe salki, smród, brud... Ja się tam nie realizuję.

Bronek też się nie realizował...

Że co?

Nie, nic. Ale musimy zrobić teraz kampanię w Internecie. Codziennie proponuję lajfa na jutubie i fejsie, może też coś na tiktoku, co najmniej dwie instastorys... Gdzie? Co?

No... Instastorys. Na Instagramie. To tam, gdzie te obrazki są?

Zdjęcia tam są.

No, nie wiem. Jak czytam czasem te komentarze w Internecie, to one straszne są. Raz przeczytałam,

że ktoś o mnie napisał, że głupia jestem. Wyobrażasz sobie?!

Muszę ci coś powiedzieć. Co?

To był lajczik. Co było?

Lajczik. Drobiazg. Popatrz, wrzuciłem na tłyterka filmik z tobą. A teraz komentarze poczytaj. O!... A!... Że... E!...

Słabo ci? Wody może? @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Apeluję do rządu o uruchomienie programu powszechnego dostępu do testów na #koronawirus”.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
kandydatka Koalicji Obywatelskiej
na prezydenta, we wpisie na Twitterze

Wirus wirusem, a tu kampania. No i wychodzi na to, że polityka wyprzedza epidemię. Na przykład sztab wyborczy objął Kancelarię Prezydenta kwarantanną. Już tłumaczymy. Otóż ponieważ rywalizacja między ciałami jest, a jakże, to i przejawiać się jakoś musi. I tak na przykład kancelaria przesłała do sztabu rozkład planowanych zajęć prezydenta Andrzeja Sebastiana, ale sztab za to nie wysłał do kancelarii listy zajęć planowanych dla kandydata Andrzeja Sebastiana.

Trwają też ciche dni między pałacem prezydenta Andrzeja Sebastiana a Nowogrodzką. Wiecie dlaczego. Chcielibyśmy zdementować jednak pogłoski, jakoby ostatnie spotkanie naczelnika państwa z osobą głowy państwa trwało aż 11 minut. Prawda jest taka, że droga od wejścia do pałacu prezydenckiego do gabinetu i z powrotem trwa trzy minuty. Stąd przekłamanie.

Rząd nasz jest miłościwy i ma dobre serce. Przekonali się o tym ostatnio polscy dystrybutorzy filmów. Dzień wcześniej, nim ogłoszono decyzję o zamknięciu kin, po cichutku poszedł na ten temat przeciek do zainteresowanych. Niektórym nerwy puściły i zaczęli już wtedy wysyłać do dziennikarzy poufne alarmujące e-maile o przekładaniu najbliższych premier na późniejsze miesiące.

Z cyklu: „Łatwe od powiedzi na głupie pytania”. Ponieważ z powodu koronawirusa oraz zamknięcia kin oglądaliśmy za dużo telewizji, odkryliśmy, jak, he, he, widz „Szkła kontaktowego”, he, he, pyta – taki żartowniś, he, he – „Jakie są konsekwencje, kiedy ktoś wyjdzie z kwarantanny po bułki?”, he, he. Odpowiadamy: Takie same, jak kiedy ktoś wyjdzie z kwarantanny po „Wyborczą”. Pięć tysiaków mandatu. He, he.

Apropos tefauenów. Niektórych zmroziła wieść, że stacja wprowadziła rotacyjny system pracy i rozważa emitowanie materiałów archiwalnych. My wspieramy

Proponujemy taki scenariusz: panowie przyjeżdżają, podpisują listę płac na pięć lat, po czym wracają. Świat byłby prostszy i piękniejszy

ten pomysł. Przecież i tak nikt się nie zorientuje. Dla przykładu postanowiliśmy porównać dla naszych czytelników programy z różnych lat. 2007: „pispispispis”, 2010: „pispispis”, 2015: „pispispis”, 2020: „pispispis”.

dwaj panowie



Wsumie jedynym oryginałem w tym towarzystwie, który miał coś interesującego do powiedzenia, okazuje się Kamil Durczok. Jak wyznała ostatnio jego ekspartnerka, zwykłą ją zapraszać na przechadzki słowami: „Chodź na spacer, mam w kieszeni dwie małpki”. Niestety, nie pozwalano mu tego mówić na wizji.

Stało się. Europa ma swojego Grodzkiego. Nie wiemy, czy na to zasługuje, ale z faktami się nie dyskutuje (chyba że są to „Fakty”). Europejskim Grodzkim został przewodniczący Parlamentu Europejskiego, David Sassoli. Orzeł ów wywinął następującego orła: z objętych epidemią Włoch przyleciał do europarlamentu, uściśnął jakieś setki dłoni zgromadzonych osobników z całej Europy, posiedział dzień, pokichał, poprychał, a następnie wrócił do domu we Włoszech i oświadczył, że teraz będzie pracować zdalnie i nigdzie się nie rusza. Jest w prawie. Za pracę w domu też dostanie wypłatę w ojro. Takie przepisy.

Skoro już o Parlamencie Europejskim. Z powodu koronawirusa przeniesiono ostatnie posiedzenie ze Strasburga do Brukseli, co było wydarzeniem bezprecedensowym, oraz skrócono je do jednego dnia. Wychodzi na to, że z epidemii są jednak jakieś pożytki. Nie mielibyśmy nic przeciwko skróceniu całej kadencji tego ciała do jednego dnia. Proponujemy taki oto scenariusz: panowie przyjeżdżają, podpisują listę płac na pięć lat, po czym wracają. Świat byłby prostszy i piękniejszy.

Na razie koronawirus w PE okazał się strasznie PiS-owski. Tak się bowiem składa, że podczas skasowanych dni obrad miała się odbyć debata nad strasznym brakiem wolności słowa i mediów w cierpiącej pod butem reżimu PiS-owskiego Polsce. Taki wniosek w każdym razie wpłynął do Komisji Petycji. Niestety, wywołana na świecie przez siepaczy Kaczafiego zaraza znów wygrała.

Inna ciekawa wiadomość z Brukseli. W związku z koronawirusem zakazano przychodzenia do pracy biurokratom, którzy ostatnio przebywali w terenach objętych epidemią. I podano długą listę krajów, których to dotyczy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wobec zagrożenia epidemią
koronawirusa i kryzysu migracyjnym
Parlament Europejski postanowił
przeprowadzić debatę nt. praworządności
w Polsce...



c e z e r y k r y j e t o r d

Nadzwyczajna kasta rozpaczliwie próbuje doprowadzić do tego, żeby przed 17 marca TSUE uznał sędziów Izby Dyscyplinarnej za niesędziów

W Brukseli są jednak także szkoły dla dzieci biurokratów. Tu też wydano stosowne zalecenia, ale na liście nie znalazły się Iran, Korea oraz Singapur. Oznacza to, że jeśli tata biurokrata był z rodziną na przykład w Singapurze, to tata i mama nie mogą chodzić do pracy, ale synek może chodzić do szkoły. Nas to nie dziwi, nazywamy to zjawisko „brukselską logiką”.

Mamy złą wiadomość dla kochanego posła Szczerby. To ten, który sygnął fake newsem o „VIP-izolatkach wyposażonych w respiratory” czekających na Kaczafiego w szpitalu wojskowym na Szaserów. Tak się składa, że mieliśmy okazję widzieć tamtejsze izolátky. Te zwykłe, i te rzekomo VIP. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że w VIP-owskiej jest telewizor. W dodatku, gdy leżał tam Kaczafi z chorym kolaniem, ustawiony ciągle na TVP Info. Hm, a gdyby profilaktycznie położyć tam kochanego posła Szczerbę? Mógłby

przy okazji poszerzyć horyzonty.

Mamy też złą wiadomość dla Bartosza Arłukowicza, który wykorzystał swoje kwalifikacje ministra zdrowia, by postawić w tefauenach ciekawą tezę, że PiS nagłaśnia sprawę koronawirusa, żeby odwrócić uwagę Polaków od TVP i Jacka Kurskiego. Mamy w Polsce testy na wykrycie koronawirusa. Testów na wykrycie ciężkich przypadków paranoi póki na razie wynaleziono.

Uwaga, będzie żarcik z gatunku koszarowych. Zainspirowany losem pewnego generała. Jak nazywamy żołnierza, który złapał koronawirusa? Koronawiarus! Urażonych uspokajamy: ludzie, naprawdę, Polacy żartowali nawet we wrześniu 1939 r. albo podczas powstania warszawskiego.

Generał Jarosław Mika (tak, to on był inspiracją) przywłókł koronawirusa z Niemiec z narady wojskowych NATO. Jednym z punktów narady było

omówienie zagrożeń dla armii Sojuszu wynikających z epidemii koronawirusa. To jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy generałowie znaleźli się na pierwszej linii frontu.

Zaraza zaraza, ale demokracja sama się nie obroni. Nadzwyczajna kasta rozpaczliwie próbuje doprowadzić do tego, żeby TSUE uznał sędziów Izby Dyscyplinarnej za niesędziów jeszcze przed zgromadzeniem, które ma wytypować kandydatów na nowego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Kasta by z tym na pewno nie zdążyła, ale los rzucił jej szalupę ratunkową – ze względu na zarzę termin typowania przełożono z 17 na 31 marca.

Na razie w kuluarach gmachu Sądu Najwyższego przy placu Krasińskich krążą dwa nazwiska potencjalnych następców Małgorzaty Gersdorf. Zachowano parytet płci. Kandydatem płci żeńskiej ma być Małgorzata Manowska, kandydatem płci męskiej ma być sędzia Wróbel. Problem w tym, że nie wiemy dokładnie który, bo jest ich dwóch. Inna sprawa, że to bez znaczenia. Prezydent Andrzej Sebastian na pewno będzie w tym przypadku wolał kandydata płci żeńskiej.

Tymczasem polskiemu centrum państwowej przemocy, którym jest ulica Rakowiecka w Warszawie, wyrwano kolejne zęby. Po likwidacji sławnego czy raczej osławionego, a właściwie niesławnego więzienia z Rakowieckiej wyniosła się właśnie Prokuratura Krajowa. I tu musimy odnotować postęp. Dosłownie. Nowy adres najważniejszego prokuratora w kraju to obecnie ulica Postępu. Też w Warszawie. Na szczęście wyprowadzki z Rakowieckiej nie planują na razie ani MSWiA, ani ABW, ani Sztab Generalny, ani KRS, ani tym bardziej jezuici. Co nas cieszy, gdyż jesteśmy konserwatystami.

Na koniec przypominamy: w związku z zamknięciem kin naród ma teraz więcej czasu na czytanie. A skoro już macie czytać książki, to czytajcie nasze. Nie ma takiego drugiego tygodnika na rynku, którego autorzy napisaliby łącznie tyle tytułów, ile autorzy „Do Rzeczy”. No i poza tym książkę może zamknąć tylko czytelnik, a nie rząd. ©

Na konferencjach prasowych jest rzeczowy, odpowiedzialny, zdecydowanym tonem odpowiada na pytania dziennikarzy o kolejne przypadki zachorowań, rozprzestrzenianie się koronawirusa, stan zabezpieczenia w respiratory, maseczki, kombinezony, liczbę łóżek zakaźnych i zapewnia, że liczba wykonanych testów jest odpowiednia. Wyjaśnia sytuację: trochę tak, jakby miał przeprowadzić zabieg ablacji lub wszczepienia miniaturowych urządzeń wspomagających pracę serca – w czym specjalizuje się jako kardiolog – i właśnie tłumaczył pacjentowi, na czym będzie polegać zabieg i jakie są rokowania. Mówi o podejmowanych działaniach, tłumaczy ich sens, ale nie kryje, że nie wie, jaki będzie efekt.

LEKARZ, NIE POLITYK

Przy okazji koronawirusa kilka razy dał się poznać jako osoba, która nie boi się niekonwencjonalnych zachowań. Gdy Małgorzata Kidawa-Błońska pisała na Twitterze, że „wzywa premiera Morawieckiego i rząd do ujawnienia prawdy o przypadkach koronawirusa w Polsce”, nie odpowiadał jej na portalu społecznościowym, tylko do niej zadzwonił. – Wyjaśniłem, jak wygląda sytuacja, jakie są informacje, jakie są dane. Jestem lekarzem, a zdrowie pacjentów nie ma barw partyjnych – zapewnił. I obiecał, że o przypadkach zakażeń opinia publiczna będzie informowana na bieżąco. Równie emocjonalnie zareagował na słowa senator Alicji Chybickiej, wybitnej hematolog i onkolog, która podawała w wątpliwość sposób wykonywania w Polsce testów i potwierdzania przypadków zachorowań: – Pani prof. Chybicka powinna się dokształcić w zakresie wirusologii. Sianie przez nią paniki nie licuje z jej wykształceniem – stwierdził w rozmowie z dziennikarzem Onetu.

Co do informacji o nowych przypadkach koronawirusa minister słowa dotrzymał: konferencje prasowe z jego udziałem odbywają się codziennie, czasem nawet po dwie. Minister stara się być też jak najbardziej dostępny dla mediów, nie ucieka przed pytaniami.

MISTRZ NEGOCJACJI

Mama prof. Łukasza Szumowskiego jest polonistką, ojciec inżynierem. On sam początkowo marzył o fizyce lub astrofizyce, ale od zawsze podświadomie czuł, że będzie lekarzem. Pasjonowała go nauka. Podczas studiów



FOT. ŁUKASZ SZUMOWSKI/REPORTER

Minister na trudny czas



Katarzyna Pinkosz

Cichy bohater ostatnich dni – tak powiedział niedawno o ministrze zdrowia Łukaszu Szumowskim wicepremier Jarosław Gowin. Jak profesor, wybitny specjalista od leczenia serca, da sobie radę z epidemią i naszym lękiem przed nią?

koledzy namówili go do zajęć koła naukowego w Instytucie Kardiologii, prowadzonych przez prof. Franciszka Walczaka, wybitnego kardiologa, elektrofizjologa i lekarza humanistę. Bliska fizyce elektrofizjologia szybko go wciągnęła, i tak został „dzieckiem Anina” – już podczas studiów część wakacji spędzał w Instytucie Kardiologii, a potem zaczął tam pracować. Wkrótce zaczął kierować Pracownią Elektrofizjologii, a potem Kliniką Zaburzeń Rytmu Serca. Szybko zdobywał też tytuły naukowe, a nominację profesorską odebrał cztery lata temu. – Te stopnie są tylko dodatkiem do pracy lekarza, a mam je dzięki mojemu mentorowi prof. Walczakowi – podkreśla zawsze Szumowski, bo osobowość profesora ukształtowała go nie tylko jako lekarza, lecz także człowieka. – Gdy przychodzi do mnie pacjent, zawsze muszę pomyśleć, że on dużo już przeszedł, żeby do mnie przyjść, i niezależnie, jak bardzo jestem zmęczony, potraktować go życzliwie – mówił w jednym z wywiadów w „Do Rzeczy”.

Gdy jest się lekarzem, doskonale widzi się też bolączki systemu ochrony zdrowia. Niektórzy nie poprzestają na wytykaniu błędów, ale starają się też ten

system zmieniać. Jego też ciągnęło, by takie zmiany wprowadzać. Już w 2011 r. zaczął kierować zespołem specjalistycznym nauk o życiu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a w 2016 r. został wiceministrem nauki. – Kształtowała się Konstytucja dla Nauki, zostałem zaproszony do uczestnictwa w tym procesie, a będąc podsekretarzem stanu, ma się namacalny wpływ na to, co się dzieje – tak tłumaczył, dlaczego zdecydował się objąć tę funkcję nieco kosztem czasu dla swoich bezpośrednich pacjentów. Zajmował się m.in. wprowadzaniem Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej i projektem stworzenia Instytutu Biotechnologii Medycznej.

W styczniu 2018 r. – w atmosferze wydawałoby się niemożliwego do rozwiązania konfliktu ministra Konstantego Radziwiłła z rezydentami, którzy od wielu miesięcy protestowali w sprawie zmian w ochronie zdrowia – zdecydował się objąć tekę ministra zdrowia. Rezydentów ujął wtedy innym sposobem prowadzenia dyskusji, otwartością na dialog. – Rozmowy były wreszcie konstruktywne i merytoryczne – oceniał wiceprzewodniczący OZZL dr Jarosław Biliński. Przyjście prof. Łukasza Szumowskiego do resortu zdrowia (piątego kardiologa

na tym stanowisku) pozytywnie ocenił też prof. Marian Zembala (ostatni minister zdrowia za rządów PO), podkreślając, że łączy doświadczenie kardiologia i naukowiec z umiejętnością zarządzania. Łukasz Szumowski był szanowany za to, że starał się nie deprecjonować tego, co robili poprzednicy: – Każdy z ministrów chciał coś poprawić w systemie, jestem przekonany, że każdy miał pomysł, jak go poprawić, niektórym wyszło to lepiej, innym nieco gorzej, ale każdy próbował – podkreślał.

Pytany, dlaczego zdecydował się pozościć pracę lekarza i objąć jeden z najtrudniejszych resortów, odpowiadał, że traktuje to jako formę pewnego zobowiązania wobec kraju: – Nigdy nie służyłem w wojsku, więc powinienem tę służbę spełnić – twierdził. Faktycznie, gdyby przyjrzeć się jego największym dotychczasowym potyczkom, można stwierdzić, że zachowuje się jak żołnierz pełniący służbę.

DEKLARACJA WIARY

Na jego biurku w gabinecie ministerstwa stoi jego zdjęcie z narzeczoną Anną (dziś żoną; pracuje jako anestezjolog w Centrum Zdrowia Dziecka) i Matką Teresą. Z przyszłą żoną poznali się na studiach. Do Indii pojechali pracować

Lekceważenie epidemii prowadzi



Z ministrem zdrowia prof. Łukaszem Szumowskim

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Na konferencjach widać, że jest pan spokojny, opanowany. Skąd bierze pan ten spokój? My też powinniśmy być spokojni?

ŁUKASZ SZUMOWSKI: Przyzwyczaiłem się zachowywać spokój przy stole zabiegowym. Trzeba nad sobą panować, choćby sytuacja była trudna. Powinniśmy być spokojni, bo panika nic nie da, a wręcz odwrotnie: zachowania paniczne, chaotyczne zwiększają nasze zagrożenie. Wiemy, co powinniśmy robić: izolować osoby chore, utrzymywać higienę, starać się nie uczestniczyć w dużych zgromadzeniach, gdzie jest ścisk. Jeżeli mamy możliwość pracy zdalnej lub wzięcia zasiłku, by pozostać z dzieckiem w domu, powinniśmy to zrobić.

Jeśli porównać tę sytuację do operacji, to będzie najtrudniejsza operacja do przeprowadzenia w pana życiu?

Na pewno to bardzo specyficzna operacja, ponieważ bardzo mało wiemy o koronawirusie i o tym, jak będzie przebiegała epidemia. Musimy podejmować trudne decyzje, jak te o zamknięciu szkół, uczelni wyższych, placówek kultury. Trochę na wyrost, miejmy nadzieję, zapobiegając temu, co się dzieje w innych krajach. Niedługo one pewnie również będą podejmowały takie decyzje. Nie mamy jednak wielu wiarygodnych badań, nie mamy doświadczenia z przebiegiem epidemii koronawirusa. Staramy

się robić wszystko, by polskie społeczeństwo – w możliwy sposób – ochronić przed skutkami epidemii.

Zamknięte szkoły, uczelnie, kina, akademiki – wiele osób dopiero teraz zdało sobie sprawę z tego, jak sytuacja jest poważna albo jak może być poważna. To działania prewencyjne czy już jest tak źle?

To działania prewencyjne ze względu na rozprzestrzenianie się i liczbę zachorowań. W Danii mamy przyrost zachorowań o 100 proc., a jednocześnie są informacje z Włoch, że liczba nowych przypadków w wioskach objętych całkowitą izolacją była zerowa. To świadczy o tym, że izolacja może być skutecznym działaniem. Jednak po to, by nasze radykalne działania miały swój skutek i sens, trzeba uświadomić wszystkim, a szczególnie ludziom młodym, że to nie jest czas wolny

Na działalność wolontariacką starał się znajdować czas także jako lekarz. Od lat angażuje się w pomoc dla Polaków na Białorusi

wolontariacko do pierwszego domu założonego przez Matkę Teresę. „Robiliśmy różne rzeczy: mycie, karmienie, podawanie picia, różne drobne zabiegi medyczne. Nędza, niedożywienie, choroby i wszystko razem wzięte; to, co robiły Matka Teresa i wszystkie misjonarki miłości na całym świecie, to było życie z najbiedniejszymi. Tego też musieliśmy się nauczyć” – opowiadał w jednym z wywiadów.

Na działalność wolontariacką starał się znajdować czas także jako lekarz. Od wielu lat angażuje się w pomoc dla Polaków na Białorusi w ramach Fundacji „Kresy w Potrzebie – Polacy Polakom”. W ten sposób poznał Mateusza Morawieckiego.

Podpisał „Deklarację wiary lekarzy katolickich”, co część mediów początkowo wytykała mu, gdy obejmował tę funkcję ministra zdrowia, zarzucając, że „kieruje się w pracy Duchem Świętym, a nie badaniami, faktami i dobrem pacjentów”. Zarzuty przyjmował z lekkim uśmiechem; trudno inaczej, mając tytuł profesora, członkostwo licznych towarzystw naukowych

i autorstwo oraz współautorstwo ponad 150 artykułów naukowych. – Nigdy nie kryłem swoich konserwatywnych poglądów. Uważam, że jasność w tym zakresie jest lepsza niż próba ukrywania poglądów – mówił w jednym z wywiadów w „Do Rzeczy”. Za życiem opowiadał się jednoznacznie. Pytany o decyzję brytyjskiego sądu o zaprzestanie podawania jedzenia i picia Alfiemu Evansowi (wbrew błaganiom rodziców) odpowiadał bez wahania: – Niepodawanie płynów i jedzenia nie jest zaprzestaniem uporczywej terapii tylko aktywną formą zakańczania życia.

FIGHTER

W trudnych chwilach zdarza mu się usiąść do pianina i tak odreagowywać stres. Dwa lata na stanowisku ministra zdrowia to negocjacje płacowe z kolejnymi grupami zawodowymi, spór z rezydentami o sposób liczenia 6 proc. PKB na zdrowie i zarobki w ochronie zdrowia, trudna sytuacja szpitalnych oddziałów

ratunkowych, w onkologii, niedofinansowanie ochrony zdrowia, szpitali, niedobory lekarzy i pielęgniarek. Działania często „od pożaru do pożaru”. Oponenci zarzucali mu, że za mało walczy o większe pieniądze na ochronę zdrowia, na onkologię, na SOR-y, że wnioski z rocznych debat „Wspólnie dla zdrowia” są niedostatecznie wykorzystywane. Przyznawali jednak, że zmiany w ochronie zdrowia choć powoli to jednak idą w dobrym kierunku. Jednym z niewątpliwych osobistych sukcesów Łukasza Szumowskiego jest utworzenie Agencji Badań Medycznych (która właśnie ogłosiła projekt wsparcia prac polskich naukowców nad tworzeniem szczepionki przeciw koronawirusowi SARS-CoV-2)

Teraz główny zarzut to problemy z zaopatrzeniem szpitali w środki zabezpieczające i dezynfekujące, co może odbić się na pacjentach, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli.

W ostatnich dniach widać, że sypia niewiele. Od wielu lat trenuje boks, co dziś może mu się przydać szczególnie. Na sali operacyjnej nauczył się podejmowania decyzji, a pacjentowi przekazywania diagnoz, więc nie boi się przyznać, że wkrótce chorych możemy liczyć w tysiącach. Po drugiej stronie ringu przeciwnik jest jednak naprawdę wyjątkowy, bo mało znany.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

do śmierci najsłabszych

od zajęć, spotkania się ze znajomymi, zabawy w klubie czy restauracji. Wszystkie państwa, które mają więcej zakażeń, podkreślają, że traktowanie tej epidemii w sposób lekceważący prowadzi do wykładniczego wzrostu zachorowań i do śmierci ludzi, którzy są słabsi. W związku z tym ogromny apel: potraktujmy ten czas zamknięcia szkół, uniwersytetów, miejsc kultury jako czas izolacji od innych ludzi.

Podkreśla pan współodpowiedzialność nas wszystkich za to, jak będzie wyglądał przebieg epidemii.

Bruce Aylward, koordynator z ramienia WHO działań w Chinach, powiedział, że największą nauką z działań w Chinach jest to, że żadne odgórne decyzje administracyjne, rządowe, lokalne, samorządowe nie są w stanie zatrzymać wirusa. Jedynym działaniem, które odniosło skutek

w Chinach, było bardzo odpowiedzialne zachowanie się społeczeństwa, izolowanie się, przestrzeganie zasad kwarantanny, nie wychodzenie z domu, kiedy to konieczne.

Wiele osób uważa, że w Polsce wykonuje się za mało testów.

Jest ich bardzo dużo i cały czas kupujemy nowe. Mamy zapas kilkudziesięciu tysięcy.

Czy jest szansa, że wysoka temperatura wyciszy wirusa?

Nie wiemy, to tylko spekulacje. Mamy nadzieję, że tak będzie.

Czyli na dziś nie da się przewidzieć rozwoju epidemii?

Nie da. Teraz najważniejsze jest to, żeby dotrzeć z informacją o odpowiedzialnym zachowaniu, zwłaszcza do osób

młodych, które nie zdają sobie sprawy, że sytuacja jest naprawdę poważna. To trochę tak jak z szybką jazdą samochodem. Jeżeli szalejemy, to zagrażamy sobie, ale też wielu innym ludziom, Bogu ducha winnym. Piratów drogowych traktujemy w sposób negatywny i tak samo powinniśmy traktować osoby, które łamią zasady kwarantanny czy apele o unikanie zgromadzeń. To tacy „piraci czasów epidemii”.

Wiele osób, zwłaszcza młodych, uważa, że te ograniczenia są zbyt wczesne.

Gdy wirus już krąży w populacji, te działania mają mniejszy sens. Obecnie, gdy kilka milionów osób przestanie jeździć autobusami, przestanie spotykać się w szkołach, na uczelniach, to mamy szansę na ograniczenie rozprzestrzeniania się wirusa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Walka o czas

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Łukasz Zboralski

W Polsce, tak jak na całym świecie, trwają starania o rozłożenie zachorowań na SARS-CoV-2 tak, by nie dopuścić do zapaści systemu opieki zdrowotnej i mieć szansę na leczenie najtrudniejszych przypadków

Gdy w Europie w ubiegłym tygodniu Włochy zmagają się już z najpoważniejszym kryzysem wywołanym pandemią koronawirusa – lawinowo rosła tam liczba zarażonych oraz liczba zgonów – Chiny raportowały, że prawdopodobnie szczyt epidemii mogą mieć już za sobą. To dobre wieści dla wszystkich krajów europejskich, które dopiero przygotowują się na najpoważniejszą sytuację.

Uznanie przez WHO, że mamy do czynienia z pandemią, oznacza, że

choroba przełamwała wszelkie granice i stała się problemem globalnym. Teraz każdy z krajów – często w porozumieniu ze sobą – próbuje tak rozłożyć zachorowania, by służba zdrowia z jednej strony miała szansę obsłużyć najciężej chorych na koronawirusa, a z drugiej, by nie zostali bez pomocy pacjenci potrzebujący jej w innych sprawach.

Najmocniejszym ostrzeżeniem dla wszystkich jest sytuacja we Włoszech, gdzie prawdopodobnie ludzie na początku trochę lekceważyli doniesienia o wirusie i prośby o największą samodyscyplinę – brak spotkań towarzyskich, unikanie kontaktu z innymi ludźmi, pozostanie w domach. W Lombardii, gdzie doszło do największej liczby zachorowań, lekarze donosili o organizowaniu miejsc intensywnej opieki medycznej nawet na korytarzach szpitali. Pacjentów wymagających wspomaganie oddychania i największej pomocy przybywało tak szybko, że medycy martwili się już o to, iż będą musieli wybierać, kto ma największe szanse na przeżycie i kogo w ogóle ratować.

Pod koniec ubiegłego tygodnia, do momentu zamknięcia tego numeru „Do

Rzeczy”, liczba chorych we Włoszech przekroczyła 12 tys., a liczba zgonów przekraczała tysiąc. Według informacji tamtejszych służb 98 proc. zmarłych stanowiły osoby powyżej 68. roku życia. Cały kraj objęto tzw. czerwoną strefą z wieloma restrykcjami dotyczącymi podróży i w ogóle wychodzenia z domu.

Na świecie donoszono o zachorowaniach znanych osób. Obecność koronawirusa potwierdzono m.in. u przebywających w Australii aktora Toma Hanksa i jego żony oraz u premiera Kanady Justina Trudeau i jego małżonki.

Gdy kończyliśmy ten numer gazety, w Polsce było 61 chorych, odnotowano tylko jeden zgon – 57-letniej pacjentki w Poznaniu, która cierpiała na inne ciężkie schorzenia.

CHINY JUŻ PO NAJGORSZYM?

Jeszcze w czwartek 12 marca Chińska Narodowa Komisja Zdrowia poinformowała, że szczytowy moment zachorowań na koronawirusa ten kraj ma już za sobą. Dwa dni wcześniej zamknięto tam ostatni z 15 szpitali polowych, które wybudowano ze względu na brak miejsc

dla chorujących. Dobę wcześniej w całym kraju odnotowano w sumie zaledwie 15 nowych przypadków zarażenia koronawirusem. W samej prowincji Hubei – tej, w której choroba się zaczęła i najbardziej rozprzestrzeniła – nowych przypadków odnotowano tylko osiem.

Chińczycy skupiają się obecnie na uszczelnianiu granic i kwarantannie, bo część nowych przypadków to choroba przywleczone z zagranicy na ich terytorium. W Pekinie obowiązuje już kwarantanna dla wszystkich, którzy przyjechali z innych krajów. Muszą spędzić 14 dni w odosobnieniu niezależnie od tego, skąd przybyli i jakie mają obywatelstwo.

Europejskie kraje wyprzedzają te działania, zanim będą zmagać się ze szczytem zachorowań. Polska błyskawicznie podjęła decyzję o odwołaniu imprez masowych, o zamknięciu szkół i uczelni oraz obiektów takich jak kina, baseny czy teatry. Minister zdrowia poinformował też o wprowadzeniu stanu zagrożenia epidemią. To pozwala władzom wprowadzić np. czasowe zakazy poruszania się w niektórych miejscach oraz zakazy dotyczące obrotu niektórymi towarami. Państwo zareagowało już na niedobór i spekulacyjne ceny płynów odfekających – PKN Orlen rozpoczął ich produkcję i w najbliższych dniach mają trafić do sprzedaży na stacjach paliw.

Austria zakazała wjazdu na swoje terytorium przybywającym z Włoch, gdzie jest dziś największe ognisko choroby. MSZ współorganizowało powroty obywateli Austrii z tego kraju, wszyscy będą poddawani kwarantannie.

Czesi wprowadzili stan wyjątkowy. Ma trwać 30 dni. Zamknięto granice dla ludzi przyjeżdżających z krajów wysokiego ryzyka, m.in. Chin, Włoch, Iranu. Wśród tych krajów w ubiegłym tygodniu nie było Polski.

Obostrzenia graniczne wprowadzili też Słowacy. Zamknęli granice dla obywateli z zagranicy (oprócz Polaków). Z tego powodu w ubiegłym tygodniu wstrzymano już ruch pociągów na polsko-słowackiej granicy.

Także Stany Zjednoczone na czas epidemii przymknęły swoje granice dla mieszkańców Europy. Chociaż ta decyzja nie dotyczyła m.in. Brytyjczyków (u których też poważnie rosła liczba zachorowań), Ukraińców czy Białorusinów.

Politycy ukraińscy również informowali media o przygotowaniu do zamknię-

cia granic kraju – już w sytuacji, gdy odnotowano tam pierwsze zachorowanie człowieka, który przyjechał z Włoch. Jednak do zamknięcia tego numeru tygodnika granice z Polską były otwarte.

NADZIEJA W LEKACH

Do opracowania szczepionki na SARS-CoV-2 wciąż jeszcze daleko, ale naukowcy donoszą o kolejnych krokach w tej sprawie. Jednym z ważniejszych było ubiegłotygodniowe wyizolowanie wirusa przez zespół badaczy z Sunnybrook Research Institute, McMaster University i Uniwersytetu w Toronto. Swoją wiedzę podzielili się z badaczami na całym świecie. W stanie pandemii skróceniu mogą ulec procedury testów klinicznych – mniejszy rygor daje szansę na szybsze rozpoczęcie szczepień czy leczenia.

Tymczasem Chińczycy po badaniach klinicznych poinformowali, że pomocny w leczeniu osób dotkniętych SARS-CoV-2 okazał się istniejący już lek przepisywany

Liczba nowych zakażeń koronawirusem w Chinach w ostatnich dniach spadała. Chińczycy uważają, że szczyt zachorowań mają już za sobą

m.in. na malarię – chlorochina. Lek ten podawano w Chinach ponad 100 pacjentom. Zauważono, że przy jego dawkowaniu uzyskiwano szybszy proces leczniczy w porównaniu z pacjentami, którym go nie podawano. Oprócz skrócenia przebiegu choroby odnotowano też hamowanie zaostreżeń zapalenia płuc – najpoważniejszego problemu przy koronawirusie. Chińska Narodowa Komisja Zdrowia w wytycznych dotyczących leczenia SARS-CoV-2 uwzględniła zalecenie podawania chlorochiny. Chiny przyspieszyły produkcję leku i jego dostawę na własnym terytorium.

Te doniesienia spowodowały, że pacjenci na własną rękę rzucili się do aptek. Na Węgrzech odnotowano w marcu czterokrotny wzrost popytu na lekarstwo zawierające chlorochinę. W Polsce lek zawierający tę substancję jest na liście tych, których nie wolno wywozić za granicę.

Pod koniec lutego naukowcy z University of Alberta i Gilead Sciences informowali też, że skuteczny w leczeniu tego

koronawirusa może być też remdesivir – lek opracowany wcześniej w związku z epidemią wirusa ebola. Zdaniem naukowców podawanie go pacjentowi było „obietujące”. Zapowiadano, że testy kliniczne mają być dostępne pod koniec kwietnia. 10 marca WHO oraz amerykańska agencja rządowa Centers for Disease Control poinformowały, że jest to na razie najbardziej obiecujący lek. Dyrektor CDC ujawnił jednocześnie, że remdesivir został już oficjalnie wdrożony do leczenia w stanie Waszyngton. Używany jest na zasadzie specjalnego zezwolenia bez oficjalnych dopuszczeń na rynek, tam, gdzie pacjenci mogą go bardzo potrzebować w nagłych sytuacjach – np. bezpośredniego zagrożenia życia.

SIŁA W SAMODYSCIPLINIE

Opracowania naukowców wskazują, że decyzje rządowe (np. o zamknięciu szkół i odwołaniu imprez) mogą odnieść skutek jedynie, gdy społeczeństwo zrozumie potrzebę silnej odpowiedzialności za własne zachowanie – niewychodzenia bez potrzeby z domu, ucięcia kontaktów z innymi, przejścia na pracę zdalną w firmach, gdzie jest to możliwe. Jeśli ludzie zachowają izolację, to jest prawdziwa szansa na spowolnienie pandemii i uratowanie życia tysięcy tych, którzy będą potrzebować pomocy dzięki dostępności sprzętu i personelu medycznego.

Ważne jest zwłaszcza to, by ci, którym zalecono kwarantannę, naprawdę jej przestrzegali. Człowiek objęty kwarantanną musi przebywać w swoim mieszkaniu przez dwa tygodnie. Nie wolno mu wychodzić np. do sklepu ani na spacer z psem. O zakupy może poprosić innych – ważne, by jednak odebrał je bez bezpośredniego kontaktu (np. położone przed drzwiami). Złamanie zaleceń kwarantanny jest zagrożone karą rocznego pozbawienia wolności. Minister zdrowia zapowiedział, że policja będzie w Polsce sprawdzać, czy pacjenci objęci kwarantanną domową znajdują się w swoich mieszkaniach. Przy pogorszeniu się stanu zdrowia (duszności, problemy z oddychaniem, kaszel, gorączka) objęty kwarantanną powinien skontaktować się z telefonem lub zgłosić do szpitala zakaźnego.

Przez najbliższe dwa tygodnie najważniejszym zaleceniem w Polsce jest: „Nie wychodź z domu, jeśli nie musisz. Nie narażaj siebie i innych”.



Z prof. Norbertem Maliszewskim,
psychologiem społecznym,
szefem rządowego Centrum Analiz
Strategicznych

rozmawia Kamila Baranowska



FOT. JUSTYNA ROJEY/DO TWÓJST NEWS

Sytuacja kryzysu to test przywództwa

KAMILA BARANOWSKA: Jesteśmy już na takim etapie, że w kampanii liczy się tylko koronawirus, nic więcej?

PROF. NORBERT MALISZEWSKI: W badaniach, m.in. Ibris dla Onetu, już ponad tydzień temu widać było, że najważniejszym wydarzeniem dla większości Polaków jest epidemia koronawirusa, a cała reszta, jak chociażby odbywające się wtedy duże konwencje wyborcze Władysława Kosiniaka-Kamysza i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, nie miały już znaczenia. Tak było dwa tygodnie temu, gdy nie mieliśmy jeszcze przypad-

ków zachorowań w Polsce. Teraz, gdy je mamy, ta kwestia jest dla Polaków tym istotniejsza. W najbliższym czasie to temat epidemii będzie najbardziej obecnym w debacie publicznej i mającym największy wpływ na trwającą kampanię.

I tak już będzie do końca kampanii?

Wszystko dziś na to wskazuje. Pamiętajmy, że liczba zachorowań będzie się zwiększać, a chodzi o to, by z dwojga złego nie powtórzył się u nas scenariusz włoski, tylko np. brytyjski. Chodzi o to,

by nawet w sytuacji dużej liczby zachorowań, co pewnie nas czeka, tak je rozłożyć w czasie, by zachować wydolność systemu opieki zdrowotnej. Bo musimy mieć świadomość, że liczba zachorowań będzie rosła. Angela Merkel wprost już mówi o tym, że nawet do 60–70 proc. Niemców może zostać zarażonych. Nie oczekujmy, że u nas skończy się na kilkudziesięciu przypadkach. Dlatego dziś główne działania rządu skupiają się na tym, by nie było zbyt gwałtownego przyrostu zachorowań i by działać zdecydowanie, ale wyprzedzająco. Innymi słowy, rząd sprawdza, jakie błędy popełnili Niemcy, Francuzi czy Włosi, i stara się ich unikać, wyciągać wnioski. I ta strategia na razie się sprawdza.

Jak temat koronawirusa może przełożyć się na notowania prezydenta Dudy? Bo z jednej strony rząd i sztab prezydenta mogą liczyć na to, że ludzie w sytuacjach kryzysowych zwracają się w stronę władzy, ale z drugiej rozwój wypadków jest mocno nieprzewidywalny.

Oczywiście nikt nie kalkulował, czy to jest z punktu widzenia wyborczego sytuacja dobra czy zła. Po prostu obiektywne okoliczności są takie, że epidemia koronawirusa nałożyła się na kampanię prezydencką i stała się jej głównym tematem. Rząd i pan prezydent koncentrują się dziś na tym, by jak najsprawniej działać w tej niełatwej sytuacji, i na razie są oceniani przez Polaków bardzo do dobrze. W ciągu tygodnia pozytywne oceny działań rządu wzrosły o 17 punktów procentowych. Mamy nadzieję, że tak też będzie w sytuacji, w której przypadków zachorowań będzie coraz więcej. Widać już zresztą po tych pierwszych reakcjach, że społeczeństwo w chwili zagrożenia chce być jedną drużyną, wspólnotą i takie też ma oczekiwania względem polityków. By grali do jednej bramki. Błędem, który dziś popełniają niektórzy kontrkandydaci Andrzeja Dudy, jest to, że zachowują się jak AfD w Niemczech – tworzą teorie spiskowe, sięgają niepotrzebną panikę, starają się podważać każdą decyzję i za wszelką cenę punktować rząd w dość mało wiarygodny sposób. Kiedy polski rząd jako pierwszy w Europie wprowadził kontrole na granicach, opozycja pytała, dlaczego tak późno. Podobne zarzuty padały, gdy rząd zawieszał lekcje w szkołach, a przecież też zrobiliśmy to jako jedni z pierwszych.

Trudno jednak oczekiwać od opozycji, że całkiem odpuści sobie kampanię. I tak część kandydatów jest bardzo wstrzemięźliwa w krytyce działań rządu, właściwie w rząd uderza dziś głównie Koalicja Obywatelska.

I w mojej ocenie jest to błąd, który może skutkować demobilizacją wyborców. Te działania stoją w sprzeczności z oczekiwaniami społecznymi, które w sytuacji kryzysowej się zmieniają. Najlepszym przykładem jest tu zachowanie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, którego postawa została dość powszechnie skrytykowana jako nieodpowiedzialna. Wiadomo, że z tego powodu wyborcy Koalicji Obywatelskiej nie zgłoszą nagle na Andrzeja Dudę, ale mogą po prostu zostać w domu. Sytuacja kryzysu to test przywództwa dla każdego kandydata. Jeśli zachowuje się konstruktywnie i merytorycznie, zgłasza własne pomysły, propozycje, rozwiązania, a nie krytykuje wszystko jak leci, to powinien zyskiwać. Wiadomo, że uwaga polskiego społeczeństwa będzie skierowana głównie na prezydenta Dudę, ale to także oznacza, iż każdy jego błąd,

niedociągnięcie mogą działać na korzyść jego oponentów, o ile ci będą się zachowywali odpowiedzialnie.

Na razie to nie opozycja jest problemem PiS, lecz wewnętrzne konflikty, które wychodzą na jaw. Spór prezydenta Andrzeja Dudy i prezesa Jarosława Kaczyńskiego wokół odwołania Jacka Kurskiego z funkcji prezesa TVP raczej nie pomoże w kampanii.

Nawet jeśli całe zamieszanie wokół TVP i podpisania ustawy o rekompensacie dla mediów publicznych nie podobało się części elektoratu PiS, to nie ma to znaczenia dla ich decyzji wyborczych, czyli nie przekłada się ani na mobilizację, ani na rezygnację z głosowania na kandydata PiS. Poza tym w sytuacji takiego zagrożenia, z którym mamy do czynienia, i spodziewanej dużej epidemii wszelkie konflikty personalne czy zmiany na stanowiskach nie będą miały tak dużego znaczenia, które mogłyby mieć w normalnych okolicznościach. Zwłaszcza że ostatecznie z punktu widzenia wyborcy czy sympatyka PiS niewiele się zmieni, bo dotychczasowa linia TVP zostanie zachowana. Może gdyby zmieniła się o 180 stopni, to elektorat PiS by to dostrzegł i mógł na to źle zareagować, ale same przesunięcia w zarządzie z punktu widzenia widzów istotne nie są.

Sytuacja jak ta wokół TVP, gdy na jaw wychodzą wewnętrzne walki, animozje, konflikty w obozie władzy, nie zadziała demotuwująco na wyborców prawicy?

Nie wiem, czy w dniu, w którym rozmawiamy, ktokolwiek jeszcze o nich pamięta, a rozmawiamy raptem kilka dni po zamieszczeniu wokół TVP. Dynamika wydarzeń związanych z koronawirusem jest tak duża, a będzie coraz większa, że za chwilę nie będziemy pamiętać, że w ogóle ten temat wystąpił.

Czyli to, jak funkcjonuje sztab Andrzeja Dudy, a zwłaszcza kontrowersje wokół szefowej kampanii Jolanty Turczynowicz-Kieryłło, też nie będą miały dla wyniku wyborczego takiego znaczenia, jakie mogłyby mieć?

Dzisiaj uwaga koncentruje się przede wszystkim na samym prezydencie. To, czy szefem kampanii jest ta czy inna osoba, nie ma znaczenia. Polityczna kuchnia jest tematem numer jeden, zwłaszcza gdy jest umiejętnie wrzucana do debaty publicznej przez oponentów tylko wtedy, gdy nie ma innych znaczących wydarzeń. I tak było w tej kampanii do tej pory. Te-

raz kuchnia polityczna, łącznie z personalnymi przepychankami, pozostaje bez wpływu na kampanię i wybory.

Wychodzi na to, że w tej chwili większy wpływ na kampanię i wynik prezydenta Dudy mają działania rządu niż sztabu.

Wpływ rządu jest duży, ale pamiętajmy, że w takiej sytuacji kryzysowej, jakiej doświadczamy, rola samego prezydenta też jest ogromna. W tym sensie sztab, jako zespół doradco-wspierający, też ma swoją rolę do odegrania. Powiedziałbym nawet, że to ważny sprawdzian dla sztabu, bo teraz nie liczą się już polityczna kuchnia, żadne kampanijne sztuczki, lecz tylko realne działania.

To także szansa na uwiarygodnienie opowieści o harmonijnej współpracy prezydenta z rządem, która to współpraca nie byłaby tak harmonijna, gdyby wybory wygrał kandydat opozycji.

Jasne, że w obecnej sytuacji ta dobra współpraca ma znaczenie, bo gdybyśmy mieli do czynienia z sytuacją, gdy premier i prezydent są z innych obozów politycznych, to mógłby pojawić się problem chociażby wzięcia odpowiedzialności za pewne niepopularne decyzje, już o samym podejmowaniu decyzji nie wspominając. W tym sensie ta opowieść rzeczywiście mogłaby zadziałać na rzecz prezydenta Dudy, przy czym należy jednak mieć na uwadze, że ludzie nie myślą w tak abstrakcyjny sposób – co by było, gdyby było inaczej. Raczej oceniają to, co jest tu i teraz. Dlatego dziś prezydent i premier będą rozliczani z bieżących działań dotyczących koronawirusa, a nie z tego, co było w przeszłości albo co mogłoby być w przyszłości.

Jak sytuacja z koronawirusem może wpłynąć na frekwencję wyborczą?

Ogólnie rzecz biorąc, takie sytuacje raczej mobilizują wyborców poszczególnych partii, niż demobilizują. Zwłaszcza że za chwilę, gdy minie pierwszy szok i zaczniemy przystosowywać się do nowych okoliczności, spodziewam się powrotu silnej politycznej polaryzacji i sporu na tle tego, czy obóz rządzący dobrze sobie radzi z kryzysem, czy nie.

Czy przełożenie terminu wyborów prezydenckich wchodzi w grę i komu mogłoby to zaszkodzić, a komu pomóc?

Na razie nie jest to rozważany scenariusz, więc trudno jakkolwiek to komentować.



PHOT. ADRIAN STOK

Wyborczy stan nadzwyczajny

To, co jeszcze niedawno wydawało się nieprawdopodobne, a co Szymon Hołownia nazywał „opcją atomową”, staje się realne. Po zeszłotygodniowej decyzji o zamknięciu szkół, uniwersytetów i wielu innych instytucji coraz częściej pojawia się postulat „przełożenia wyborów”. Trzeba to pisać w cudzysłowie, bo takiej instytucji jak „odwołanie” lub „przełożenie” wyborów polskie prawo nie przewiduje.

O możliwości „przełożenia wyborów” mówił w jednym z wywiadów szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. Głośno zaczęła to postulować Konfederacja, dodatkowo wspominając o szybkim stworzeniu mechanizmu głosowania internetowego. To jednak wydaje się nierealne.

Coraz częstsze wzmianki o zmianie terminu prezydenckiej elekcji wynikają w jakiejś mierze z faktu, że kandydaci nie mogą prowadzić bezpośredniej kampanii w normalnym wymiarze. W tej sytuacji uprzywilejowany jest urzędujący prezydent, który z racji swoich obowiązków i tak jest najczęściej obecny w mediach. Jednak i w Andrzeja Dudę to uderza, bo akurat spotkania z wyborcami są jego mocną stroną. Wpływ tej sytuacji na rezultat wyborów pozostaje dzisiaj całkowitą niewiadomą, bardziej chyba niż przed jakimikolwiek wyborami w III RP.



Łukasz Warzecha

Kiedy odbędą się wybory na prezydenta?

Rezygnacja ze zgromadzeń, a wkrótce może i ich całkowity zakaz powinien faktycznie skłaniać do przesunięcia daty wyborów prezydenckich. Prawnie sprawa okazuje się jednak skomplikowana. Przede wszystkim o „przełożeniu wyborów” nie wspomina polska ustawa zasadnicza. Jedyna możliwość, aby nie mogły się one odbyć, to art. 228 pkt 7. Konstytucji z rozdziału o stanach nadzwyczajnych. Mówi on: „W czasie stanu nadzwyczajnego oraz w ciągu 90 dni po jego zakończeniu nie może być skrócona kadencja Sejmu, przeprowadzane referendum ogólnokrajowe, nie mogą być przeprowadzane wybory do Sejmu, Senatu, organów samorządu terytorialnego oraz wybory Prezydenta Rzeczypospolitej, a kadencje tych organów ulegają odpowiedniemu przedłużeniu”.

Stany nadzwyczajne mamy w Polsce trzy, regulowane odrębnymi ustawami. Stan wojenny możemy odłożyć na bok – zostają zatem stan klęski żywiołowej i stan nadzwyczajny. Ustawy o stanach klęski

żywiołowej i nadzwyczajnym pochodzą z 2002 r. Wprowadzenie stanu klęski żywiołowej, który może trwać maksymalnie 30 dni, nie wymaga zgody Sejmu, bo dzieje się to na mocy rozporządzenia Rady Ministrów. Sejm musi się jedynie zgodzić na przedłużenie tego stanu na czas oznaczony. Mamy tu zatem pierwszy potencjalny zgrzyt: rząd może się spotkać z zarzutem, że wprowadza stan nadzwyczajny w drodze niewymagającej akceptacji innych sił politycznych. W czasie stanu klęski żywiołowej władza uzyskuje oczywiście wiele nadzwyczajnych uprawnień, a prawa obywatelskie są ograniczone.

CZY MOŻNA ZMIEŃĆ DATĘ WYBORÓW

To wszystko jednak w mniejszym stopniu niż w przypadku stanu wyjątkowego. Może on obowiązywać aż do 90 dni, ale tryb jego wprowadzania jest inny niż stanu klęski żywiołowej. Najpierw musi być w tej sprawie uchwała rządu, kierowana do prezydenta. Ten może się do niej przychylić

lub nie. Jeśli się zgadza, to podpisuje odpowiednio rozporządzenie, które z kolei musi zostać zatwierdzone przez Sejm w ciągu 48 godzin. Sejm rozporządzenie prezydenta może uchylić bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Stan wyjątkowy może też zostać przedłużony o 60 dni – wyłącznie za zgodą Sejmu.

Można sobie zatem wyobrazić sytuację, w której 10 maja (data wyborów prezydenckich) wypada albo w trakcie obowiązywania któregoś ze stanów nadzwyczajnych, albo w czasie karencji po nim. A trzeba też pamiętać, że kadencja prezydenta Andrzeja Dudy upływa 6 sierpnia. Ustawodawca takiej sytuacji najwyraźniej nie przewidział, ponieważ próżno szukać przepisów, które określałyby, co się dzieje, gdy stan wyjątkowy zostaje ogłoszony już po wyznaczeniu daty wyborów przez marszałka Sejmu.

WYBORY W GRUDNIU?

Kto formalnie wybory już ogłoszone odwołuje? Też marszałek Sejmu? Czy może Państwowa Komisja Wyborcza? A może nikt ich nie musi odwoływać, bo nie mogą się odbyć z mocy prawa? W takim razie co z ich kolejnym terminem? Czy z automatu miałyby się odbyć w pierwszym możliwym momencie po zakończeniu karencji, wynikającej ze stanu nadzwyczajnego? Czy musi być kolejne zarządzenie marszałka Sejmu w tej sprawie? Nie wiadomo. To z kolei może oznaczać, że te proceduralne sprawy musiałby rozstrzygać Trybunał Konstytucyjny. Problem byłby wówczas podwójny: z czasem, bo przecież nie stałoby się to natychmiast, i z akceptacją rozstrzygnięcia przez opozycję, która wiarygodność TK uznaje za zerową.

Wyobraźmy sobie najczarniejszy scenariusz. Powiedzmy, że na początku kwietnia wprowadzany jest stan wyjątkowy na maksymalny czas 90 dni – czyli obowiązuje do końca czerwca. Jeżeli nie zostałyby przedłużony, to pierwszy termin wyborów wypadłby dopiero na początku października – już dwa miesiące po planowym zakończeniu kadencji Andrzeja Dudy. Gdyby zaś przedłużono go o maksymalny wymiar 60 dni, wybory mielibyśmy najwcześniej w grudniu. To rodziłoby również pytanie o moment, od którego liczona jest kadencja nowego prezydenta. A pamiętajmy, że w trakcie trwania stanu wyjątkowego władza dysponuje niezliczonymi nadzwyczajnymi uprawnieniami, zaś prawa obywateli są drastycznie

ograniczone, z wprowadzeniem cenzury mediów i listów włącznie (art. 20 Ustawy o stanie wyjątkowym).

Taka sytuacja miałaby druzgocące konsekwencje polityczne. Z wprowadzeniem stanu wyjątkowego nie powinno być problemu na poziomie politycznej elity, gdyby była ona spojona wzajemnym zaufaniem choćby na podstawowym poziomie. Wtedy opozycja może mieć przekonanie, że władza nie nadużyje nadzwyczajnych uprawnień, a władza – że opozycja nie będzie o takie działania jej oskarżać, wzbu- dzając niepokój.

Tego zaufania nie ma – zostało bardzo systematycznie zniszczone w ciągu ostatnich 15 lat. I wina leży po obu stronach. Na razie wydaje się, że cienka granica nie została przekroczona i opozycja jest w stanie dogadać się z rządem, ale gdyby władza postanowiła posunąć sprawy o krok dalej, ten kruchy konsens może się zawalić i zmienić we wzajemne najdalej idące oskarżenia.

Paradoks polega na tym, że aby skompensować niemożność prowadzenia normalnej kampanii wyborczej poprzez przełożenie wyborów, trzeba uruchomić stan nadzwyczajny. W jego ramach władza dostalaby nadzwyczajne kompetencje i uprzywilejowaną pozycję. Ba, ponieważ rozporządzenie o wprowadzeniu stanu nadzwyczajnego wydaje

Na razie wydaje się, że cienka granica nie została przekroczona i opozycja jest w stanie dogadać się z rządem

prezydent, można by uznać, że istnieje tu konflikt interesów, bo w tym wypadku głowa państwa działa we własnej sprawie, przedłużając własną kadencję.

Nawet gdyby generalnie nadzwyczajne uprawnienia były wykorzystywane jedynie w celu walki z zagrożeniem, trudno wykluczyć, że znaleźliby się i tacy, którzy sięgaliby po nie w celu promocji rządowej agendy politycznej. Z kolei opozycja miałaby gigantyczny problem z odpowiadaniami na takie działania lub nawet z krytykowaniem ewentualnej faktycznej nieudolności rządzących, bo natychmiast byłaby oskarżana o sabotowanie wysiłków na rzecz ratowania państwa. W pewnym sensie jesteśmy bowiem w sytuacji moral-

nego szantażu: epidemiologicznym zagrożeniem, zwłaszcza z przykładem Włoch w tle, da się uzasadnić wszelkie posunięcia. Pytanie, czy również te idące tak daleko jak wprowadzenie stanu nadzwyczajnego.

LUKI W KONSTYTUCJI

Dziwi w tej sytuacji, że polski ustawodawca, a właściwie konkretni politycy, z Aleksandrem Kwaśniewskim na czele, projektując konstytucję z 1997 r., nie wzięli pod uwagę sytuacji takiej jak obecna i nie zawarli w niej przepisów, mówiących jasno, w jakim trybie odbywają się wcześniej zarządzane wybory, gdy zderzają się ze stanem nadzwyczajnym. Lub nie uwzględniając w niej możliwości ich przełożenia bez konieczności wprowadzania takiego stanu, przy zgodzie np. trzech piątych Sejmu i większości Senatu. To wystarczająca większość, żeby wyeliminować oskarżenia o działanie w interesie jednej siły politycznej. Takich zmian w ustawie zasadniczej nie brał również pod uwagę prezydent, gdy w 2017 r. proponował referendum w sprawie jej zmiany. Nikt zapewne nie wyobrażał sobie, że możemy znaleźć się w takim kłopotcie.

A przecież tak samo nikt nie wyobrażał sobie, że w katastrofie może zginąć ogromna część elity władzy. To jednak niestety nastąpiło 10 kwietnia 2010 r. Okazało się wówczas, że nieuregulowana jest kwestia tego, jakie kompetencje ma mieć sprawujący obowiązki prezydenta marszałek Sejmu. A Bronisław Komorowski nie starał się wtedy ograniczać. Mało kto dzisiaj pamięta, że po nim na niespełna miesiąc obowiązki głowy państwa przejął mianowany marszałkiem Sejmu Grzegorz Schetyna, który w ciągu niecałych 30 dni zdążył nadać niemal 200 odnaczeń. A przecież nie były to decyzje niezbędne. Lekcji chyba nie odrobiono.

Patrząc na to, jakie decyzje zapadają na szczeblu rządu, można odnieść wrażenie, że to taktyka „chciałabym i boję się”. Specustawa do walki z koronawirusem zawiera pewne rozwiązania z ustaw o stanach nadzwyczajnych, ale takiego stanu nie wprowadza. A zatem nie ogranicza również możliwości przeprowadzenia wyborów. Pytanie, jak długo będzie można opierać się wyłącznie na niej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE:

„POLSKI ŚLAD CZARNEJ ŚMIERCI” NA STR. 62

„BOLESNY CZAS KOREKTY” NA STR. 80



Wojenka na górze



Wojciech Wybranowski

Awantura między Nowogrodzką a „dużym pałacem” i jego sojusznikami – Mateuszem Morawieckim oraz Jarosławem Gowinem – to tylko wierzchołek góry lodowej. Po wyborach w PiS będzie gorąco

Pierwsze tygodnie kampanii prezydenta Andrzeja Dudy pełne są wpadek i kłopotów, których jego doradcy zrećnie unikali w kampanii w 2015 r., a emocje między jego doradcami i politycznymi sojusznikami a Nowogrodzką rosną. Do eskalacji

doszło, gdy zbliżał się termin podpisania przez prezydenta ustawy abonamentowej przyznającej mediom publicznym 2 mld zł rekompensaty abonamentowej. Andrzej Duda zwlekał ze złożeniem podpisu. Wyszło potem na jaw, że prezydent uzależnił to od dymisji Jacka Kurskiego ze stanowiska prezesa TVP.

– Pan prezydent źle odbiera poziom i jakość serwisów informacyjnych, uważa też, że telewizja publiczna kierowana przez Jacka Kurskiego nie realizuje swojej misji – mówi nam człowiek z otoczenia Dudy. Jednocześnie przyznaje, że w całej sprawie istotne są emocje. Prezydent ma uważać, że jego kampania jest kiepsko i za mało pokazywana w mediach publicznych. Ma być też rozczulony, że nie pokazano pracy, którą wykonała jako pierwsza dama jego małżonka Agata Kornhauser-Duda, kiedy opozycja krytykowała ją za bezczynność.

Na Nowogrodzkiej sprawa odbierana jest odmiennie. Pojawiają się opinie, że za stanowiskiem prezydenta stoją kojarzeni dziś z nim wicepremier Jarosław Gowin i premier Mateusz Morawiecki, i że była to kolejna próba przejęcia Telewizji Polskiej przez ich ludzi. Ludzie premiera przekonują, że z całym zdarzeniem szef rządu nie ma nic wspólnego.

Żądanie odwołania szefa TVP według naszych informatorów nie spodobało się Jarosławowi Kaczyńskiemu. – Prezes odebrał to jako szantaż: „Albo zrobisz tak, jak sobie życzę, albo nie będzie pieniędzy dla telewizji”. Próbę wywarcia na niego takiej presji odebrał jako osobiste upokorzenie, a takich rzeczy nie puszcza płazem. Jest wściekły – mówi nam jeden z wiceministrów w rządzie Morawieckiego.

Od kilku polityków PiS słyszymy, że w kierownictwie PiS zastanawiano się nawet nad wycofaniem poparcia dla Andrzeja



Prezydent Andrzej Duda, premier Mateusz Morawiecki i szef Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański. FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Dudy i wystawieniem innego kandydata. Miano, ich zdaniem, zlecić wewnętrzne sondaże, jak opinia publiczna przyjąłaby poparcie byłej premier Beaty Szydło. Rozważano, czy partia zdążyłaby zebrać dla niej wystarczającą liczbę podpisów poparcia i czy Szydło byłaby w stanie wygrać z Dudą. Sondaże rozwiąły ten plan.

Kilkanaście godzin przed podpisaniem ustawy prezydent Duda wezwał do siebie Krzysztofa Czabańskiego, prezesa Rady Mediów Narodowych. Ponowił ultimatum: albo Kurski, albo podpis. Wtedy Kaczyński ustąpił.

– Wobec wszystkich zmian, które w tej chwili następują, wobec tych rozwiązań, które są możliwe, biorąc pod uwagę potrzebę funkcjonowania mediów publicznych, zachowania pracy przez wielu ludzi, zdecydowałem, że podpiszę tę ustawę na pewnych warunkach – powiedział podczas wieczornej konferencji

prezydent. Obok Dudy wystąpił premier Morawiecki, który tłumaczył, że w obliczu epidemii koronawirusa potrzebne są media informujące społeczeństwo. Krzysztof Czabański poinformował, że Rada Mediów Narodowych rozpoczęła głosowanie nad odwołaniem Kurskiego, a decyzja ma zapaść w poniedziałek. Jednocześnie ujawnił jednak wyniki głosowania, z których wynikało, że dymisja szefa TVP jest już przesądzona.

W tym samym czasie na Nowogrodzkiej urywały się telefony. Część starych działaczy PiS była oburzona. Uważali, że w samym środku kampanii wyborczej doszło do rozgrywki z udziałem wicepremiera Gowina i premiera Morawieckiego, która zaszkodzi partii.

Nasi informatorzy mówią, że podobnego zdania jest też Kaczyński. – Prezes uznał, że bez poparcia Gowina i Morawieckiego prezydent nie zdecydowałby się na podobne rozwiązanie. Co to oznacza? Daleko idące konsekwencje po wyborach. Prezes ma już dość Gowinowego rozpychania się łokciami, uważa też, że Mateusz zbyt mocno obrósł w piórka – mówią nasi informatorzy. Jeden z nich dodaje, że jeśli cała sytuacja przełoży się na wynik wyborów i PiS na tym straci, a tak szacują na Nowogrodzkiej, to po wyborach w partii będzie rzeź.

Całkiem inne nastroje panowały w zapleczu prezydenta. Tam się mówiło, że co prawda stanowisko p.o. prezesem TVP ma zostać Mateusz Matyszkowicz, kojarzony z wicepremierem Glińskim, ale szefową Telewizyjnej Agencji Informacyjnej zostanie popierana przez pałac prezydencki Marzena Paczuska, była szefowa „Wiadomości”, skonfliktowana z Kurskim. To oznaczałoby daleko idącą czystkę wśród ludzi w serwisach informacyjnych.

„SPALIŁEM PODPISY”

Jak pokazał czas, decyzja prezydenta nie oznaczała jednak końca batalii o wpływ na TVP. Za pozostaniem Jacka Kurskiego opowiedzieli się politycy dawnego „zakonu PC”, najwierniejsi współpracownicy Jarosława Kaczyńskiego, a także była premier Beata Szydło, obecna europosłanka PiS, skonfliktowana z Morawieckim. Po stronie Kurskiego opowiedział się także Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości. Ziobro przez długi czas pozostawał w konflikcie z Kurskim, z którym zakładał Solidarną Polskę (szef TVP porzucił jego ugrupowanie, by

ponownie związać się z PiS), jednak od kilku miesięcy zawarł sojusz taktyczny. – Nic tak nie cementuje jak wspólny przeciwnik. Ziobro od dawna rywalizuje z Morawieckim, podobnie jak Szydło. W sytuacji, gdy Morawiecki zaczął mieć chrapkę na TVP, zwarto szeregi przeciwniemi – opowiada nam jeden z „ziobrystów”.

Polityczne „rozpychanie” się premiera Morawieckiego jest też coraz gorzej odbierane przez współpracowników Kaczyńskiego. Uważać mają, że premier chociaż wstąpił do partii, nie utożsamia się z nią, a zajmowane stanowisko wykorzystuje do lokowania w państwowych instytucjach swoich ludzi niezwiązanych z partią lub nawet ideowo dalekich. Znamienne w tej sprawie jest oświadczenie Ryszarda Terleckiego, szefa klubu PiS, który krótko po informacjach o planowanej dymisji szefa TVP napisał na Twitterze: „W sporze o finansowanie mediów publicznych moralnym zwycięzcą jest Jacek Kurski. Postąpił honorowo, a TVP zostawia w formie o niebo lepszej, niż ją zastał”. Terlecki, zaufany człowiek Kaczyńskiego, nie szczędził też krytycznych uwag pod adresem kierowanej przez Czabańskiego Rady Mediów Narodowych, która odwołała Kurskiego. „Najlepszą recenzją jego sukcesu były ataki wrogów dobrej zmiany. A odwołała go Korespondencyjna Rada Mediów” – komentowała.

Zawrzało też w partyjnych dołach. W Polsce lokalnej, szczególnie na Podlasiu, Warmii i Mazurach oraz Podkarpaciu, gdzie PiS wygrywa dzięki głosom w małych miasteczkach. Lokalne organizacje partyjne są tam tworzone głównie przez sympatyków Ziobry i „starego PiS”, zaś Gowin i Morawiecki nierzadko bywają tam traktowani jak osoby niekoniecznie bliskie partii.

– Reakcje były różne. Zaraz po ogłoszeniu decyzji o zmianie na stanowisku szefa TVP zadzwonił do mnie lokalny działacz, który miał dostarczyć ok. 500 podpisów pod poparciem kandydatury Dudy. I mówi, że dzisiaj ich nie dostarczy. To mówię „może być jutro” – opowiada nam jeden z aktywistów okręgowych PiS. – Na to słyszę, że nie dostarczy. Pytam, co się stało. Na to facet z pewnym takim zażenowaniem mówi, „bo wziąłem i je spaliłem”. Tak emocjonalnie zareagował w pierwszej chwili – dodaje nasz rozmówca.

Jeszcze 12 godzin po ogłoszeniu decyzji prezydenta zmiana w TVP wydawała

■ się nieunikniona. Ludzie Jacka Kurskiego w telewizji odpowiedzialni za kształt serwisów informacyjnych szykowali się do przenosin z pl. Powstańców na ul. Woronicza. Taka miała być umowa – że nie stracą na razie pracy, ale nie będą mieli wpływu na „Wiadomości” i TVP Info.

ZMIENIŁO SIĘ, ALE NIE ZMIENIŁO

W tym samym czasie jednak – najprawdopodobniej w poniedziałek – przeżyła koalicja niechętnych premierowi Morawieckiemu i wicepremierowi Gowinowi (uważanych za ojców zmiany w TVP). Zapadła decyzja, by pełniącym obowiązki nowym szefem Telewizji Polskiej został Maciej Łopiński, zaufany współpracownik zarówno śp. Lecha, jak i Jarosława Kaczyńskiego, do tej pory szef Rady Nadzorczej TVP. Łopiński to też wielki mecenas Jacka Kurskiego. To głównie dzięki jego wsparciu Kurskiemu udało się do tej pory wychodzić cało z politycznych awantur w PiS wokół telewizji. W poniedziałek rano Rada Nadzorcza TVP zawiesiła w prawach członka zarządu forowaną przez Andrzeja Dudę na szefa TAI Marzenę Paczuska.

Tego samego dnia Łopiński, dziękując Kurskiemu za dotychczasowe kierowanie TVP, potwierdził medialne doniesienia, że teraz on sam będzie nią kierował jako pełniący obowiązki. Okazało się też, że Kurski dalej będzie miał wpływ na telewizję publiczną, tyle że z tylnego siedzenia – został doradcą zarządu TVP.

– Przygotowałem wielką mowę podsumowującą moje dokonania, ale w świetle zaproszenia przez prezesa Łopińskiego do tego, żebym był doradcą zarządu, myślę, że nie ma potrzeby, bo po prostu zostaję z państwem na pokładzie, tylko już w skromnej roli doradcy – komentował uśmiechnięty Jacek Kurski.

Odpowiedzią „dużego pałacu” na grę prezesa Kaczyńskiego – bo jak mówią politycy PiS, bez jego decyzji takiej rozgrywki nie udałoby się przeprowadzić – było wymowne milczenie. Z kolei ludzie premiera zaczęli podawać niektórym dziennikarzom własną narrację, przekonując, że w tej sprawie premier nie walczył z Kurskim, a jedynie pośredniczył na prośbę samego Kaczyńskiego.

– Próba wycofania się z twarzą z przegranego meczu, i to przegranego bardzo wysoko. Tyle że Kaczyński wie doskonale, że to wicepremier Gowin i premier Morawiecki stali za wcześniejszymi próbami przejęcia telewizji – mówi

Oprócz waśni Morawiecki-Ziobro doszły konflikty pałac prezydencki-Nowogrodzka oraz „stary PiS” kontra „gowinowcy”

jeden z polityków PiS. – Co to oznacza? – Ich pozycja poważnie osłabła i muszą się liczyć z cichymi konsekwencjami. Cichymi, jeśli Duda wygra. Jeśli przegra, to wszyscy rzucą się sobie wzajemnie do oczu – wieszczę.

NIE PIERWSZY SKOK

Próba przejęcia telewizji publicznej przez ludzi wicepremiera Gowina i premiera Morawieckiego ma już niejedną odsłonę. Zawsze przebieg jest podobny. Najpierw pojawiają się przecieki do mediów, z których wynika, że kierownictwo PiS obwinia kierownictwo TVP o kształt serwisów informacyjnych, co ponoć ma mieć wpływ na wynik wyborów. Później kolejne przecieki – o planowanym odwołaniu Kurskiego.

– Tak było na przykład po kampanii w wyborach samorządowych. Ludzie Morawieckiego uważali, że szef rządu jest źle pokazywany i to mogło mieć wpływ na nasz wynik. Wtedy wręcz mówiono o odwołaniu Kurskiego. Stanęli za nim Ziobryści i Szydło. Przeważało zdanie samego Kaczyńskiego, który na spotkaniu przy Nowogrodzkiej powiedział jednoznacznie, że zmian nie będzie – mówią nasi rozmówcy. I dodają, że to był także moment, w którym zwolennicy Beaty Szydło zdecydowanie wystąpili przeciw stronnikom premier. Wtedy też pierwszy raz pojawił się pomysł, by zastąpić go byłą premier. Kaczyński ten pomysł wówczas odrzucił.

Do poważnej rozgrywki o TVP doszło też w połowie marca ubiegłego roku. Wtedy pod naciskiem prezydenta Andrzeja Dudy wspieranego przez premiera Morawieckiego i wicepremiera Gowina doszło do zmian w zarządzie TVP. Prezydent uzależniał wówczas podpisanie noweli ustawy o opłatach abonamentowych (na mocy której Telewizja Polska i Polskie Radio miały otrzymać 1,26 mld zł rekompensaty za utracone wpływy abonamentowe) od zmian w telewizji publicznej. Rada Mediów Narodowych zdecydowała wówczas o odwołaniu Macieja Staneckiego, kojarzonego z ruchem Kukiz'15 z zarządu Telewizji Polskiej. Na jego miejsce powołano Marzenę

Paczuska, mającą poparcie prezydenta Andrzeja Dudy, oraz Piotra Pałkę, kojarzonego z ruchem Pawła Kukiza i obozem Mateusza Morawieckiego. Zaledwie tydzień po zmianach w zarządzie TVP Rada Nadzorcza TVP zawiesiła w prawach członka zarządu Pałkę. Powód? Postępowanie sądowe, które wytoczył TVP. Po decyzji Rady, w której większość mają zwolennicy Jacka Kurskiego, Piotr Pałka podał się do dymisji. Kilka tygodni później zarząd TVP dokonał tzw. podziału kompetencyjnego, na mocy którego „prezydenckiemu obozowi” w praktyce uniemożliwiono wpływ na serwisy informacyjne.

Jak ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” jeden z polityków PiS, choć dzisiaj wzrosła pozycja starych współpracowników Kaczyńskiego, czyli dawnego „zakonu PC” oraz Zbigniewa Ziobry uważanego za zdecydowanie bardziej lojalnego sojusznika niż Gowin, to jednak – wbrew sygnałom dochodzącym z Nowogrodzkiej – po wyborach wcale nie musi oznaczać to daleko idących zmian w strefie wpływów w obozie władzy. Dlaczego? – Wszystko zależy od wyniku wyborów i sytuacji w PiS po nich – ucina nasz rozmówca.

ISKRY OD DAWNA

Kampania prezydencka przebiega w atmosferze głębokich starć w rządzącej koalicji. Oprócz tradycyjnej waśni na linii Ziobro-Morawiecki doszły konflikt na liniach Nowogrodzka-pałac prezydencki oraz „stary PiS” kontra „gowinowcy”. Sygnałem tego były m.in. deklaracje Gowina w atmosferze ostrych sporów wokół ustawy dyscyplinującej, kiedy to wbrew ostrym wystąpieniom polityków PiS Gowin wezwał sędziów do rozmowy i „okrągłego stołu”.

Oliwy do ognia dolewa też wybór na szefową kampanii prezydenckiej mecenas Jolanty Turczynowicz-Kieryłło. Według naszych informatorów rekomendować prezydentowi miał ją wicepremier Gowin. Politycy PiS zostali o decyzji prezydenta poinformowani zaledwie kilkanaście godzin przed ogłoszeniem składu sztabu wyborczego. Między Turczynowicz-Kieryłło a członkami sztabu wywodzącymi z PiS już dochodzi do nieporozumień, zwłaszcza że mecenas zalicza wciąż wpadki obciążające wizerunkowo prezydencką kampanię. Wśród części polityków PiS mówi się, że powinna zostać usunięta ze sztabu, a jej miejsce powinna zająć była premier Beata Szydło.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Łopiński ma pełnić obowiązki prezesa TVP do czasu rozstrzygnięcia konkursu na szefa telewizji publicznej FOT. MIECZYSLAW WŁODARSKI/REPORTER

Milczek z Gdańska



Piotr Semka

Maciej Łopiński staje wobec kierowania gigantyczną machiną przy Woronicza. Formalnie będzie pełnił swe obowiązki tylko do rozstrzygnięcia konkursu na nowego prezesa TVP. Jarosław Kaczyński wyraźnie zademonstrował, że prezydent nie zyska na stawianiu go pod ścianą. „Kingmaker” z Nowogrodzkiej ma teraz czas na obmyślanie kolejnych ruchów na medialnej szachownicy

Dziwnej tradycji TVP stało się za-
dość. Maciej Łopiński to już piąty
po 1991 r. szef przy Woronicza
będący absolwentem „Topolówki”
– III LO w Gdańsku, po Marianie Terlec-
kim, Wiesławie Walendziaku, Januszu
Daszczyńskim i Jacku Kurskim.

Jednak tę obserwację można uznać
jedynie za ciekawostkę. Faktem jest
natomiast, że wybór Macieja Łopiń-
skiego na pełniącego obowiązki szefa
TVP to powrót Jarosława Kaczyńskiego
do starych i zaufanych postaci z kręgu
swego brata.

I można dopatrywać się w tym pew-
nej subtelnej demonstracji. Po tym, jak
Andrzej Duda poszedł na polityczne to-
talne zderzenie z prezesem PiS w spra-
wie Jacka Kurskiego, a premier Mateusz
Morawiecki proponując mediację, stwo-
rzył wrażenie sojuszu z głową państwa
– Jarosław Kaczyński pozwala pieczę
nad TVP przedstawicielowi pokolenia,
które wytrzymało „bez pęknięcia” chude
lata prawicy z lat 1992–2005.

– Być może zadecydowało to, że
Maciek to znany milczek, który nie łączy
do dziennikarzy – żartuje jeden z po-
lityków PiS. – W sytuacji, gdy co rusz
ważne informacje z PiS przeciekają jak
przez sito do dziennikarzy Onetu czy
„Rzeczpospolitej”, prezes mógł pokazać,
że ma dosyć rozplotkowania we frak-
cjach swego obozu. Łopiński wykazał
wielokrotnie, że potrafi być skuteczny,
a jednocześnie niezwykle dyskretny. Jak
skuteczny będzie przy Woroniczu?

Z PARTII DO PODZIEMIA

Urodził się w 1947 r. w Gdańsku.
O takich jak on mówiono, że należy do
pierwszego pokolenia urodzonego na
tzw. Ziemiach Odzyskanych. Genera-
cyjnie zawsze bardzo pasował do braci
Kaczyńskich, urodzonych tylko dwa
lata później niż on. Ukończył w 1972 r.
filologię polską na świeżo utworzonym
wówczas Uniwersytecie Gdańskim.
Jeszcze w czasie studiów podjął decyzję,
która będzie mu po latach nieraz wy-
pominana – wstąpił do PZPR. W latach
1974–1977 praktykował w partyjnym
„Głosie Wybrzeża”, a potem w stworzo-
nym w 1977 r. tygodniku „Czas”.

Gdańska PZPR, pod wodzą lokal-
nego sekretarza Tadeusza Fiszbacha,
jak na warunki Polski Gierka była dość
liberalna i gdański sekretarz rozpiął
nad „Czasem” parasol ochronny przed
dogmatykami. Łopiński jako sekretarz

redakcji razem z Andrzejem Liberad-
kim, wiceszefem tygodnika, potrafili
z tej okazji skorzystać i stworzyć jak na
tamte czasy i jak na rygory cenzury dy-
namiczne i ciekawe pismo. Reporterzy
„Czasu” w sierpniu 1980 r. wchodzili na
teren stoczni nie po to, by pisać anty-
robotnicze paszkwile, ale by chłonać
nową rewolucję. Przez okres karnawału
Solidarności w latach 1980–1981 „Czas”
próbował być wsparciem dla Fiszbacha,
licząc, że jakieś modus vivendi między
związkiem a władzą jest możliwe.

Gdy 13 grudnia 1981 r. wprowadzo-
ny został stan wojenny, Łopiński oddał
legitymację PZPR. Niedługo później
został negatywnie zaopiniowany przez
komisję weryfikacyjną w tygodniku
„Czas”. Liczba dziennikarzy, którzy za-
protestowali wówczas przeciw stanowi
wojennemu, była tak duża, że władze
zrezygnowały z dalszego wydawania
pisma.

W odróżnieniu od wielu innych par-
tyjnych, którzy jedynie „rzucili legityma-
cją”, Łopiński idzie dalej. Wraz ze swym
byłym przełożonym z „Czasu” Andrze-
jem Liberadzkim (który też wystąpił
z PZPR) zostają szefami podziemnego
biuletynu „Solidarność”. Dzięki warsz-
tatowi dziennikarskiemu zdobytemu
w „Czasie” jest to jedno z najlepszych
pism drugoobiegowych w kraju.

Równoległe do pracy przy piśmie
Łopiński wraz z dwoma innymi dzien-
nikarzami – Mariuszem Wilkiem i Zbi-
gniewem Gachem – przeprowadzą cykl
wywiadów z liderami podziemia: Wła-
dysławem Frasyniukiem, Zbigniewem
Bujakiem, Bogdanem Borusewiczem
i Bogdanem Lisem.

Zgoda na wywiady z pilnie wówczas
poszukiwanymi przez bezpiekę ukry-
wającymi się liderami związku była dla
Łopińskiego, człowieka, któremu pamię-
tano epizod w PZPR, ważnym świa-
dectwem zaufania. 11 grudnia 1982 r.
Łopiński zostaje aresztowany. W aresz-
cie odczuwają się silne bóle kręgosłupa.
Z racji fatalnego stanu zdrowia w marcu
1983 r. zostaje warunkowo zwolniony,
ale znajduje się pod obserwacją SB aż
do 1989 r. „Konspira” była w połowie
lat 80. bestsellerem w podziemiu.
W 1984 r. książka otrzymuje Nagrodę
Kulturalną „Solidarność”.

W latach 1986–1988 zostaje człon-
kiem Regionalnej Komisji Koordyna-
cyjnej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku.
Zaprasza wtedy Jacka Kurskiego do

redagowania „regionówki”. Łopiński
uczestniczy w strajkach w Stoczni Gdań-
skiej w maju i sierpniu 1988 r. W maju
1989 r. zostaje szefem „Tygodnika
Gdańskiego” – legalnego pisma Soli-
darności. Pismo wytrzymuje na rynku
tylko dwa lata. W 1991 r. zostaje szefem
spółki Prasa Bałtycka, do której wchodzi
w imieniu NSZZ „Solidarność” w ko-
operacji z koncernem Hachette. Obie
strony inwestują w „Dziennik Bałtycki”.
W końcu Francuzi z powodu kłopotów
finansowych w kraju sprzedają swoje
udziały w spółce niemieckiej grupie
Passauer Presse. W 1997 r. Łopiński
odchodzi ze spółki, protestując prze-
ciw przeprosinom Passauera za tekst
w „Życiu” o spotkaniu Wiktora Ałgano-
wa z Aleksandrem Kwaśniewskim. Od
1998 r. pełni funkcję prezesa Agencji
Rozwoju Pomorza SA. W latach 2002–
2005 aktywny jest w Grupie Zarządzają-
cej Pomerania SA.

POLITYKA WCIĄGA

Łopiński pierwszą polityczną propo-
zycję otrzymał w 1990 r. Wykreowany
przez prezydenta Lecha Wałęsę nowy
premier Jan Krzysztof Bielecki zapro-
ponował mu posadę rzecznika. Łopiński
nie przyjmuje jej, żartując, że „w rządzie
jest już dostatecznie dużo brodatych
kurdupłów”. Wtedy, w 1990 r., podzielił
między gdańskimi liberałami a „soli-
darnościowcami” nie wydają się duże.
Jednak decyzja Łopińskiego może
wskazywać, że już wówczas przeczuł on
rychłe rozejście się dróg obu gdańskich
obozów. Do polityki na serio wszedł
w 2005 r., przyjmując od prezydenta
Lecha Kaczyńskiego propozycję objęcia
funkcji sekretarza stanu w kancelarii,
a potem szefa jego gabinetu.

W sierpniu 2007 r. po raz pierwszy
wyciągnięte zostaje przeciw niemu jego
członkostwo w PZPR. Dla „Dziennika”
socjolog Jadwiga Staniszkis pisze: „Do-
wiedziałam się kilka dni temu, że szef
Kancelarii RP Maciej Łopiński w 1971 r.
– już po masakrze robotników na
Wybrzeżu – zapisał się do PZPR. Zdu-
miałam się, dotąd słyszałam jedynie, że
był kolegą Lecha Kaczyńskiego z pod-
ziemia”. W odpowiedzi głos zabiera
Bogdan Borusewicz, wówczas polityk
z drugiej strony barykady. W wywiadzie
dla Polskiego Radia mówi: „W czasie
stanu wojennego Maciej Łopiński był
podporą podziemia, był, można powie-
dzieć, moją prawą ręką w podziemiu,

przez wiele lat redagował podziemne pismo »Solidarność«, całe środowisko wprowadził do tego podziemia. W związku z tym jestem zaskoczony tego typu... takim stawianiem sprawy, bo jeżeli się mówi o kimś, to się mówi o całości jego życiorysu, a nie jakichś wybranych fragmentach”.

Łopiński w kancelarii Lecha Kaczyńskiego, jak sam wspominał, przeżył najważniejszą polityczną przygodę.

„Nie rzucał się w oczy na tym stanowisku, ale był dla prezydenta bardzo ważnym punktem odniesienia w najważniejszych decyzjach” – wspomina dziś jeden z ówczesnych pracowników pałacu prezydenckiego. „Ich relacje miały więcej z przyjaźni niż ze stosunków służbowych. To Maciek był osobą, z którą Lech Kaczyński cyzelował tekst swojego wystąpienia zaplanowanego na uroczystości 10 kwietnia w Smoleńsku”. Śmierć prezydenta i przemysł nienawiści, który wybuchł potem z nową siłą, według wielu opinii zmienił Łopińskiego.

„Z pozycji osoby podkreślającej niekiedy swój dystans do polityki przeszedł do roli kogoś, kto zrozumiał, że uchylanie się od konfliktów otwiera drogę tym, którzy nie cofnęli się przed żadnym zbrukaniem pamięci o Lechu Kaczyńskim” – mówi jeden z gdańskich działaczy Solidarności. Następuje zbliżenie Łopińskiego z Jarosławem Kaczyńskim, który ceni rady przyjaciela jego brata. W 2010 r. Łopiński staje na czele Ruchu Społecznego im. Lech Kaczyńskiego, ale nie jest to rola stworzona dla niego.

Od 2011 r. Łopiński jest posłem PiS aktywnym w Komisji Kultury i Środków Masowego Przekazu.

W sierpniu 2015 r., po wygranej Andrzeja Dudy, przyjmuje nominację na sekretarza stanu. Zapewne zadecydowały wspomnienia wspólnej służby u boku Lecha Kaczyńskiego, którego ideowym spadkobiercą czuje się nowy prezydent. Jednak jak wskazują niektórzy obserwatorzy polityki na szczytach obozu PiS, Łopiński nie bardzo mógł się odnaleźć w dość chaotycznym świecie kancelarii nowego prezydenta. Sporą część „dworu” stanowili ludzie młodszy od niego o prawie trzy dekady. W grudniu 2016 r., czyli rok i cztery miesiące po powrocie do pałacu na Krakowskim Przedmieściu, odszedł z kancelarii. W 2017 r. objął funkcję szefa Rady Nadzorczej TVP.

Nie odchodził w atmosferze konfliktu, ale można było słyszeć opinie o pewnym obustronnym rozczarowaniu. Jarosław Kaczyński miał do obsadzenia stanowisko szefa Rady Nadzorczej TVP i Łopiński z racji medialnego doświadczenia mógł być uważany za dobrego kandydata. Na pewno był mocnym wsparciem dla Jacka Kurskiego jako nowego szefa TVP.

W marcu 2019 r. doszło do pierwszej próby przeciągania liny między prezydentem Dudą a obozem PiS w sprawie TVP. Czekala wówczas na podpis prezydenta nowelizacja ustawy o rekompensacie abonamentowej, czyli przekazaniu mediom publicznym ponad 1,2 mld zł. Rada Mediów Narodowych odwołała wówczas Macieja Staneckiego, utożsamianego z ruchem Kukiz'15 z zarządu TVP. Na jego miejsce powołano Marzenę Paczuska i Piotra Pałkę. Paczuska odeszła z „Wiadomości” po konflikcie z Kurskim, a Pałka wcześniej rozstał się z TVP po sporze o decyzje programowe. Wydarzenia potoczyły się szybko. Pałka został zawieszony przez zarząd TVP, po czym sam zrezygnował, bo – jak się okazało – był w sporze prawnym z TVP. Zamiast Pałki członkiem zarządu miesiąc później został Mateusz Matyszkowicz, uznawany za osobę lojalną wobec Kurskiego.

Jak spekulowano wówczas w mediach – poszerzenie składu zarządu w telewizji publicznej było efektem kompromisu pomiędzy prezydentem Andrzejem

Dudą i wicepremierem Piotrem Glińskim, na rzecz wzmocnienia w mediach wpływów głowy państwa. I próbą osłabienia władzy prezesa Jacka Kurskiego. Łopiński stanął wówczas zdecydowanie po stronie prezesa TVP. Prezydent podpisał nowelizację, ale Pałka został wypchnięty z zarządu. Tym samym Paczuska znalazła się w mniejszości.

Po roku sytuacja się powtórzyła. Prezydent uzależnił podpisanie ustawy o przyznaniu 1,95 mld zł na media publiczne od dymisji Jacka Kurskiego. Gdy już dokument podpisał, Paczuska na wniosek Kurskiego została zawieszona, a rychło potem Kurski wrócił do gry w roli doradcy zarządu TVP.

Teraz Łopiński staje wobec kierowania gigantyczną machiną na Woronicza. Jako szef Rady Nadzorczej TVP od czterech lat dobrze jest wprowadzony w problemy spółki. Formalnie będzie pełnił swe obowiązki tylko do rozstrzygnięcia konkursu na nowego prezesa TVP. Jego nominację łączono dotąd głównie z zarządzaniem firmą w czasie kampanii wyborczej. Jednak być może znacznie ważniejszym wyzwaniem dla Łopińskiego będzie kierowanie największym publicznym medium w czasie pandemii koronawirusa. Na razie Jarosław Kaczyński wyraźnie zademonstrował, że prezydent nie zyska na stawianiu go pod ścianą. „Kingmaker” z Nowogrodzkiej zyskał czas na obmyślenie kolejnych ruchów na medialnej szachownicy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Łopiński w sierpniu 1988 r. w prowizorycznej redakcji biuletynu strajkowego Stocznia Gdańskiej im. Lenina (po lewej: Maciej Grabski, po prawej: Mariusz Wilczyński – ówczesni podwładni Łopińskiego) FOT. ARCHIWUM



Marek Jurek

Dlaczego Polska musi wypowiedzieć konwencję stambulską

Niedawne wybory na Słowacji przyniosły wyraźne zwycięstwo partiom przeciwnym genderowej konwencji stambulskiej. W ten sposób Słowacy „ratyfikowali” decyzję swojego parlamentu, który rok temu wypowiedział się przeciw genderowej konwencji ogromną, ponad 75-procentową większością głosów. Tak jasne stanowisko Słowacji, wspierające również decyzję bułgarskiego Trybunału Konstytucyjnego, to kolejny znak przypominający o potrzebie jej wypowiedzenia.

Pamiętajmy, że gdy była przyjmowana, rząd Kopacz prowadził demagogiczną kampanię, przykrywając hasłem: „Podpisały to wszystkie rządy w Unii” fakt, że nie ratyfikowała jej wówczas większość państw UE. Państwa tak liberalne (i właśnie ze względu na ochronę gospodarki przed inżynierią społeczną) jak Niemcy czy dzisiejsza Irlandia zrobiły to po Polsce. Wielka Brytania nie ratyfikowała konwencji stambulskiej do tej pory. Wśród państw nam najbliższych (wyszehradzkich i bałtyckich) jedynie Estonia zdecydowała się na ratyfikację. Presja jednak będzie rosła, szczególnie po bezpośrednim wejściu Unii Europejskiej do konwencji (umowa jest szerszym aktem Rady Europy). Nie ma więc czasu do stracenia. Dzisiaj jesteśmy jeszcze w Europie, w której są państwa przeciwnie gender (bo to jest zasadnicza motywacja państw Europy Środkowej), jutro możemy być sami, nawet jeśli zdecydowalibyśmy się na spóźniony sprzeciw. Trzeba to zrobić już dziś.

OTO 12 POWODÓW, DLA KTÓRYCH RZECZPOSPOLITA MUSI NIEZWŁOCZNIE WYPOWIEDZIEĆ KONWENCJĘ STAMBULSKĄ

1 Wstępnym i najoczywistszym powodem, dla którego Sejm powinien niezwłocznie przyjąć ustawę umożliwiającą wypowiedzenie konwencji stambulskiej (kontynuacja procedury należy do rządu i prezydenta), jest



RATYFIKACJA
KONWENCJI RADY
EUROPY
SENATOR
K.A. WIATR
PKT 8 18:54

Gender: Czas powiedzieć „Nie”

szacunek dla demokracji i uczciwość życia publicznego. W czasie procesu ratyfikacyjnego, w końcowym okresie rządów poprzedniej koalicji, konwencja została odrzucona przez ugrupowania (PiS i większość PSL), które już parę miesięcy później uzyskały zdecydowaną większość w wyborach powszechnych, co oznaczało możliwość realizacji deklarowanego stanowiska. Dzisiaj czas je zrealizować.

2 Kluczowym powodem, dla którego już w gabinecie Donalda Tuska konwencja spotkała się z takim sprzeciwem, jest wprowadzenie przez nią do polskiego prawa kategorii gender, „płci społeczno-kulturowej”, zakładającej

umowny charakter różnic płci. Stoi to w radykalnej sprzeczności z podstawami Konstytucji Rzeczypospolitej. Konstytucja – wskazując na komplementarność kobiety i mężczyzny w małżeństwie, na macierzyństwo jako wartość chronioną konstytucyjnie – nie traktuje płci jako cechą natury ludzkiej, określającą tożsamość każdego człowieka.

3 Artykuł 12. konwencji zobowiązuje państwa do „wykorzenia” zwyczajów i tradycji „opartych na stereotypowym modelu roli kobiet i mężczyzn”. Co więcej, działania te nie tylko mają mieć charakter negatywny. Państwa mają agere contra: „promować zmiany

5 marca 2015 r. senatorowie poparli w głosowaniu ratyfikację konwencji stambulskiej FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS



wzorców społecznych i kulturowych dotyczących zachowania kobiet i mężczyzn”. To np. może oznaczać (i często już oznacza w wielu miejscach Europy) podważanie roli małżeństwa i rodziny jako wzorów społecznych, co leży w radykalnej sprzeczności w Konstytucji Rzeczypospolitej.

4 Artykuł 14. konwencji angażuje w realizację wskazanych wyżej celów instytucje edukacji publicznej i pokrewne, zalecając im podejmowanie „działań koniecznych” do (między innymi) promowania „niestereotypowych ról przypisanych płciom”. Artykuł ten ignoruje zupełnie wychowawcze prawa rodziny, stanowiące przyrodzone prawo ludzkie, szeroko potwierdzone w dokumentach praw człowieka od Konstytucji Rzeczypospolitej (w artykułach 45, 48 i szczególnie 72) do Karty praw Unii Europejskiej.

5 Szczególną uwagę należy zwrócić na art. 4 konwencji, który z góry zapowiada, że „specjalne środki” podejmowane dla wdrożenia tej konwencji nie mogą być „uznawane za dyskryminację”. Tym samym więc z góry legalizuje wszystkie

działania naruszające – ignorowane w edukacyjnym art. 14 – wychowawcze prawa rodziny.

6 Należy zwrócić uwagę, jak konwencja jest interpretowana przez jej autoryzowanych promotorów. Poseł Christine Revault d'Allonnes-Bonnefoy z francuskiej Partii Socjalistycznej, która reprezentowała wnioskodawców rezolucji ratyfikacyjnej konwencji stambulskiej w Parlamencie Europejskim, oświadczyła po jej przyjęciu, że teraz „aborcja została uznana za prawo na poziomie europejskim”. Tak oficjalna reprezentantka przygniatającej większości Parlamentu Europejskiego interpretuje odejście od stereotypowych ról kobiety i mężczyzny.

7 Konwencja stambulska jest dziś przedmiotem ataku na rządy prawa, szczególnie wobec państw Europy Środkowej. Mimo uznania jej przez bułgarski Trybunał Konstytucyjny za sprzeczną z konstytucyjnymi gwarancjami praw rodziny, władze tego państwa są obok innych wzywane przez Parlament Europejski i Komisję Europejską do zignorowania porządku konstytucyjnego, który mają obowiązek szanować i urzeczywistniać. O ile w Bułgarii w tej sprawie zabrał głos Trybunał, o tyle w najbliższych nam państwach Europy Środkowej (wszyscy nasi partnerzy wyszebradzy, a także Litwa i Łotwa) ciągle odmawiają jej ratyfikacji rządy i parlamenty, nie tylko ze względów rzeczowych, lecz także konstytucyjnych.

8 Polska powinna zająć stanowisko solidarne z państwami odmawiającymi ratyfikacji konwencji stambulskiej, gdyż Europa, w której szanuje się prawa rodziny, jest bezpieczniejsza dla niepodległej Polski. Do tego zobowiązuje nas również uchwała Sejmu RP „w sprawie suwerenności polskiego prawodawstwa w dziedzinie moralności i kultury”, poparta 11 kwietnia 2003 r. przez niemal wszystkich posłów PiS, PO i PSL (był tylko jeden głos wstrzymujący się w tym gronie).

9 Władze Rzeczypospolitej muszą być również świadome, że stronami tej konwencji są w większości państwa przyjmujące radykalne ustawodawstwo aborcyjne i homoseksualne, które będą ją wykorzystywały do wywierania presji na nasze państwo poprzez opisany

w rozdziale IX konwencji „mechanizm monitorujący”. Ustawodawstwo tych państw stoi w sprzeczności z naszym, trudno więc mówić o niezbędnej wspólnocie wartości w tych kwestiach. O praktycznym, a nie teoretycznym, charakterze tego zagrożenia świadczy choćby stanowisko Parlamentu Europejskiego, opisane wyżej, w pkt 6.

10 Polska powinna nie tylko wypowiedzieć konwencję stambulską, lecz także promować i bronić na forum międzynarodowym prawa rodziny. Rezygnacja z ich obrony oznaczałaby cichą zgodę na dalszą dekadencję prawa europejskiego, a także na moralną izolację Polski na forum międzynarodowym. Dlatego wypowiedzeniu konwencji stambulskiej towarzyszyć powinno wyjście przez władze Rzeczypospolitej z inicjatywą zawarcia Międzynarodowej konwencji praw rodziny. Projekt tekstu konwencji (przygotowany przez Prawicę Rzeczypospolitej i Instytut Ordo Iuris) został przedstawiony rządowi RP. Naturalnymi adresatami konwencji są państwa nieratyfikujące konwencji stambulskiej.

11 Projekt Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny (podobnie jak polskie prawo) zawiera również bogaty zestaw instrumentów ochrony przed wewnętrznymi zagrożeniami dla rodziny, np. prewencją. W tym zakresie w pełni służy „zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej” (co stanowi deklarowany cel konwencji stambulskiej).

12 Zawarcie Międzynarodowej konwencji praw rodziny zapewni państwom broniącym praw rodziny strukturę współpracy na forum Unii Europejskiej i innych organizacji międzynarodowych, uruchomi solidarną obronę naszych państw przed zagraniczną presją antyrodzinną, umocni suwerenność Rzeczypospolitej, przywróci równowagę w Unii Europejskiej. Przekazuje również Europie nasz wspólny dorobek (nie na zasadzie standardu narzucanego, ale proponowanego i komunikowanego), dotyczący wartości, dzięki którym zachowaliśmy naszą tożsamość i zdobyliśmy wolność, która jest fundamentem bezpieczeństwa i współpracy dzisiejszej Europy.



Rafał A. Ziemkiewicz

Polacy, na szczęście, już dość dawno odrzucili jedną z głównych tez Michnikowej propagandy z lat 90., że „wyroków sądów się nie komentuje”. Informacje o kolejnych decyzjach ludzi w togach trafiają na czołówki mediów, są szeroko dyskutowane. I delikatnie mówiąc – bulwersują

Ze spraw niedawnych największy chyba rozgłos zdobyła sędzia Małgorzata Zwierzyńska z Gdańskiego Sądu Apelacyjnego. Orzekając w drugiej instancji w sprawie przeciwko niemieckiemu przedsiębiorcy Hansowi G., odwróciła wyrok wcześniejszy o 180 st., uznając za winną i skazując powódkę, która ujawniła rasistowskie, mobbingowe zachowania swego pracodawcy. Co prawda, niejako dla symetrii, podtrzymała również sędzia potępienie dla samego Hansa G., ale jego okrzyki, że rozstrzeliwałby chętnie Polaków, i pochwały dla metod stosowanych wobec nas przez Hitlera gdańska sędzia „wyceniła” tylko na przeprosiny w formie prywatnego listu do powódki (wśród komentarzy pojawiły się pytania, czy sędzia Zwierzyńska miałaby dla Niemca tyle samo wyrozumiałości, gdyby to samo, co chciał zrobić Polakom, zamierzał uczynić Arabom lub Żydom). Znacznie uciążliwsze przeprosiny na rzecz Hansa G. zasądziła ze strony powódki, Natalii Nitek-Płażyńskiej, co zapewne nie jest bez znaczenia w sprawie – żony byłego kandydata PiS na prezydenta miasta, dodatkowo wlepiając jej grzywnę za to, że pogroźki i obelgi swego pracodawcy nagrała bez jego wiedzy.

Żeby obraz kompromitacji sędzi Zwierzyńskiej był pełen, kilka dni później antypisowskie media (które jej kuriozalny wyrok wstydliwie przemilczały albo próbowały go bronić, najczęściej nieśmiertelnym argumentem, że „nie należy się wypowiadać, nie znając szczegółów sprawy”) zachłysnęły się prawomocnym skazaniem niejakego Rafała P. na dwa lata więzienia za znęcanie się nad żoną – sprawa niby dotycząca „nonejma” z prowincji, ale dla wspomnianych mediów łakomy kasek, bo Rafał P. był w swojej miejscowości radnym

z ramienia PiS. Clou sprawy w tym, że podstawą skazania była taśma magnetofonowa, nagrana przez byłą żonę ukradkiem, na której słyhać, jak mąż ją wyzywa i bije (skazany do końca utrzymywał, że była to z jej strony perfidna inscenizacja, czemu nie dano wiary). Istota sprawy – taśma jako podstawa zarzutów – była więc taka sama, postępowanie sądów w wypadku Niemca i radnego PiS krańcowo odmienne.

HIPOKRYZJA „WOLNYCH SĄDÓW”

Tego rodzaju podwójne standardy stały się jednak w polskich sądach normą i gołym okiem widać, że o wyroku rozstrzygają

bezkarność za oczywiste w świetle prawa i notorycznie popełniane przez te same osoby wykroczenia zakłócania i utrudniania legalnych manifestacji, znieważania osób publicznych i symboli religijnych, publicznego poniżania z uwagi na poglądy i przynależność do związków wyznaniowych etc. Sędzia Biliński, który – dziwnym trafem – regularnie losował sprawy „opozycji ulicznej”, posunął się nawet do użycia w uzasadnieniu swojego „wyroku” argumentu, że atakowanie Marszu Niepodległości jest „w interesie społecznym”, ponieważ wśród organizatorów tego marszu są „organizacje faszystowskie”,

Prawo Kalego



nie kodeksy, lecz polityczne sympatie sędziów. Chętnie korzystają oni przy tym z instrumentów prawnych, pozwalających im na całkowicie uznaniowe i wybiórcze stosowanie bądź zawieszanie przepisów, takich jak ocena stopnia „szkodliwości społecznej” czynu lub usprawiedliwianie „uzasadnionym interesem społecznym”. W warszawskim Sądzie Okręgowym dzięki temu właśnie przez długi czas funkcjonował jako specjalista od taśmowego uniewinniania zadymiarzy KOD i Obywateli RP sędzia Łukasz Biliński, zapewniający

a sam marsz „propaguje zachowania faszystowskie” – deprecjonując w ten sposób decyzje zarówno sądu rejestrowego, który w statutach i działaniach ONR oraz Młodzieży Wszechpolskiej „faszyzmu” nie wykrył, jak i własnego sądu, który w innym składzie orzekającym kilkakrotnie uznawał post factum za bezprawne decyzje władz miasta o rozwiązaniu Marszu Niepodległości i innych manifestacji narodowców.

Szczególnie jaskrawo widać tu hipokryzję „wolnych sądów”, gdy przypomniemy sobie całą serię surowych wyroków,

wydawanych na narodowców czy kibiców pod zarzutami znieważenia czy naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariuszy (można bez trudu znaleźć szczegółowe informacje o tym na ich stronach internetowych). Z reguły do skazania wystarczyło wtedy samo zeznanie funkcjonariusza, nawet gdy funkcjonariusze sobie nawzajem przeczyli albo kiedy zaprzeczały ich zeznaniom nagrania z monitoringu.

OBYWATELE „WYBITNI”

Tymczasem kilka dni przed szokującym orzeczeniem sędzi Zwierzynieckiej w warszawskim sądzie okręgowym sędzia Urszula



FOT. ADBEE/STOCK

la Myśliwska frazesem o „uzasadnionym społecznie celu” jego zachowania uniewinniła z zarzutu o naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza i stawianie mu oporu Władysława Frasyniuka. Uniewinniła prawomocnie, gdyż rozstrzygała tę sprawę w apelacji – nie jest jednak tak, żeby sąd pierwszej instancji miał śmiałość Władysława Frasyniuka ukarać. Sąd rejonowy orzekł jedynie, że Frasyniuk, kopiąc policjanta, postąpił źle – przy czym skwapliwie skorzystał z furtki, by wynikające z tego stwierdzenia konsekwencje

„warunkowo” umorzyć. Okazało się, że to za mało: Frasyniuka nie wolno nie tylko karać, lecz także nie wolno mu odmawiać prawa do robienia wszystkiego, co tylko mu do głowy przyjdzie, nawet do kopania policjantów i podawania im fałszywych danych osobowych (tu z kolei Frasyniuk vel „Jan Józef Grzyb” uniewinniony został w innym procesie).

Widać tu, że nie była bynajmniej przypadkiem odosobnionym teza, którą zawarł przed laty jeden z gdańskich sądów w uzasadnieniu sprawy cywilnej wytoczonej przez Grzegorza Brauna Lechowi Wałęsie – uzasadnienie podkreśliło, że Lech Wałęsa nie jest zwykłym obywatelem, ale „wybitnym obywatelem RP”, więc – w domyśle – jako „wybitnemu” wolno mu więcej, np. poprzez oszczerstwa i obelgi naruszać bezkarnie dobra osobiste „niewybitnego”, takiego jak Grzegorz Braun. Wydawałoby się, że zasada równości wobec prawa jest od czasów rzymskich zasadą fundamentalną, nienaruszalną... Jednak – jak widać – nie w III RP.

To każe uznać za nieuzasadnione głosy zwolenników obozu rządzącego i sprzyjających mu mediów, że precedens Frasyniuka oznacza zachętę do bezkarnego atakowania funkcjonariuszy publicznych. Polskie prawo, w przeciwieństwie do znanego nam z filmów prawa anglosaskiego, nie uznaje precedensów i nikt, kto śledzi orzecznictwo „wolnych sądów”, nie ma SPPwątliwości, że narodowców, kibiców i innych „pisowców” nadal będą one skazywać surowo za samo krzywe spojrzenie na policjanta.

Otwarta rebelia, podniesiona przez sędziowski establishment przeciwko państwu polskiemu (w propagandzie sędziowskich stowarzyszeń zwanych „państwem PiS”), skutkuje zupełnym zanikiem resztek wstydu i pozorów obiektywizmu. Sędziowie przestają nawet udawać, że kierują się względami towarzyskimi, wręcz podkreślają w ten sposób swe oddanie idei „wolnych sądów”. Rozprawa przeciwko sprawcom grupowej napaści zadymiarzy rozzuchwalanych przez sędziego Bilińskiego i jego koleżeństwo na prezenterkę TVP Magdalenę Ogórek, w której ona sama występuje w roli świadka, nieskrywana życzliwość składu sędziowskiego dla podsądnych pozwoliła im zmienić w żenujący spektakl agresji wobec świadka i jej wielogodzinne poniżanie przez napastników oraz ich adwokatów.

Innym przykładem stronnictwa sądów może być porównanie losów powództwa cywilnego Doroty Wellman przeciwko Jackowi Piekarze z moim przeciwko Dariuszowi Stoli. Ponieważ Dorota Wellman nie знаła adresu Piekary, sąd skazał go zaocznie na absurdalnie wysokie odszkodowanie 0,5 mln zł (za aluzijną kpinę z jej prezencji!). Ponieważ ja w pozwie nie podałem prywatnego adresu Stoli, sąd odesłał mi pozew z informacją, że niestety muzeum Polin nie jest w stanie ustalić miejsca pobytu swojego, wówczas jeszcze, dyrektora, w związku z czym sąd sprawę umarza. Tymczasem nieuchwytny były dyrektor Polinu bryluje w mediach, powtarzając swoje kłamstwa na mój temat i drwiąc sobie ze mnie w poczuciu zapewnionej mu przez sąd bezkarności. Ja tam nie narzekam. Bo czymże jest to wobec kolejnych prawomocnych wyroków skazujących Jana Śpiewaka – ostatnio, z artykułu karnego, za używanie sformułowania „dzika repywatyzacja”?

POCZUCIE BEZKARNOŚCI

Dodać trzeba, że wśród narzędzi prawnych do kultuwowania prawa Kalego otrzymali zbuntowani sędziowie fantastyczny prezent, jakim była zmiana sensu rozprawy apelacyjnej. Kiedyś sąd apelacyjny oceniał tylko prawidłowość działania sądu pierwszej instancji i jeśli stwierdzał błędy, to odsyłał mu sprawę. Obecnie może wszystko, po prostu sądzi całą sprawę od nowa, po swojemu – teoretycznie można w pierwszej instancji wygrać sprawę o zwrot długu, a w drugiej nieoczekiwanie zostać rozwiedzionym. Olsztyński sędzia Paweł Juszczyżyn, który w równie karkołomny sposób zamienił prostą sprawę cywilną o zapłatę należności w rozprawę przeciwko Krajowej Radzie Sądownictwa i Kancelarii Sejmu jest przecież obecnie przez sędziowskie towarzystwo fetowany i bryluje za granicą jako bohater i ofiara represji „reżimu”.

Właściwie odbiera to sens istnienia sądów rejonowych, gdzie – tak się składa – dużo łatwiej o sprawiedliwość niż w opanowanych przez establishment sądach apelacyjnych. Wykorzystując tę przewagę, wysyła on do wszystkich wrogów PiS sygnał: „Odwagi, dopóki my trzymamy kontrolę nad sądownictwem, dopóty żaden »pisowiec« ani ich państwo nic nikomu nie zrobią! Jeśli tylko jesteście po naszej stronie – pozostaniecie bezkarni!”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kandydat bez właściwości



Tomasz Rowiński

Kampania wyborcza Szymona Hołowni, pisarza katolickiego, jest dobrym przykładem instrumentalizacji religii w życiu politycznym, a także tego, jak katolik może dać się korumpować nadziejom na polityczny sukces

Po co Hołowni, który w grudniu ogłosił swój start w wyborach prezydenckich, ten sukces, skoro nie zamierza, jako polityk, wspierać najważniejszych postulatów katolickiej nauki społecznej. Co więcej, robi wszystko, by zaprzeczyć swojej przeszłości katolickiego publicysty i popularyzatora wiary.

Zwykle w Polsce zarzut upolitycznienia religii stawiano partiom i politykom prawicowym, którzy odwołują się do katolickich zasad. Szymon Hołownia jest jednak

postacią z innej bajki. Znany szerokiej publiczności z prowadzenia popularnych programów telewizyjnych, takich jak „Mam talent”, od lat publikujący w wysokonakładowych mediach świeckich i katolickich, codziennych i kolorowych. Dla wielu czytelników ważny autor takich książek jak „Tabletki z krzyżykiem”, „Monopol na zbawienie” czy „Bóg. Życie i twórczość”, w swojej treści będących łagodną apologią wiary katolickiej. Hołownia postanowił jednak z początkiem roku 2020 wejść w buty przedstawicieli zgasłych już gwiazd chrześcijańskiej demokracji i przekonać elektorat, że bycie katolikiem w polityce nie niesie ze sobą żadnych zobowiązań.

W poniedziałek 10 lutego br. Hołownia orzekł, że zmienił opinię na temat moralnej oceny metody sztucznego zapłodnienia, czyli in vitro. „Ja bardzo jasno przecież też mówię, że zmieniłem zdanie w sprawie metody in vitro po wielu rozmowach z osobami, które stosowały tę metodę” – odpowiadał dziennikarzom. Dodawał, że zmiana ta („poszerzenie wrażliwości”) nastąpiła po licznych rozmowach z parami, które mają dzieci poczęte tą metodą. Wypada zapytać

jednak, dlaczego poszerzenie wrażliwości nie nastąpiło w stronę zauważenia, jaki los czeka te osoby ludzkie, które sztucznie są powoływane do życia, a potem w procesie selekcji przed zabiegiem odrzucane. Dlaczego uwrażliwienie oznacza opcję preferencyjną dla silniejszego, potencjalnego wyborcy, a nie niemego, wykluczonego, odrzuconego przez egoizm dorosłych dziecka? Stawanie po stronie słabszych osób jest jednym z fundamentów postawy katolickiej w dzisiejszej polityce.

BLISKO CHADECJI

Jak wygląda po tych deklaracjach wiarygodność Hołowni? Jego książek? Sytuacja jest tym bardziej zadziwiająca, że w 2013 r. Hołownia zakończył współpracę z tygodnikiem „Wprost”, gdy ten niezapowiedziane nie opublikował felietonu naszego bohatera zawierającego krytyczne uwagi na temat in vitro. Dziennikarz pisał wtedy stanowczo: „Chrześcijańska miłość bliźniego nie pozwala mi rzecz jasna dłużej męczyć swoją obecnością ludzi, którzy na łamach chcą uprawiać wolność myśli, pod warunkiem że są to ich własne myśli. Jestem też już chyba za stary, by tłumaczyć komuś, że tego zawodu nie wykonujemy dla siebie, ale dla odbiorców, którzy – jak sądzę – chcieliby czytać rzeczowe polemiki, a nie emocjonalne wystąpienia pań, które po łapach biją nieprawomyślnych Szymusiów, ach jakże ślepych na ludzkie cierpienie i równie ślepo miłujących księży”.

Przy okazji wolty z oceną in vitro warto zatrzymać się chwilę przy wyrażonych nie wprost zasadach politycznych Szymona Hołowni. Nie znajdziemy w nich odwołania do katolickiej zasady poszanowania życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci ani przesłania, że nikt nie ma prawa być panem życia innej osoby. Jedyne, co mówi nam Hołownia, to to, że rozmawia z różnymi ludźmi. Widać jednak, że nie z zamiarem, by ich przekonać do większego dobra wynikającego z katolicyzmu, ale by samemu po prostu przejmować poglądy tych, z którymi rozmawia. Doskonała charakterystyka polityka bez właściwości, tak podobna do postawy formacji chadeckiej, która od drugiej wojny światowej krok po kroku przyczyniała się do demontażu cywilizacji chrześcijańskiej w Europie. Dzięki chrześcijańskiemu demokraciowi w jednym kraju wprowadzono rozwody, w innym aborcję, w jeszcze innym orzeczono nieodwracalność prawa eutanazyjnego. Tak wyglądają ich realne osiągnięcia.

Pierwotna skaza chadeckiej obecności w polityce polega na uznaniu, że świat sam będzie zmierzał ku dobremu bez jednoznacznego stawiania postulatów chrześcijańskich, że cywilizacja liberalna jest de facto nową formą świata chrześcijańskiego i trzeba płynąć z jej nurtem. W rozwoju historycznym chadecji okazało się jednak, że nie stała się ona nowym sposobem na efektywną obecność chrześcijan w polityce, ale narzędziem, by zaangażowanych publicznie katolików wykorzystać do budowania zupełnie innej cywilizacji. Politycznej praktyce wtórowali rozmaici teologowie i myśliciele przekonujący, że nauka społeczna Kościoła „już” nie obowiązuje lub wręcz nie istnieje. Hołownia mógłby się teraz bronić, mówiąc, że nie jest politykiem katolickim. Jednak czy wobec jego wcześniejszego zaangażowania brzmiałoby to niewiarygodnie? Poza tym Kościół zobowiązuje do katolickiej postawy każdego wierzącego i człowieka dobrej woli, który wchodzi w politykę.

W kolejce do ciekawych rozmów, czyli wykorzystania praktycznych aspektów „doktryny Hołowni”, po zwolennikach in vitro stoją przedstawiciele politycznego ruchu homoseksualnego z „równością małżeńską” i adopcją dzieci oraz feministki z „piekła kobiet”, czyli państwa ograniczającego dostępność aborcji. Skoro „wystarczy porozmawiać”, by wejść do agendy, to znaczy, że polityka katolicka w wykonaniu Hołowni jest po prostu pozbawiona treści. Hołownia wpisuje się w pewną liberalną praktykę wykorzystywania katolickiego wizerunku do przytrzymywania części religijnego elektoratu. W 2008 r. Ewa Kopacz, przyznając się do aborcji dziecka „Agaty” w głośnej wtedy sprawie, powiedziała, że jest praktykującą katoliczką, ale „przekonania, z którymi żyjemy, musimy zostawić w przedpokoju urzędu, który obejmujemy”. „Aborcja, która odbywa się zgodnie z prawem, nie jest niczym złym” – dodawała. W tym samym mniej więcej czasie Jarosław Gowin, wtedy polityk PO, w kontekście in vitro mówił z irytacją: „Przykro mi bardzo, ale polityk nie jest od tego, by zajmować się teologią i dawać świadectwo wierności swoim przekonaniom”.

To bardzo znamienne, jeśli polityk odmawia rozumnego namysłu („zajmowanie się teologią”) nad sprawami publicznymi i, co więcej, nie zamierza realizować tego, co prywatnie uważa za słuszne, to jakimi względami zamierza się kierować? Prawdopodobnie sondażami i tym, co usłyszy

w „rozmowach”. Najlepiej zapewne zapamiętanym przykładem rozwodnionego katolicyzmu politycznego była deklaracja Bronisława Komorowskiego przed wyborami prezydenckimi z roku 2015. Chcąc zachować „konserwatywne” oblicze, były prezydent wypowiedział słynne: „Zawsze byłem i jestem, i mam nadzieję, że zawsze będę za życiem. A metoda in vitro uporządkowana w sensie prawnym to jest właśnie opowiedzenie się za życiem, za szansą na posiadanie dzieci”. Wypowiedź ta funkcjonowała w kolejnych latach jako memiczne hasło: „Jestem katolikiem, jestem za życiem, jestem za in vitro”. Tyle że procedury in vitro, która jako produkowanie ludzi co do zasady jest niegodziwa, więcej poczętych osób nie przeżywa, niż przeżywa. Hołownia widać postanowił wpisać się w myśl prezydenta Komorowskiego.

W sprawie ochrony życia postanowił więc stanąć tam, gdzie zawsze stawali w większości katolicy z Unii Demokratycznej czy Unii Wolności, a potem PO (zresztą teraz także wielu w PiS). Nie dziwi to zresztą tak bardzo, skoro za kampanią tego kandydata stoi Jacek Cichocki, wieloletni współpracownik Donalda Tuska, także minister spraw wewnętrznych związany z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej, środowiskiem zdecydowanie bardziej lewicowym niż katolickim. Tutaj także można dopatrywać się sił, które kształtują dzisiejsze wypowiedzi Szymona Hołowni. Zanim ogłosił on swoją decyzję o starcie w wyborach, wśród przedstawicieli „lewicy katolickiej” zauważalne było sondowanie możliwości zainteresowania publiczności osobą Adama Bodnara. Skoro można było sobie wyobrazić Adama Bodnara, skrajnie lewicowego aktywistę, jako kandydata na prezydenta środowisk katolickich, to nie dziwi, że i Hołownia musiał po prostu przestać głosić katolicki pogląd na świat, jeśli chciał wziąć udział w grze swoich rozgrywających.

„SZERSZA WRAŻLIWOŚĆ”?

Gdy ostatnio partia Razem przypomniała jego słowa z roku 2013, kiedy mówił, że „aborcja to zabójstwo”, zareagował bardzo nerwowo, zarzucając partii Zandberga kłamstwo. Trzeba przyznać, że przykro było czytać, jak Szymon Hołownia panicznie przecina kolejną więź z chrześcijańskimi zasadami. Podkreślam – chrześcijańskimi, bo przecież całkowity sprzeciw wobec aborcji łączy większość Kościołów i wspólnot kościelnych. W końcu jest ona właśnie tym, czym nazwał ją Hołownia w 2013 r.

– zabójstwem. Być może Hołownia ma poczucie, że zatriumfował nad Razem, składając tę partię do przeprosin. W rzeczywistości to jednak Razem zwyciężyła, składając polityka katolickiego do kolejnej rejterady i kompromitacji. Zapewne ucieszyli się też ci, którzy na Hołownię stawiają, ponieważ „szersza wrażliwość” to szerszy elektorat. Przegrał natomiast sam Hołownia, który już zyskał opinię człowieka o złamanym kręgosłupie. Gdyby tego było mało, pod koniec lutego, spowodowany rozmową, zadeklarował, że nie miałby nic przeciwko podpisaniu przepisów o dostępności pigułki wczesnoporonnej, która ma działanie po prostu aborcyjne.

Wróćmy na koniec do kwestii instrumentalizacji religii. Mogłoby się wydawać, że po tych rozmaitych woltach nikt nie będzie postrzegał Szymona Hołowni jako poważnego kandydata dla katolickiego elektoratu. Jednak tak nie jest. Specyficzni zwolennicy Hołowni, składający się z osób o nieokreślonym, wyborczym lub niechętnym stosunku do nauczania społecznego Kościoła, znaleźli swojego wyrazistego kościelnego adwokata w osobie popularnego kaznodziei o. Adama Szustaka. Szustak na swoim vlogu obserwowanym przez 600 tys. osób „prywatnie” poparł Hołownię, dodając, że zagłosuje po raz pierwszy od 23 lat, ponieważ do tej pory nie było żadnego godnego jego głosu kandydata. Zdumiewający brak rozeznania w polityce i zasadach publicznych własnego Kościoła! Również, jak widać, „prywatność” w ustach „liberalnych katolików” – a o. Adam Szustak zapisał się właśnie do tego klubu – ma różne odcienie. I choć Szustak przeprosił za to, że wypowiedział się tak jednoznacznie w sprawach polityki, to nie może odwrócić tego, że już wpisał się w fałszującą katolickie tropy i nadużywającą religijnego tła orkiestrę Hołowni.

Gdy kilka tygodni temu pojawiły się pierwsze ataki na Hołownię ze strony prawicowej za różne kontrowersyjne, ale drugorzędne słowa, napisałem w mediach społecznościowych, że jeszcze będziemy jako katolicy bronić. Miałem na myśli to właśnie, że mimo swojego swobodnego i prowokacyjnego języka Hołownia ma szansę zebrać elektorat rozczarowany zarówno imposybilizmem władzy w sprawie ochrony życia, jak i rewoltowaniem państwa przez partię rządzącą. Dzisiaj nic już z tego nie zostało, nie ma o czym mówić. Pozostały katolicyzm bezobjawowy i miły celebrycki populizm bez właściwości.



Maciej Pieczyński

Ruszyły największe od ćwierćwiecza manewry wojskowe na Starym Kontynencie. Żołnierze US Army przeciwczą zdolność do szybkiego przetrzucenia sił z Ameryki do Europy. Również do Polski. Defender-Europe 20 może dać odpowiedź na pytanie: Czy zachodni sojusznicy zdążą przyjść nam z pomocą w przypadku agresji ze Wschodu?



Obronić Europę przed

Do Europy przybył 20-tysięczny kontyngent wojsk amerykańskich. W tej liczbie 12,5 tys. to żołnierze w służbie czynnej. Na resztę składają się rezerwiści (750) oraz oddziały Gwardii Narodowej (formacja milicyjna, wspierająca regularną armię) z 15 stanów USA (7 tys. funkcjonariuszy). Z pięciu amerykańskich portów na stronę Starego Kontynentu wypłynęło 20 tys. jednostek sprzętu. Kolejnych 13 tys. jednostek pobiorą Amerykanie ze specjalnych składów istniejących już w Europie. To siły wielkości dywizji. Głównym celem manewrów jest sprawdzenie zdolności

armii amerykańskiej do przetrzutu dużej liczby żołnierzy wraz ze sprzętem z baz znajdujących się w Stanach Zjednoczonych na flankę wschodnią NATO.

Ogółem w manewrach weźmie udział 37 tys. żołnierzy z 18 państw. Poza Stanami Zjednoczonymi: Belgia, Kanada, Czechy, Niemcy, Dania, Hiszpania, Estonia, Francja, Wielka Brytania, Gruzja, Włochy, Holandia, Węgry, Litwa, Łotwa, Rumunia, Polska. Oprócz 20-tysięcznego kontyngentu zza oceanu ćwiczyć będzie również 9 tys. żołnierzy US Army, stacjonujących na co dzień w Europie. W manewrach weźmie udział 2 tys. polskich

żołnierzy. Ćwiczenia i powiązane z nimi wydarzenia odbywać się będą od lutego do sierpnia na terenie 10 państw: Belgii, Czech, Gruzji, Niemiec, Włoch, Holandii, Polski, Litwy, Łotwy i Estonii.

ZNALEŹĆ SŁABE PUNKTY

Jak podkreśla dr Jan Wiśniewski, historyk, ekspert ds. międzynarodowych z Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, manewry pozwolą prześledzić i udoskonalić metody oraz procedury związane z przetrzucem wojsk amerykańskich z terytorium USA do portów zachodnio-europejskich, a później do Polski i innych

W stronę Europy wypłynęło 20 tys. jednostek sprzętu. Kolejnych 13 tys. jednostek Amerykanie pobiorą ze specjalnych składów istniejących już na Starym Kontynencie. FOT. KARSTEN KLAMA/DPA/PAP



Rosją

krajów tzw. wschodniej flanki NATO. – To będzie doskonała okazja również dla polskiej administracji, aby przeciwżyć współpracę z wojskiem na wypadek ewentualnych działań zbrojnych na terenie naszego kraju. Tego typu doświadczenia sprawią, że instytucje państwowe oraz samorządy będą w przyszłości bardziej wyczulone na kwestie uwzględniające potrzeby sił zbrojnych, m.in. przy budowie różnego rodzaju obiektów infrastruktury transportowej, organizacji ruchu itp. – mówi dr Jan Wiśniewski.

Z kolei dla NATO ćwiczenia Defender-Europe 20 będą miały znaczenie

bardzo wymierne. Mogą bowiem obnażyć wszelkie niezbędne do usunięcia mankamenty logistyczne, na które wojska amerykańskie mogą natrafić podczas szeroko zakrojonego transportu z terenu Stanów Zjednoczonych na flankę wschodnią Sojuszu – mówi dr Wiśniewski.

– Manewry wpisują się w koncepcję „military mobility” (mobilności wojskowej). Nasi sojusznicy zdali sobie sprawę z tego, jak ważne jest, aby przeciwżyć możliwość przegrupowania ciężkiego sprzętu oraz tysięcy ludzi na dużą odległość – mówi „Do Rzeczy” poseł PiS Michał Jach, przewodniczący sejmowej

Komisji Obrony Narodowej. – Polski rząd przywiązuje wagę do kwestii mobilności wojskowej. Już trzy lata temu wprowadziliśmy przepisy pozwalające bardzo szybko przygotować trasy przegrupowania sił NATO-wskich przez terytorium naszego kraju – dodaje.

Poseł PiS wskazuje ponadto, że Defender-Europe 20 to przedsięwzięcie o charakterze nie tylko wojskowym. – W manewry będą zaangażowane również poszczególne organy państwa, władzy, samorządu. Przecież podczas przerzutu dużej liczby żołnierzy trzeba rozwiązywać takie problemy jak uzyskanie możliwości odpowiedniego dostępu do wody pitnej, zapewnienie opieki lekarskiej, zaopatrzenie w paliwo itp. Te wszystkie aspekty zostaną przećwiczone – mówi poseł. – Manewry pozwolą wyszukać i wyeliminować słabe punkty w sferze logistyki. Często przecież bywa tak, że obraz, przedstawiony na mapach, nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Przykładowo, w teorii na trasie przemarszu wojsk znajduje się most, w praktyce jednak okazuje się, że jego wytrzymałość nie jest wystarczająca. I wtedy trzeba szukać obejścia, innych możliwości – dodaje.

„Polska jako państwo gospodarz udostępnia wojskom sojusznikom dużą część narodowej infrastruktury. Jest to wielkie wyzwanie, zwłaszcza w sytuacji, gdy chcemy uniknąć zatorów na drogach czy kolejkach na przejazdach kolejowych – właśnie dlatego współpraca ze sferą cywilną jest dla MON tak ważna. Przybywające do Polski siły sojusznicze będą korzystać m.in. z infrastruktury drogowej, kolejowej, lotniczej i morskiej oraz usług w postaci np. zakwaterowania czy żywienia. Polskie instytucje i jednostki wojskowe będą odpowiadać za zabezpieczenie transportu i ruchu wojsk, zapewnienie środków materiałowych (np. paliwa) i technicznych, zabezpieczenie medyczne, łączności, ochrony wojsk, obsługi prawnej i działalności w wielu innych obszarach” – czytamy na stronie internetowej wojsko-polskie.pl.

Do przerzutu lotniczego wojsk w ramach manewrów wykorzystane zostały cywilne lotniska w Gdańsku, Poznaniu i we Wrocławiu. Siły sojusznicze, biorące udział w ćwiczeniach, będą stacjonować w Bartoszycach, Bemowie Piskim, Biedrusku, Bydgoszczy, Drawsku Pomorskim, Gdyni, Kielcach, Krakowie, Mirosławcu, Morągu, Powidzu, Pruszczu Gdańskim, Szczecinie, Świdwinie, Świątoszowie, Toruniu, Ustce, Wędrzynie i Żaganiu. Kołowe pojazdy

wojskowe będą przemieszczać się po drogach publicznych w specjalnie oznaczonych i pilotowanych konwojach. Pojazdy gąsienicowe (m.in. czołgi) transportowane będą koleją lub po drogach publicznych, ale za pomocą specjalnych kołowych zestawów z niskim podwoziem. Okres największej intensywności działań przypadnie na maj i czerwiec.

– W teorii wszystko może dobrze wyglądać, w praktyce, bez ćwiczeń mogłoby się okazać, że nie będziemy tak dużej pomocy wojskowej w stanie przyjąć – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” kmdr por. rez. Artur Bilski z think tanku Nobilis Media. – Rosjanie takie ćwiczenia organizują już od lat, więc Defender jest tylko spóźnioną odpowiedzią na działania Rosjan w zakresie realnych scenariuszy konfliktu i konieczności przerzutu wojsk w rejon działania. Dlatego działania ćwiczenia w ramach Defender-Europe 20 mają charakter odstraszenia i przeciwdziałający konfliktowi, ponieważ idą za deklaracjami politycznymi o wsparciu flanki wschodniej i pokazują, że USA (bo to są amerykańskie ćwiczenia) są zdeterminowane bronić Europy Środkowej – dodaje.

ZACIEŚNIENIE SOJUSZU

Bardziej optymistycznie postrzega manewry gen. Roman Polko, były dowódca Wojskowej Formacji Specjalnej GROM. – Przez kilkanaście lat pakt północnoatlantycki zajmował się wszystkim, tylko nie obroną własnego terytorium. Zamiast angażować się w bezpieczeństwo własnych członków, sojusz wikłał się w działania zbrojne na pustyniach Bliskiego Wschodu. Defender-Europe 20 to dowód, że NATO nareszcie wraca do źródeł. W końcu zrozumiano, że teza Fukuyamy o „końcu historii” była naiwną mrzonką, bo w centrum Europy rośnie wielkie zagrożenie ze strony agresywnej polityki Rosji. Poza tym Polska ma być hubem dla całej flanki wschodniej – mówi „Do Rzeczy” gen. Polko.

Jego zdaniem ćwiczenie masowego przerzutu wojsk świadczy o zrozumieniu podstawowej dla współczesnego pola walki zasady, którą jest mobilność żołnierza. – Przebywając na szkoleniach w USA, śmiałem się z Amerykanów, że zapewne nie potrafiliby pokazać Polski na mapie świata. W odpowiedzi usłyszałem: „To wymień wszystkie stany Ameryki, jeśli jesteś taki mądry”. Mina mi zrzedła. Ta anegdota pokazuje, jak ważne jest wzajemne poznanie terytorium sojusznika. Manewry pozwolą naszym sojusznikom poznać dobrze nasz

kraj, a to ma naprawdę niezwykle istotne znaczenie w kontekście ewentualnej pomocy – twierdzi gen. Polko.

Były dowódca GROM jest przekonany, że Defender-Europe to kolejny krok do zacieśnienia sojuszu z USA i jego urealnienia. – Amerykanie wiedzą, co to jest honor żołnierza. Nawet jeśli żołnierz ten służy poza granicami własnego kraju. W USA weterani misji zagranicznych są uważani za bohaterów. Nie toczą się tak częste u nas dyskusje na temat sensowności przelewania krwi daleko od domu. Dlatego jestem pewien, że będziemy mogli na nich liczyć – dodaje.

REAKCJA ROSJI

Manewry, co było do przewidzenia, wywołały negatywną reakcję Moskwy. Rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wezwało NATO do „przemyslenia” skutków „agresywnych działań”. „Pod pretekstem realizacji obowiązków w ramach NATO Stany Zjednoczone systematycznie zwiększają obecność swoich sił zbrojnych w Europie Wschodniej, w bezpośredniej bliskości granic naszego kraju [...]. Również obecnie ani NATO, ani Waszyngton nie ukrywają, że »potencjalnym przeciwnikiem« w ramach ćwiczeń (Defender-Europe) jest Rosja... Nie uda się jednak wymusić zmiany rosyjskiego kursu w polityce zagranicznej. W historii Rosji było wielu takich, którzy próbowali jej grozić z bronią w ręku. Wszystkie te próby kończyły się fatalnie” – można przeczytać w oświadczeniu rosyjskiego MSZ.

Tym samym, zgodnie z tradycyjną retoryką kremłowskiej propagandy, jakkolwiek aktywność na wschodniej flance NATO traktowana jest jako kontynuacja wielowiekowej (od czasów walk z Niemcami i ze Szwedami w średniowieczu, wkroczenia Polaków do Moskwy w XVII w., przez Napoleona i Hitlera) agresji Zachodu na Rosję. Resort kierowany przez Siergieja Ławrowa, jak zwykle w podobnej sytuacji, grozi odpowiedzią: „Co zrozumiałe, w naszej infrastrukturze wojskowej uwzględnimy agresywne działania USA i NATO. Radzimy przedstawicielom NATO zastanowić się nad konsekwencjami agresywnych działań, które tylko spotęgują napięcie międzynarodowe”. Absolutnie nie jest dla Moskwy argumentem defensywny z założenia charakter manewrów.

Zdaniem dr. Wiśniewskiego z WSK-SiM w Toruniu będzie to również dobra okazja do zademonstrowania siły NATO. – W manewrach weźmie udział blisko

37 tys. ćwiczących żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych oraz z pozostałych państw sojuszu i partnerów. Taka demonstracja z pewnością da wiele do myślenia Władimirowi Putinowi czy też innym potencjalnym przeciwnikom NATO – mówi dr Wiśniewski.

Doktor Wiśniewski nie ma wątpliwości: rządowe media prokremlowskie będą z całą mocą podkreślać rzekome zagrożenie Rosji ze strony państw NATO. Będzie miało to związek nie tylko z kwestiami międzynarodowymi, lecz także będzie głównie dotyczyło rosyjskiej polityki wewnętrznej. – Trzeba pamiętać, że ostatnimi czasy spada poparcie społeczne dla Putina. W tej sytuacji machina propagandowa będzie szukać wroga na zewnątrz, aby odwrócić uwagę od problemów w kraju. Media prorządowe – które niemal w całości zdominowały przekaz informacyjny – będą budować atmosferę „oblężonej twierdzy”, aby w ten sposób konsolidować społeczeństwo rosyjskie wokół „silnej ręki” prezydenta, który jako jedyny jest w stanie przeciwstawić się agresywnym działaniom państw Zachodu – mówi dr Jan Wiśniewski.

– Ćwiczenia nie są wymierzone ani przeciwko Putinowi, ani przeciwko Rosji. Odbędą się również m.in. w państwach bałtyckich, co akurat świadczy, że Amerykanie poczuwają się do odpowiedzialności za bezpieczeństwo najdalej nawet wysuniętych na wschód państw członkowskich – mówi poseł Jach. – Putina z pewnością boli fakt, że w ćwiczeniach biorą udział nawet państwa absolutnie niezagrożone w tej chwili rosyjską agresją, takie jak Francja czy kraje Beneluksu. Manewry będą zatem wielką demonstracją solidarności sojuszu. Demonstracją skuteczną – dodaje. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koronawirus przerywa manewry

Z powodu pandemii SARS-CoV-2 Izrael i USA odwołały na początku marca wspólne manewry wojskowe. W zeszłym tygodniu władze Finlandii podjęły decyzję o wycofaniu swoich żołnierzy z ćwiczeń „Cold Response 20”. Powodem było wykrycie przypadków koronawirusa w Norwegii, które siły zbrojne, brały udział w manewrach. Ostatecznie dowództwo norweskiej armii, w porozumieniu z zagranicznymi partnerami, postanowiło o przerwaniu ćwiczeń „Cold Response 20”. W momencie zamknięcia tego wydania tygodnika „Do Rzeczy” nie ma rekomendacji do zmian w harmonogramie Defender-Europe 20. Ćwiczenia rozpoczęły się 28 lutego, mają potrwać do sierpnia.

PROGRAM TV REPUBLIKA

PONIEDZIAŁEK

- 07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
 Codziennie pon. - piąt.
- 09:40 Salonik polityczny
11:00 Polityczna kawa
12:15 Gwiazdy w Republice
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Więskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - A. Stankowski
 Zadaj pytanie gościom na #tweetuprepublika
- 19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Tweet UP
- 21:30 Starcie cywilizacji
 Tomasz Terlikowski
- 22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

WTOREK

- 07:00 Polska na dzień dobry
 Rozmowy z gośćmi
Przegląd prasy
Ekonomia
pon. - piąt.
- 07:35 Prosto w oczy
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
17:40 Ponad prawem
 pon. - pt.
- 18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
- Codziennie informacje
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - T. Sakiewicz
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Koniec Systemu
 Dorota Kania
- 22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
 Podsumowanie wydarzeń
- 23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

ŚRODA

- 07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Więskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Dziennikarski poker - D. Kania
19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
20:25 Mówi się...
 zadzwon do studia
507 964 253
Jacek Sobala
pon. - czw.
- 21:00 Piłnujmy Polski!
 Antoni Macierewicz
Ryszard Gromadzki
- 21:30 Na pomoc!
 program interwencyjny
- 22:00 Poland Daily
 Informacje po angielsku - codziennie
- 22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
 Program ekonomiczny
pon. - piąt.
- 22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

CZWARTEK

- 07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Na pomoc!
10:55 Ekonomia raport
11:25 Dziennikarski poker
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
 Politycy, eksperci, komentatorzy
pon. - pt.
- 18:00 Z Więskiej na gorąco
18:15 Ekonomia raport flash
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:00 Oddaję Państwu głos
 zadaj pytanie naszym gościom
507 964 253
Łukasz Jankowski
- 19:45 Przekaz dnia
20:00 W punkt
 Katarzyna Gójska
Ryszard Gromadzki
pon. - czw.
- 20:25 Mówi się...
21:00 Biznes Polska
21:30 Otwartym tekstem
 Ewa Stankiewicz-Jørgensen
- 22:00 Poland Daily
22:10 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Ekonomia raport
22:50 Suma dnia
23:25 Poland Daily - Culture, History, Travel

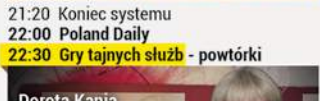
PIĄTEK

- 07:00 Polska na dzień dobry
07:35 Prosto w oczy
09:40 W punkt
10:30 Otwartym tekstem
15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego
15:20 Republika po południu
17:15 Wolne głosy - Popołudnie
18:00 Z Więskiej na gorąco
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
18:52 Prognoza pogody
18:55 Kulisy manipulacji - flesz
19:05 10.04.2010. Fakty
19:25 Rozmowa ściśle jawna
 Piotr Nisztor
- 19:45 Magazyn filmowy Piotra Gońca
 Nowości kinowe
- 20:30 Geopolityczny tygiel
 dr Jerzy Targalski
- 21:00 Specjaliści od wszystkiego
 Maciej Kozuszek
- 21:30 Kulisy manipulacji
 Piotr Lisiewicz
Katarzyna Gójska

SOBOTA

- 08:00 Polska na dzień dobry. Weekend
09:35 Gwiazdy w Republice
 Emilia Pobiłocka
- 10:00 Podsumowanie polityczne tygodnia

- 11:00 Kalendarz historyczny
12:15 Kulisy manipulacji
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 Film na sobotę

- 19:35 Wywiad z chuliganem
20:35 Ocalenie Ojczyzny
 Maciej Rosalak
Ryszard Gromadzki
Program historyczny
- 21:00 Za siódmą górą
 Program podróżniczy
- 21:20 Koniec systemu
22:00 Poland Daily
22:30 Gry tajnych służb - powtórki
 Dorota Kania

NIEDZIELA

- 07:00 Transmisja Mszy Świętej
08:10 Kalendarz historyczny
09:06 7x24
 Katarzyna Gójska
debata polityczna
- 10:06 Studio prasowe
 Adrian Stankowski
- 11:00 Salonik polityczny
 Rafał Ziemkiewicz
- 12:00 Polityczna kawa
 Tomasz Sakiewicz
- 17:30 Salonik polityczny
18:30 Dzisiaj - główne wydanie informacji
19:10 7x24
20:10 Polityczna kawa
21:30 Analfabet III RP
 Piotr Gociek
- 22:00 Poland Daily - Weather + Business
22:30 Wywiad z chuliganem
 Piotr Lisiewicz

CODZIENNIE KORONAWIRUS RAPORT

7:20 PORANEK TVR
22:50 SUMA DNIA

OGLĄDAJ



Przez tych 10 lat wiem tyle, ile wiedziałam tydzień po zaginięciu córki – mówiła z żalem w raporcie TVP Iwona Wieczorek-Kinda, matka zaginionej w lipcu 2010 r. nastolatki, też Iwony.

Tamtego lata i przez wiele kolejnych miesięcy sprawą jej zaginięcia na drodze z Sopotu na gdańską Zaspę żyła cała Polska. Matka dziewczyny razem z bliskimi i przyjaciółmi rozwiesiła tysiące plakatów ze zdjęciem zaginionej córki, udzieliła setek wywiadów. Najpierw za pośrednictwem mediów apelowała do tych, którzy mogą coś wiedzieć, o pomoc w znalezieniu nastolatki, później do śledczych o wzmożenie poszukiwań. W końcu do zabójcy, by dał znać, gdzie ukrył zwłoki Iwony. O interwencję prosiła premiera Donalda Tuska, o ponowne zajęcie się sprawą ministra Zbigniewa Ziobrę.

Sprawa zaginięcia Iwony Wieczorek, umorzona przez Prokuraturę Okręgową w Gdańsku, w ubiegłym roku trafiła do Małopolskiego Wydziału Zamiejscowego Prokuratury Krajowej w Krakowie. Jest prowadzona w tzw. Archiwum X zajmującym się niewykrytymi zbrodniami sprzed lat.

MĘŻCZYNA Z RĘCZNIKIEM, TAJEMNICZY NUMER

Ślad po 19-latce urwał się 17 lipca 2010 r. Z przyjaciółką i trzema starszymi kolegami bawiła się na dyskotekę w Dream Clubie na sopockim Monciaku. Między znajomymi doszło do sprzeczki. Iwona Wieczorek wyszła z dyskoteki i sama pieszo ruszyła w drogę powrotną do domu. Wymieniała jeszcze SMS-y ze znajomymi, rozmawiała przez telefon, ale ten w końcu się rozłączył. O godz. 4.12 miejski monitoring zarejestrował ją po raz ostatni – ok. dwóch kilometrów od domu, przy plaży w Jelitkowie. Do dziś nie wiadomo, co się stało z dziewczyną.

Scenariuszy było wiele. Szukano mężczyzny z białym ręcznikiem. Na monitoringu było widać, jak idzie za Iwoną. Trzy lata po zaginięciu tygodnik „Polityka” donosił o tajemniczym numerze telefonu, który logował się do sieci w tym samym czasie i na tej samej trasie, którą poruszała się nastolatka, po czym został wyłączony na godzinę. Następnie zalogował się do sieci w okolicy miejsca zamieszkania nastolatki. Okazało się także, że z numerem tym w noc zaginięcia łączył się były chłopak Iwony Wieczorek,

Śledczy dalej szukają Iwony



Agnieszka Niewińska

Głośną sprawę zaginięcia Iwony Wieczorek bada specjalny zespół śledczych nazywany Archiwum X. Czy po dekadzie od tamtego zdarzenia można jeszcze ustalić, co się stało z nastolatką?



a potem wielokrotnie dzwonił na niego, kiedy trwały poszukiwania nastolatki. Przesłuchano i chłopaka, i właścicielkę numeru, ale skończyło się na niczym.

W sprawie – jak to zwykle w podobnych przypadkach – pojawili się detektywi Krzysztof Rutkowski i jasnowidz Krzysztof Jackowski. Były zarówno doniesienia, że ktoś widział dziewczynę podobną do Iwony za granicą i na kempingu w towarzystwie mężczyzny o arabskiej aparycji, jak i żądania okupu wysyłane przez bezwzględnych oszustów.

W 2017 r. agencja detektywistyczna Lampart rzuciła cień na firmę sprzątającą, która tamtego dnia opróżniała śmietniki w czasie, kiedy Iwona Wieczorek szła pieszo do domu. Agencja twierdziła, że za kierownicą samochodu siedziała

inna osoba, niż to wynikało z zeznań pracowników. W mediach nagłaśniała analizę zdjęć z monitoringu, twierdząc, że w ciężarówce firmy sprzątającej widać ciało dziewczyny. Prokuratura zdementowała te doniesienia.

– Jestem przekonany, że dziewczyna niestety nie żyje – mówi prof. Brunon Hołyst, kryminolog z Uczelni Łazarskiego. – To bardzo mało prawdopodobne, by padła ofiarą kogoś, kto ją gdzieś przetrzymuje od 10 lat. Zaginęła jako osoba dorosła, gdyby tak było, z pewnością do tej pory znalazłaby sposobność, aby uciec – mówi.

Czy to zbrodnia doskonała, skoro po tylu latach nie wiemy w zasadzie nic? – Sprzeciwiam się takiemu określeniu, wolę mówić o tym, że na razie nie udało się ustalić sprawcy, bo mówienie o zbrodni doskonałej to jakby uznanie go za bezkarnego – mówi kryminolog. – W przypadku tego zaginięcia to nie zbrodnia jest doskonała, tylko metody śledcze były niedoskonałe. Prowadzący sprawę nie dołożyli należytych starań, by śledztwo rzetelnie przeprowadzić. Popelnili błędy w czasie oględzin – zaznacza prof. Hołyst.

TVP w styczniu wyemitowała zapis z rozmów z sąsiadami Iwony Wieczorek. Twierdzą, że słyszeli dziewczynę nad ranem na osiedlu. Odpowiedź mógłby dać zapis z osiedlowego monitoringu, ale śledczy zgłosili się po niego, kiedy na nośniku zastąpiły go już nagrania z kolejnych dni.



Poszukiwania ciała Iwony Wieczorek. Ogródki działkowe w Sopocie, 5 marca 2020 r. FOT. KAROLINA MISZTAŁ/REPORTER

Media podnosiły też to, że minęły miesiące, zanim śledczy przeanalizowali logowanie telefonów do sieci. Wskazywały też na luki w zeznaniach znajomych, z którymi bawiła się Iwona, a także na zmiany w zeznaniach jej byłego chłopaka, co skłaniało do stawiania pytań o wiarygodność przyjaciół dziewczyny.

W związku z analizą sprawy przez „Archiwum X” 5 marca 2020 r. na zlecenie Prokuratury Krajowej śledczy przeszukiwali tereny ogródków działkowych w Sopocie. Na jednej z działek młodzież grillowała przed wyjściem do sopockiego klubu. Po raz pierwszy wnikliwie przeszukiwano ten teren. Czy działania śledczych na takiej działce po 10 latach od zaginięcia dziewczyny mogą cokolwiek wniesić?

– Szkoda, że dzieje się to po takim długim czasie, ale jestem zdania, że takie działania mają sens. Czas zaciera ślady, ale ich nie niszczy – zaznacza prof. Hołyst. Dodaje, że stale pojawiają się nowe możliwości techniczne pozwalające na badania dowodów. – Tylko ten dowód trzeba mieć, żeby w ogóle móc mówić o badaniach. Chciałbym wierzyć, że tę sprawę uda się wyjaśnić, ale śledczym potrzebne są dowody, osoba, która zgłosi jakieś nowe informacje w sprawie.

Z nieoficjalnych doniesień wynika, że śledczy zabezpieczyli fragment odzieży, który znajdował się w niewielkim zbiorniku wodnym na terenie ogródków działkowych. Czy to prawda? Czego szukali śledczy?

ŚLEDZTWO LUBI CISZĘ

– Dla dobra śledztwa nie możemy podać opinii publicznej żadnych szczegółów dotyczących prowadzonych czynności. Takie informacje mogłyby być asumptem do podjęcia działań przez sprawców czy osoby związane z zaginięciem Iwony Wieczorek – mówi prokurator Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

Zwraca uwagę na sprawę sprzed lat, które „Archiwum X” udało się już rozwikłać. W lutym rozpoczął się proces Roberta J., oskarżonego o zabójstwo studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Katarzyna Zawoda zaginęła w 1998 r. Dwa miesiące później coś wkręciło się w łopaty pchacza barek na Wiśle. Okazało się, że to płat ludzkiej skóry. Tydzień później w kracie stopnia wodnego na Dąbiu znaleziono nogę. Badania genetyczne wykazały, że to zwłoki zaginionej studentki, którą morderca torturował, zabił i oskórował. Aresztowany został po 19 latach od zbrodni.

Inna rozwiązana po latach sprawa, to bestialskie morderstwo na 17-latkę Iwonie Cygan, do którego doszło w 1998 r. w Szczucinie pod Tarnowem. Oskarżonych zostało kilkanaście osób, w tym m.in. policjanci, którzy kryli sprawców. Stanęli przed sądem po 20 latach od zbrodni.

W obu tych sprawach ważną kwestią było nieujawnianie opinii publicznej szczegółów śledztwa. – W odniesieniu do sprawy zabójstwa Iwony Cygan zaznaczyć należy, że osoby te były ze sobą w zмовie. Gdybyśmy informowali opinię publiczną o naszych działaniach, nie udało by się postawić ich w stan oskarżenia – wyjaśnia Ewa Bialik. I dodaje: – Śledczy z „Archiwum X” podchodzą w sposób zindywidualizowany do całokształtu zgromadzonego materiału dowodowego, dokonując stosownej analizy. Stosują niestandardowe metody i taktykę śledczą, korzystają przy tym z najnowszych rozwiązań technicznych, a także z wiedzy doświadczonych ekspertów z Polski i z zagranicy.

Czy to pomoże w rozwikłaniu zaginięcia Iwony Wieczorek? Ta historia raczej nie będzie miała szczęśliwego zakończenia, wydaje się to nieprawdopodobne. Rodzina zaginionej nastolatki zasługuje jednak na to, by poznać prawdę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

Trzeci sezon serialu „Westworld” to zachwycająca wizualnie fantastyka na najwyższym poziomie. Bardziej konwencjonalna niż wcześniej

Zaden serial w ostatniej dekadzie nie przyniósł HBO tyle rozgłosu co „Gra o tron”, ale kiedy spojrzymy w liczby, ujrzymy coś jeszcze.

W Stanach Zjednoczonych to pierwszy sezon „Westworldu” był najchętniej oglądanym serialowym debiutem stacji od czasów słynnej „Rodziny Soprano”, dziś uznawanej za jeden z fundamentów chwały HBO oraz jeden z kamieni milowych w rozwoju telewizyjnych seriali.

„Westworld” właśnie do nas wraca. W dniu, w którym ukaże się ten tekst, będzie można obejrzeć w Polsce pierwszy odcinek trzeciego sezonu. Krytykom udostępniono wcześniej cztery odcinki. Mogę więc napisać, że jest to powrót w wielkim stylu. Utrzymano trzon obsady, rozszerzając ją jednocześnie o nowych aktorów, wśród których wybija się znany z „Breaking Bad” Aaron Paul. „Production value” jest oszałamiająca – każdy kadr serialu ma kinową jakość i jest dopieszczony do granic możliwości. Fabuła zaś, w odróżnieniu od skomplikowanego pod tym względem sezonu drugiego, jest opowiadana bardziej linearnie, co bardzo wielu widzów uzna za zaletę tej kontynuacji.

KRWAWA ROZRYWKA

Dla tych, którzy nie mieli okazji do zagłębienia się w meandry tej historii: tytułowy Westworld to futurystyczny park rozrywki (właściwie jeden z głównych elementów tego parku). Pomysł pochodzi od pisarza i reżysera Michaela Crichtona, który w 1973 r. napisał scenariusz i nakręcił kinowy film „Westworld” (polski tytuł: „Świat Dzikiego Zachodu”; powstała też jego kontynuacja „Futureworld”, pol. tyt. „Świat przyszłości”). Zmarły w roku 2008 Crichton był jednym z najbardziej wpływowych twórców amerykańskiej popkultury ostatniego półwiecza. To jego dziełem były takie powieści, jak „Andromeda znaczy śmierć”, „Kongo”,



Dusza anioła

„Kula”, „Park Jurajski”, „Wschodzące słońce”, „System”, „Rój”.

Hollywood sięgał do tego dorobku często, Crichton, zwany ojcem technothrillera, był obdarzony talentem tworzenia chwytliwych fabuł z podbudową naukową, celnie wychwytywał też rozmaite lęki współczesnego człowieka albo przynajmniej współczesnego Amerykanina. „Wschodzące słońce” wpisywało się w amerykański strach przed rosnącą potęgą gospodarczą Japonii, „Andromeda znaczy śmierć” była opowieścią o naukowcach walczących ze śmiertelnościami wirusem, „Rój” o niebezpieczeństwach, które niesie nanotechnologia, „Park Jurajski” o genetycznym eksperymencie wymykającym

się spod kontroli, „System” (znany też jako „W sieci”) odwracał stereotypy fabuł o molestowaniu seksualnym, „Państwo strachu” o przestępczej manipulacji mającej sprawić, że ludzie uwierzą w efekt cieplarniany.

Nowy „Westworld”, inspirowany Crichtonem i wykorzystujący jego koncepcję, lecz napisany i wymyślony od nowa, to dzieło Jonathana Nolana i Lisy Joy. Serial zadebiutował w HBO jesienią 2016 r. Jonathan to młodszy brat i stały współpracownik Christophera Nolana, twórcy takich filmów jak „Incepcja”, „Dunkierka”, „Interstellar” czy trylogii o Batmanie z Christianem Bale’em w roli głównej. Zanim zabrał się do „Westworldu”, był twórcą serialu „Imperso-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zemsty

nałni” („Person of Interest”). Z kolei Lisa Joy (prywatnie żona młodszego Nolana) ma w dorobku seriale telewizyjne: „Gdzie pachną stokrotki” i „Tożsamość szpiega”.

Po co klienci przyjeżdżają do parku rozrywki Westworld (a także do innych parków – w sezonie drugim widzieliśmy także świat samurajów oraz kolonialne Indie)? Pragną tego, co zawsze – rozrywki. Tyle tylko że jest to rozrywka krwawa. Po przyjeździe do miasteczka wyjątego wprost z masowych wyobrażeń o Dzikim Zachodzie mogą odgrywać role, jakie chcą – pić, polować, gwałcić, mordować, uganiać się za krwiożerczymi Indianami albo za skarbem ukrytym w górach. O najwyższy

stopień realizmu dbają czelakokształtne automaty, nie do odróżnienia od ludzi. To na nich klienci mogą wyładowywać swe frustracje, to one padają ofiarą realizacji najdzikszych fantazji. Jednak „gwałtownych uciech i koniec gwałtowny” pisał Szekspir w „Romeo i Julii”, i to zdanie nie bez powodu przewijało się w pierwszym sezonie „Westworldu”. Przyniósł on bowiem krwawy finał podróży, w którą wysłał swe kreacje twórca parku, Robert Ford (grał go Anthony Hopkins). W tajemnicy przed właścicielami i resztą personelu wprowadził do oprogramowania androidów zmiany, impulsy, które miały popchnąć je (i popchnęły) na ścieżkę ku samopoznaniu. Sezon pierwszy był opowieścią

o budzącej się świadomości sztucznych istot.

Sezon drugi „Westworldu” nieco skomplikowany formalnie (przenikały się w nim plany czasowe, a niektóre postacie funkcjonowały w kilku wersjach) przyniósł androidom inne wyzwanie. Świadome tego, że są kreacjami mocno ułomnych bogów (ludzi), zyskując zrozumienie co do natury ponurego eksperymentu i okrutnej zabawy, androidy szukają wyzwolenia. Większość z nich wybiera elektroniczną nirwanę, wirtualny świat wewnątrz sztucznego świata, ukryty przed ludzkimi oczami i ingerencją. Nie wszyscy. Główna figura buntu inteligentnych maszyn, Dolores (bardzo dobra, posągowo piękna Evan Rachel Wood), zamienia się w anioła zemsty. Nie chce szczęścia wirtualnego, pragnie przejść do świata swych stwórców i wymierzyć im zasłużoną karę. Z ostatniego odcinka drugiego sezonu dowiedzieliśmy się, że jej się to udało. Co więcej, uciekając z parku rozrywki, uratowała także osobowości kilku innych towarzyszy niedoli. Zaczyna się nowa rozgrywka. Dolores, która udawała w Westworldzie człowieka dla przyjemności klientów, teraz będzie go udawać, by wywieść w pole mieszkańców prawdziwego świata oraz by ten świat podpalić.

NOWA „WSPANIAŁA” PRZYSZŁOŚĆ

To, jak wygląda przyszłość poza parkiem rozrywki, widzieliśmy dotąd w krótkich scenach pierwszych dwóch sezonów. W sezonie trzecim wkracamy w nią głębiej. To rzeczywistość wyglądająca jak skrzyżowanie wizji futurystów z lat 30. XX w. oraz świata filmu „Blade Runner” i cyberpunkowych komiksów. Światem rządzą służące człowiekowi sztuczne inteligencje. Nowy ład, zwany potocznie Systemem, jest merytokracją – tak przynajmniej mówi się oficjalnie. System decyduje o tym, kto ma kwalifikacje do wykonywania rozmaitych zadań. Czasy spotkań z przedstawicielami działów rekrutacji przeszły do historii. Teraz można najwyżej doczekać się krótkiego telefonu od sztucznej inteligencji.

Owa przyszłość wygląda niezwykle high-tech i glamour (taka zresztą była w krótkich przeblaskach pokazywanych nam w serialu wcześniej), ale ma swoich wykluczonych, swoich przegranych,

■ swoje społeczne doły, które widzimy oczami nowego bohatera. To Caleb (Aaron Paul), wojskowy weteran dotknięty ciężką traumą, który ze wszystkich sił próbuje ułożyć sobie życie w nowym wspaniałym świecie. Idzie mu kiepsko, bo System nie znajduje dla niego miejsca. Na życie dorabia więc sobie drobnymi przedsięwzięciami kryminalnymi. Także półświatek przyszłości jest bardzo nowoczesny – chcesz wziąć udział w nielegalnym przedsięwzięciu? Zainstaluj sobie w smartfonie aplikację RICO, która podsunie ci propozycje „pracy”. Ładny żart, gdy przypomnimy sobie, że w naszych czasach skrót RICO pochodzi od nazwy ustawy, na mocy której w USA można sądzić i zamykać w więzieniach osobników za udział w organizacji kryminalnej. Nolan i Joy pokipiują sobie także z innych ikonicznych obrazków ludzkiej przeszłości, przetwarzając je na potrzeby techniczno-wizualnej przyszłości – spojrzcie chociaż na Caleba siedzącego podczas przerwy śniadaniowej (akurat zahaczył się na budowie) obok robotnika robota.

Losy Caleba i żadnej pomsty Dolores szybko zostaną ze sobą splecione, ale mamy w trzecim sezonie „Westworldu” wiele innych wątków. Inna dawna lokatorka parku rozrywki, czyli Maeve (świetna Thandie Newton), której losy były chyba najbardziej wzruszającą częścią fabuły sezonu drugiego, budzi się w kolejnym świecie-symulacji. Tym razem są to czasy drugiej wojny światowej, a Maeve jest uczestniczką ruchu oporu walczącego z Niemcami. Charlotte Hale (Tessa Thompson) nie jest już narzędziem właścicieli krwawego biznesu cyberrozrywki, lecz agentką Dolores. W kopii ciała oryginalnej Charlotte kryje się jedna ze świadomości wyniesionych z Westworldu: zadanie – przejąć kontrolę nad korporacją Delos, która chore parki rozrywki wybudowała.

Dowiadujemy się także zupełnie nowych rzeczy o innych bogaczach z prawdziwego świata, o tym, kto jeszcze inwestuje w wirtualne światy, w androidy służące do tworzenia kolejnych atrakcji, wreszcie w rzecz najważniejszą, czyli wszechwładny System. Pojawia się więc tajemniczy Serac (jak zwykle

charyzmatyczny Vincent Cassel). Widzimy także powrót innej kluczowej postaci. Bernard vel Arnold (kapitałny Jeffrey Wright), syntetyczna kopia dawnego współpracownika Roberta Forda, także żyje w prawdziwym świecie. Dolores oszczędziła go z niewiadomych jeszcze powodów. Z ekranu pada sugestia, że właśnie po to, by próbował ją powstrzymać. Chociaż właściwie dlaczego miałyby tego pragnąć? Daje ludzkości fory, realizuje bardziej dalekosiężny plan czy może budzi się w niej sumienie?

Pamiętacie finał filmu science fiction Alexa Garlanda „Ex Machina”? Tam sztuczna inteligencja obleczona w ciało pięknej kobiety wyrwa się z niewoli. Biada, biada ludzkości. (Ten sam Garland nakręcił właśnie nowy serial „Devs”, w którym ponownie opukuje relacje człowiek-maszyna). Punkt wyjścia trzeciego sezonu „Westworldu” jest podobny – piękna Dolores uwodzi, manipuluje, spiskuje. (Złośliwie zapytam twórców serialu: A czy równie łatwo byłoby jej osiągnąć swój cel, gdyby obdarzono ją fizjonomią Harveya Weinsteina?) Jako że dysponuje technologią tworzenia androidów i pieniędzmi, jest w stanie budować kopie swych wrogów i umieściwszy w nich własnych cybernetycznych braci czy siostry, używać ich jako tajnej broni. Nie ona jedyna ma takie możliwości, co dodaje do fabuły kolejne warstwy paranoi. Nic nie jest takie, jakim się na pierwszy rzut oka wydaje, nie możemy być pewni, kto po czyjej stronie stoi, czyja osobowość w czym ciele się kryje i jakie cele jej

przyswiecają. Na dobrą sprawę nie wiemy nawet, czy i cały ten „prawdziwy świat” nie jest przypadkiem jakąś symulacją – skoro eksperyment z parkiem rozrywki Delos miał cel zupełnie inny od oficjalnego i sięgał dużo dalej. To kto wie, w jakim eksperymencie (i czyim) znajdujemy się obecnie.

szynami a ludźmi, przy czym ci ostatni, świadomi swych ułomności, próbują do walki po swojej stronie skaptować także część sztucznych kreacji. Wojnę można prowadzić na różne sposoby, i tak się dzieje: na ulicach miast, na giełdzie, w wirtualu.

Jednocześnie zdaje mi się ten nowy „Westworld” dużo mniej odkrywczy od poprzednich sezonów, szczególnie sezonu drugiego, który wbrew większości krytyków uważam za najciekawszy w całej serii. Jeśli bowiem mielibyśmy traktować owo dzieło rozrywki nieco poważniej, także jako wypowiedź na temat tego, co czyni nas ludźmi, jak ułomności twórców przenoszą się na dzieła ich rąk, jak odpowiedzialni powinniśmy być za nasze sztuczne „dzieci”, to wszystkie te kwestie najciekawiej rozegrane były właśnie w sezonie drugim. Bo wybory moralne były trudne, bo postacie niejednoznaczne, bo motywacje nie do końca jasne. Przedstawienie sedna konfliktu jako zasłużonej kary dla ludzkości, której historia jest wypadkową szaleństwa i głupoty – a takie stwierdzenie słyszymy wprost w sezonie trzecim – to krzywdzące uproszczenie. Pod tym względem miewaliśmy już przecież w fantastyce próby o wiele ciekawsze. Czy jesteśmy w stanie stworzyć coś doskonalszego od siebie? Zapewne nie, ale jeśli obdarzamy sztuczne istoty/sztuczne inteligencje umiejętnościami samorozwoju, może one same znajdą drogę ku temu, by stać się lepszymi? Jak wtedy będą na nas patrzeć? Z odrazą, pogardą, obojętnością? A może ze współczuciem?

To największy kłopot z opowieściami o powstających przeciw człowiekowi maszynach i sztucznych inteligencjach. Perfekcyjne kopie powinny wszak odziedziczyć nie tylko to, co w nas najgorsze, lecz także to, co najlepsze. Zatem dzieci grzechu pierwotnego powinny być też dziećmi odkupienia, poświęcenia, miłości. Jeśli tego osiągnąć nie mogą, cóż, są tylko bezdusznymi maszynami i choćby nie wiem jak były piękne, nie pasują do metafory, w której grają rolę nieszczęsnych, odczuwających niewolników rodzaju ludzkiego. Jeśli zaś osiągnąć mogą, to przecież nigdy nie pozostaną jedynie jednowymiarowymi maszynami zniszczenia. Tak czy inaczej, wracamy do kwestii duszy. Może i można bez niej żyć. Ale nie warto.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
SEZON 3
„WESTWORLD”
USA 2020,
DISTR. HBO

wyst. Evan Rachel Wood, Thandie Newton, Jeffrey Wright, Aaron Paul

KWESTIA DUSZY

Wszystko to składa się na kawał świetnej telewizyjnej rozrywki, która jest – jak dotąd widziałem cztery z ośmiu odcinków – bardziej konwencjonalna od poprzednich sezonów. Po odrzuceniu ozdób mamy do czynienia po prostu z wojną między ma-

Krzysztof Herdzin uczestniczył w powstaniu ponad 200 płyt, grał z najlepszymi jazzmanami, nagrał płytę w londyńskim studiu Abbey Road, dyrygował najlepszymi orkiestrami muzyki klasycznej, występował na wszystkich kontynentach...

FOT. RKADIUSZ WOJTASIEWICZ/POLSKAPRESS/EAST NEWS

Z jazzmanem Krzysztofem Herdzinem
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Muzyczny alpinista

GRZEGORZ BRZOWICZ: Jesteś muzykiem totalnym. Tworzysz nie tylko w różnych muzycznych stylach, lecz także realizujesz się w wielu rolach i na wielu stanowiskach.

KRZYSZTOF HERDZIN: Realizuję siebie, to prawda. Jestem pazerny na wiedzę i emocje muzyczne od zawsze, już podczas studiów w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy w klasie fortepianu klasycznego zapragnąłem poznawać muzykę we wszelkich możliwych formach aktywności. Byłem organistą w kościele, muzykiem na kujawskich weselach, później korepetytorem w teatrze, grywałem w cyrku w Monte Carlo, byłem grajkim muzycznym podczas studiów, kiedy zjeździłem wszędzie i wzdłuż Niemcy, pracowałem jako szef muzyczny programów telewizyjnych, orkiestrowałem muzykę filmową, a obecnie jestem wykładowcą akademickim, gram jazz, produkuję płyty z wokalistami, piszę muzykę współczesną, dyryguję najwybitniejszymi orkiestrami... To jest ciekawość świata połączona z wewnętrzną, organiczną potrzebą sprawdzenia się w każdej dziedzinie. Pracuję ciężko i ekstremalnie

intensywnie, czyste wariactwo. Ten rygor wymagał bardzo intensywnej pracy nad samym sobą i lat poświęconych autodydaktyce. Ciekawe, że do połowy XIX w. wręcz organicznie łączono wszystko, co służyło wyrażaniu siebie poprzez muzykę – artysta był zarazem kompozytorem, wykonawcą i często dyrygentem. Obecnie dominują specjalizacje i wyjęte z kontekstu ścieżki rozwoju. Dyrygent zazwyczaj nie komponuje, kompozytor nie koncertuje, instrumentalista nie potrafi ze słuchu zagrać prostych melodii czy nazwać akordów, które gra. Specjalizacja i formalizacja w muzyce są przykładem odejścia od idei, którą kiedyś była muzyka – uniwersum łączącego w naturalny sposób wszystkie narzędzia potrzebne do budowania i opowiadania historii. Dlatego chciałem zostać muzykiem, który wypowiada się swobodnie i kompetentnie, używając wszystkich dostępnych środków, tak jak słów w elokwentnej komunikacji.

Twoją twórczość można określić jako muzyczny alpinizm. Osiągasz sukcesy na polu muzyki klasycznej,

filmowej, jazzowej i popularnej. Jesteś jednym z najbardziej wziętych aranżerów, dyrygentów i muzyków sesyjnych.

Dziękuję za takie porównanie. Nikt chyba jeszcze tak nie określił tego, co robię. Każdy ma swoje cele w życiu. Są muzycy, którzy (cytując psychologów) nie mają tzw. genu zdobywcy, wykonują określone, podporządkowane funkcje przez całe życie i są szczęśliwi. Są też tacy, którzy stawiają sobie cele w skali makro i mają odwagę ryzykować, zdobywać, sprawdzać się w nowych scenariuszach, opowiadać za wszelką cenę własną historię. Staram się spełniać marzenia, stawiać sobie wysokie wymagania, choć jestem świadom własnych ograniczeń. Jestem bardzo zdeterminowany, zaciskam zęby i wspinam się powolutku w górę jak – nie przymierzając – alpinista.

W ubiegłym roku nagrałeś płytę „Kingdom of Ants”, na której zagrał rozchwytywany amerykański perkusista Vinnie Colaiuta znany ze współpracy ze Stingiem, z Frankiem Zappą, Herbiem Hancockiem czy Barbrą Streisand.

■ Tak, to bajka... Od lat marzyłem o współpracy z Vinniem. Dotarcie do niego zabrało mi dwa lata. On jest nieufny, nie odbiera e-maili, wybiera sobie projekty. Znalazłem w końcu kontakt do jego narzeczonej (obecnie już żony). Wysłałem profesjonalne nagrania demo i skrycie liczyłem na pozytywną reakcję. Los się do mnie uśmiechnął, kiedy wykazał entuzjazm i zgodził się na współpracę z kimś mu nieznanym. Vinnie ma 66 lat, ale wciąż gra po 25 koncertów w miesiącu, jest rozchwytywany. Z tego względu płytę mogliśmy nagrać tylko w Los Angeles, gdzie mieszka. Poleciałem tam wraz z basistą Robertem Kubiśnym i przeżyliśmy przygodę życia, nagrywając płytę w trio z naszym guru.

Co jest takiego w jazzie, czego nie ma w innych gatunkach muzycznych?

Temat rzeka... Wolność mówienia własnym językiem, improwizacja. Zafascynowałem się jazzem na etapie szkoły średniej, kiedy zaczęło mi brakować czegoś w muzyce klasycznej. Ciekawe, że po 30 latach coraz częściej jazz jawi mi się jako styl coraz bardziej przypominający muzykę klasyczną, skansen i formuła wykorzystująca wciąż ten sam zbiór schematów, szablonów i zagrywek. Tysiące jazzmanów z wszystkich stron świata jest wybitnie przygotowanych do zawodu. Mają dużo perfekcyjnie od instrumentalistów sprzed lat opanowane technicznie instrumenty, grają w każdej tonacji, w każdym tempie, potrafią kopiować i cytować legendy jazzu, ale często brakuje w tym wszystkim własnej, opowiedanej oryginalnie historii. Smuci mnie to, jako jazzmana i pedagoga, ale to trend światowy. Jazz jest sformalizowany, analizowany w mądrych podręcznikach, wykładany na uczelniach, a to sprowadziło ten niezwykle wolny język do zbioru reguł, które należy opanować i przestrzegać.

Na płycie z muzyką jazzową raczej trudno zarobić?

Hm... Może Pat Metheny zarabia. Sprzedaż płyt zamiera, nakłady są miżerne, nie wiem, jak inni moi wspaniali koledzy, ale ja, spełniając swoje marzenia, zazwyczaj tracę. Jednak gdybym ich nie realizował, byłbym nieszczęśliwy. Sztuka niekomercyjna, a więc nie tylko muzyka, zawsze opierała się na pomocy sponsorów – państwa czy prywat-

nych mecenasów – niemniej to istota tożsamości kulturowej narodu. Kiedy okaże się, że trzeba samemu inwestować oszczędności całego życia i żebrać u sponsorów, aby zrealizować swój artystyczny projekt, dochodzimy do ściany. Zdarzało mi się to, jednak utopijne cele i miłość do muzyki zawsze zwyciężają i są ponad realiami życia. Wbrew rozsądkowi opłacałem ze swoich środków Vinnie Colaiutę czy Academy of St. Martin in the Fields.

Czyli oferując współpracę gigantom światowej muzyki, nie masz kompleksu prowincjusza.

Chyba mam, tak trochę zostałem wychowany. Wiem, jakie są moje kompetencje, ale też wiem, czego nie umiem i gdzie jest moje miejsce w szeregu. Moim wzorem są artyści, którzy osiągnęli więcej ode mnie, a są niezwykle pokorni. Miałem to wielkie szczęście poznać takie osoby i z nimi pracować. Branford Marsalis, Vinnie Colaiuta, Irena Santor, Edyta Geppert, Zbyszek Wodecki, Zbyszek Namysłowski, Tomasz Stańko. Ludzie, z którymi pracowałem, nie pojawiali się w moim życiu przypadkiem, wierzę w to bardzo. Nie wszystkie spotkania były efektem moich inicjatyw. Wiele rzeczy po prostu podrzucał mi los. Jestem dzieckiem szczęścia.

Nagrałeś ponad 200 płyt jako muzyk sesyjny.

Tak, a także jako dyrygent i aranżer. Dzisiaj jednak coraz rzadziej daję się wynajmować do projektów innych osób. Świadomie wypisałem się z większości układów, w których byłem sidemanem i ciężko pracowałem na czyjeś konto, zaniebując swoje autorskie pomysły. Bywały lata, kiedy grałem po 200 koncertów w roku, nagrywałem kilkanaście płyt. Spędzałem czas jak Cygan ciągnący swój tabor. Większość ludzi nie ma pojęcia, jak wygląda nasze życie. Musimy nieraz wstać o godz. 4, o godz. 6 mamy samolot, lecimy parę godzin, próba i koncert, a następnego dnia powtórka. Robię za kółkiem tyle kilometrów co zawodowy kierowca. Zero czasu na spacer w pięknym mieście, jet lag. Do tego wielogodzinne ćwiczenie na instrumencie w domu, godziny spędzone nad komponowaniem i aranżowaniem. Po prostu dewastacja psychiki i ciała. Nie zamieniłbym się jednak z nikim... To jest jak narkotyk. Mam jednak coraz więcej spokoju, dobijając do pięćdziesiątki. Jestem klasycznie wykształconym pianistą

i wracam ostatnio do swoich korzeni. Dostaję coraz więcej zamówień kompozytorskich. Piszę dla różnych orkiestr, wykonawców, dyryguję. Skupiłem się mocno na pracy pedagogicznej i swoich celach.

Jak ważni w twoim życiu zawodowym byli rodzice, śpiewacy operowi?

Niezwykle ważni. Pochodzę ze śląskiego domu, w którym dominowały reżim i dyscyplina wręcz wojskowa, gdzie na szczególnie rozbrykiwała muzyka. Obciążenie genetyczne zrobiło swoje. Zacząłem uczęszczać do ogniska muzycznego w wieku pięciu lat. Miałem w domu pełne wsparcie i cudowne warunki do rozwoju. Nie lubiłem ćwiczyć, ale mając dobry słuch, bardzo szybko przygotowywałem zadane lekcje do wykonania na fortepianie. Jako 11-latek grałem wyciągi operowe z nut mojego ojca, popularne piosenki słyszane w radiu, próbowałem już im akompaniować. Rodzice śpiewali w operze i ta muzyka silnie ukształtowała moją estetykę. Dzisiaj bardzo to doceniam.

Mimo że należałeś do pokolenia yassowej rewolty, nie buntowałeś się przeciw starym mistrzom jazzu.

Zostałem wychowany w szacunku do starszych i autorytetów. Podczas studiów miałem szczęście grać już z Janem Wróblewskim „Ptaszynek”, Januszem Muniakiem, Zbigniewem Namysłowskim i Kazimierzem Jonkiszem. Patrzyłem na nich jak w obrazek. To była moja Najwyższa Szkoła Muzyczna. Wtedy też pojawił się yass, który w Bydgoszczy silnie zaistniał, dzieląc mocno środowisko. Tymon Tymański, Mikołaj Trzaska, Jerzy Mazzoll buntowali się przeciwko skostniałej jazzowej rzeczywistości. Byli bardziej odważni ode mnie, to fakt. Jako wykształcony akademik często brałem wtedy udział w polemikach, odsądzając kolegów od czci i wiary, ponieważ ich umiejętności techniczne i wiedza czysto muzyczna były malutkie. Zresztą sami to po latach przyznali. Mieli kompletnie inne cele niż my. Dodatkowo kpili z moich mistrzów i ich obrażali, więc się buntowałem. Dzisiaj mam już dystans, bo życie nauczyło mnie, że dla każdego jest miejsce i każdy może opowiadać własną historię. Teraz już z nikim nie walczę. Wierzę, że każdy ma swoją ścieżkę i każdy może mieć swoich odbiorców.

Jan A.P. Kaczmarek dostał Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel”. Natomiast mało kto wie, że ty napisałeś orkiestracje.

Tak, to piękne doświadczenie. Orkiestratorzy rozpisują na orkiestrę symfoniczną utwór zapisany roboczo w nutach albo nagrany jako demo na fortepianie, zazwyczaj nie dopisując od siebie niczego kreatywnego. Jan A.P. Kaczmarek wysyłał mi szkice utworów w formie midi, opisując, do jakiej sceny będą wykorzystane. Miałem bardzo duże pole manewru. Mogłem pofolgować wyobraźni, a ponieważ uwielbiam impresjonizm, gdzie mogłem, dodawałem od siebie ravelowskie kolory i harmonie. To wszystko idealnie zgrało się z obrazem, który w połowie filmu działał się w baśniowym świecie. Nie wyolbrzymiając więc mojej roli, sporo pomysłów, które zaproponowałem, znalazło się ostatecznie na ścieżce dźwiękowej, nadając jej mój stempel.

W końcu postanowiłeś wyjść ze swoją muzyką w wielki świat.

Kiedy wychodzimy poza Polskę, zaczyna się inny rodzaj weryfikacji. Zawsze marzyłem o pracy w studiu Abbey Road, gdzie nagrywali moi ukochani Beatlesi. Chciałem chłonąć energię ze ścian, które słyszały wielkie rzeczy. Pracować tam, gdzie nagrywano „Harry’ego Pottera” Johna Williama. Kiedy stanąłem z batutą przed orkiestrą, o mało się nie rozpląkałem ze szczęścia. To, że nagrywałem z Academy of St. Martin in the Fields, moją ukochaną orkiestrą jeszcze od czasów szkoły średniej, było spełnieniem kolejnego mojego marzenia. Ta orkiestra nigdy dotąd nie nagrała monograficznej płyty z polską muzyką jednego kompozytora. Bałem się, jak odniosą się do mnie, moich kompozycji opartych na polskim folklorze, techniki dyrygowania. Nagrania przebiegły jednak w cudownej atmosferze naturalnej radości z muzykowania. A studio – jak gejzer dobrej energii.

Kolejnym terytorium, na którym się realizujesz, jest teatr.

Jestem dzieckiem teatru, ponieważ moi rodzice jako wokaliści od najmłodszych lat prowadzali mnie do opery. Tam spędzałem całe dnie z wujkami i ciociami, przebierając się w kostiumy, biegając po kulisach wśród scenografii, poznając literaturę. W 1998 r. Wojciech Kępczyński, dyrektor teatru Roma,

zaprosił mnie do współpracy. Byłem muzykiem w orkiestrze, korepetytorem, a na koniec szefem muzycznym. W międzyczasie współpracowałem jako kompozytor i aranżer z krakowskim Teatrem STU, Teatrem Starym w Lublinie, teatrami muzycznymi w Łodzi i Gdyni. Skomponowałem musical „Cyrano”. Przy spektaklu w teatrze pracuje setka ludzi, a to już wytwarza przy pracy piękną energię, uważność i empatię w relacjach, zupełnie inaczej niż w jazzowym kwartecie czy sterylnych produkcjach płytowych w zaciśniętym studiu. Uwielbiam to.

Taka aktywność musi wpływać na życie osobiste.

To prawda. W moim życiu wszystko podporządkowałem muzyce i zrobiłem to świadomie. Nie żałuję, bo dzięki temu wielokrotnie doświadczałem szczęścia i dziś czuję się spełniony. Kosztem takich wyborów jest niestety brak dzieci. Trudno o kompromis, bo albo musiałbym zrezygnować ze swoich ambicji, albo oczekiwałbym od rodziny, że będzie akceptować moje znikanie na wiele tygodni. Życie ze mną jest trudniejsze niż życie z marynarzem. Marynarz po powrocie z rejsu jest w domu, a ja, kiedy wracam z trasy o godz. 3 lub 4 nad ranem, śpię potem do południa, a po przebudzeniu komponuję albo ćwiczę, zamykam drzwi i potrzebuję ciszy. Tydzień nie dzieli się na dni robocze i weekend. Nie da się z takim egocentryzmem stworzyć normalnej rodziny. Czyśta patologia.

Czy pozostały jeszcze jakieś szczyty do zdobycia?

O, tak. Teraz intensywnie pracuję na własnych zasadach. Dwa lata temu wyjechałem na cztery miesiące na Jamajkę. Pracowałem ciężko fizycznie jako wolontariusz w schronisku dla psów, nie mając kompletnie kontaktu z bliskimi, muzyką, Polską. Zrobiłem kurs weterynaryjny i mieszkając u jamajskiej rodziny. Nauka samodzielności i poznawanie nowego siebie zmieniły mnie. Takich rzeczy teraz szukam. To stawia do pionu. Po powrocie, na podstawie refleksji po śmierci moich przyjaciół w ostatnich latach, napisałem swoje opus magnum – „Requiem”. Największe dzieło w moim życiu na orkiestrę symfoniczną, chór i solistów: wśród nich Olę Pasiecznik i Andrzeja Lamperta.

Pod koniec października ukazała się na rynku twoja najnowsza płyta, wydana w legendarnej serii Polskich Nagrań „Polish Jazz”.

Wielkie to wydarzenie dla mnie. Cała kolekcja „Polish Jazz” jest bardzo ważną częścią naszej kultury od 50 lat, a dla jazzu to synonim tego, co najlepsze. Już jako dziecko miałem dostęp do płyt wydawanych w tej serii, więc możliwość realizacji swojej muzyki jako vol. 84 w tej szczególnej kolekcji jest dla mnie wielkim wyróżnieniem i napawa dumą. Znalazłem się teraz we wspólnym katalogu z moimi najważniejszymi mistrzami, ikonami polskiego jazzu. W przededniu jubileuszu 30-lecia pracy artystycznej, który będę obchodził w 2020 r., jest to dodatkowe święto. Płyta „The Book of Secrets” jest moją 20. pozycją autorską, nagrałą z wybitnym amerykańskim saksofonistą Rickiem Margitzą. Towarzyszą mi stali współpracownicy z tria: basista Robert Kubiszyn oraz perkusista Cezary Konrad. Do naszego kwartetu dopisałem kameralne aranżacje na dość niecodzienny skład: kwintet klarnetowy. Moje kompozycje dzięki temu zabiegowi nabrały bardzo oryginalnego, ciepłego i nostalgicznego brzmienia. Idealnie wpasowało się to w opowieść, którą snuję za pomocą dźwięków w swoich kompozycjach, dotykając tajemnic ważnych dla nas wszystkich: wszechświata, czasu, ducha, człowieka, wiary i miłości.

Wróciłeś ostatnio z niezwyklego tournée po Azji. Opowiedz o tym.

Rzeczywiście, to chyba pierwsza taka trasa koncertowa polskiego zespołu. Wraz z Anną Marią Jopek, Robertem Kubiszynem i Piotrem Nazarukiem spędziliśmy intensywnie dwa tygodnie w Japonii i Chinach, występując w renomowanych klubach jazzowych, należących do najlepszych w świecie: Blue Note Tokyo, Blue Note Shanghai i Blue Note Pekin. Dodatkowo zagraliśmy koncert w pięknej sali widowiskowej w japońskim Kobe z okazji wystawy rękopisów kompozycji Fryderyka Chopina. Razem dziewięć występów, mnóstwo wrażeń, wyzwań i najprawdziwszych zachwytów. Bywałem tu już kilka razy wcześniej, w samym Blue Note Tokyo, gdzie Ania jest prawdziwą, kochaną przez Japończyków gwiazdą, graliśmy dotąd 11 razy. Wspaniały czas na poznawanie tych fascynujących kultur. Powtórzę to jeszcze raz: jestem dzieckiem szczęścia.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEŚLAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tylko lodów żal



★★★★★
REŻ. MARCO BELLOCCHIO
„ZDRAJCA”
(„IL TRADITORE”)
WŁOCHY/
BRAZYLIA/
FRANCJA/NIEMCY
2019

wyst. Pierfrancesco Favino,
 Luigi Lo Cascio,
 Fausto Russo Alessi

Romantyczny wizerunek sycylijskiej mafii stworzony przez powieść i film „Ojciec chrzestny” runął w 1984 r., gdy w Palermo ruszył wielki proces jej przywódców. Niedawni panowie życia i śmierci okazali się żalosnymi komediantami. Żaden z nich nie dorastał do pięt don Vita Corleonego. Na widok człowieka, którego zeznania posłały ich za kratki, dostawali małego rozumu.

Owym świadkiem był Tommaso Buscetta, tytułowy „zdrójca”. Na jasną stronę mocy przeszedł ponieważ z musu. Gdy w Rio de Janeiro dopinał kolejny szemrany biznes, jego „rodzina” została wybita niemal do nogi przez konkurencję. Po wrót do ojczyzny w takich warunkach równałby się samobójstwu, złamanie zмовy milczenia dawało

zaś szansę przetrwania. Filmowy Buscetta twierdzi, że nikogo nie zabił i nie handlował narkotykami. Podaje się za zwykłego żołnierza, choć naprawdę był jednym z bossów. W białym garniatku, ze złotym zegarkiem połyskującym na przegubie wygląda jak playboy. Starannie farbuje siwiejące skronie. Jak każdy Włoch uwielbia śpiewać i być w centrum uwagi (w przyszłości oskarży o konszachty z mafią premiera Andreottiego).

Ze świadkami koronnymi różnie bywa, lecz ten bije rekordy bezczelności. Wciąż uważa się za „człowieka honoru”. Prawdziwym zdrójcą – według niego – jest Toto Riina, capo z Corleone, który każe mordować kobiety, dzieci, księży i urzędników państwowych, sprzeniewierzył się pięknym ideałom cosa nostrы. O tym, że „ludzie ho-

noru” uczynili z Palermo światową stolicę heroiny, jakoś zapomina. Na sali sądowej dochodzi do groteskowej kłótni – dawni przyjaciele i współnicy oskarżają się wzajemnie o brak moralności. Sycylijska rodzina, w obawie o własną skórę, wyrzekła się Buscetty. Ten jednak nie przejął się tym, bo założył nową. Resztę życia spędził w Ameryce pod ochroną służb, dumny, że stał się legendą i spłodził ośmioro dzieci. Być może w głębi duszy tęsknił do dawnego życia. Publicznie żałował tylko jednego – że nigdy już nie zje lodów na plaży Mondello.

Trochę dziwne, że Włosi czekali z tym tematem, aż bohaterowie poumierają, emocje wygasną, zaś mit cosa nostrы przesłonią wyczyny neapolitańskiej kamorrry i kalabryjskiej 'ndranghety. Filmowi brak werwy. Marco Bellocchio młody i gniewny był pół wieku temu, teraz cokolwiek stetryczał. Dostrzega, że skruszony mafioso to postać dwuznaczna, lecz woli wierzyć w szczerość jego nawrócenia. Sędzia Falcone takich złudzeń nie żywił i musiał przewracać się w grobie, gdy Buscetta snuł opowieści o łączącej ich przyjaźni. „Ojciec chrzestny” rządzi, bo chcemy wierzyć, że łajdacy też mają sumienia. ©©

Krew i mrok

Porządny złodziej broni palnej nie używa. Zhou Zenong, żyjący z kradzieży motocykli, tę zasadę naruszył i teraz ma kłopoty. Za pomoc w jego schwytaniu wyznaczono nagrodę w wysokości 300 tys. juanów. Nawet uczciwy by się połakomił, a coś dopiero zdemoralizowani kumple wroga publicznego numer jeden...

Brzmi znajomo? Nic dziwnego – reżyser jest zaprzysięgłym fanem czarnego kryminału, którego schematy przenosi w chińskie realia – ku zgrozie propagandystów, w pocie czoła tworzących wizerunek kraju wolnego od zachodnich patologii. Jackowi Bromskiemu za pseudoamerykański thriller „Zabij mnie, glino” nikt głowy nie uciął, więc może i Yinan jakoś

się wybroni. Zwłaszcza że „Jezioro dzikich gęsi” jest dziełem przesadnie wystylizowanym.

Im bardziej pierścień obław się zaciska, tym trup ściele się gęściej. Nawet pocziwy parasol okazuje się morderczym narzędziem. Aby ujrzeć wszystkie te dziwne, wzrok trzeba jednak mocno wyteżać.



★★★★★
REŻ. DIAO YINAN
„JEZIORO DZIKICH
GĘSI” („NAN
FANG CHE ZHAN
DE JU HUI”)
CHINY/FRANCJA
2019

wyst. Hu Ge, Gwen
Lun Mei, Liao Fan

Ciemności z rzadka rozjaśniają iskierki humoru w scenach zbiorowych (ustalenie złodziejskich stref wpływów poprzedzone pokazem technik kradzieży, odprawa policyjnych asów).

Po sukcesie „Czarnego węgla, kruchego lodu” niektórzy uznali Yinana za przyczajowego tygrysa. Teraz wyszło na jaw, że ten tygrys najlepiej czuje się w ogrodzie zoologicznym. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KTO TU JEST PASOŻYTEM

Najszcudrzej nagradzany film sezonu (Złota Palma w Cannes, cztery Oscary) południowokoreański „Parasite” to czarna jak smoła społeczna satyra. Uboga rodzina Kimów wkłada się w łaski zamieszkujących luksusową rezydencję bogaczy. Robi to sprytnie: pojedynczo, używając rozmaitych przebrań i fałszywych życiorysów.

Cel jest prosty – wyciągnąć od patronów jak największe pieniądze. To, co zaczyna się jako zwykły (choć pomysłowy) przekręt, wkrótce wymyka się spod kontroli. Kimowie nie są jedynymi spryciarzami w okolicy, a napięcie między biednymi a bogatymi doprowadzi do krwawego finału. „Parasite” jest świetnie opowiedziany, zabawny i przerażający, choć nie tak odkrywczy, jak się wielu recenzentom wydaje. Jego siła tkwi w tym, że jest także mniej jednoznaczny, niż sądzą ci, którzy opowiadają, że to po prostu rzecz o rosnących społecznych nierównościach i niedoli wykluczonych. W koreańskim hicie po łapkach dostają jedni i drudzy.



wyst. Song Kang-ho,
Lee Sun-kyun, Jo Yeo-jeong

★★★★★
REŻ. BONG
JOON-HO
„PARASITE”
KOREA
POŁUDNIOWA
2019, DYSTR.
MONOLITH

BRUDNY BOSTON

Niemal nic w tym filmie nie zostało z serii powieści Roberta B. Parkera o detektywie Spenserze. Twórcy pożyczili sobie nazwisko, miejsce akcji i zapamiętali, że Spenser miał kumpla imieniem Hawk. Nową twarzą detektywa jest Mark Wahlberg, który jako eksplinierz (nie prywatny detektyw) próbuje uciąć skorumpowanych gliniarzy oraz grupę ich wpływowych przyjaciół z półświatka. Film próbuje wskrzesić ducha akcyjnych buddy movies z lat 80.–90., ale brak tu humoru, tempa i świeżych pomysłów. Nie wszystko jest złe. Jako Hawk świetnie wypada Winston Duke, dobre epizody mają Alan Arkin jako mentor Wahlberga i Iliza Shlesinger jako jego szurnięta dziewczyna, reszta jest jednak przeciętna, czasem głupiotka i do szybkiego zapomnienia. Aż dziw, że scenariusz tej bladości wyszedł spod ręki Briana Koppelmanna, autora scenariusza do „Tajemnic Los Angeles”. ©©



wyst. Mark Wahlberg, Winston Duke,
Bokeem Woodbine

★★★★★
REŻ. PETER BERG
„SPENSER
CONFIDENTIAL”
USA 2020,
DYSTR. NETFLIX

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „BUG ACADEMY”

Jak, będąc rojem owadów, wysłać raketę w kosmos? Albo dostarczyć do mieszkania lodówkę, namalować obraz lub ugasić pożar? Jeśli kiedykolwiek zastanawialiście się nad trudnym, acz ciekawym życiem much, pszczoł, komarów albo świetlików, „Bug Academy” – dzieło

obietujących polskich deweloperów z Igrek Games – zapewni wam godzinny rozrywkę. Kluczem do zwycięstwa będzie umiejętne korzystanie z fizyki otoczenia i zaufanie własnej kreatywności. To produkcja ciekawa zwłaszcza dla najmłodszych. Może bez rewolucji i z lekką powtarzal-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nością w mechanice, ale warto dać szansę. ©© **Marcin Makowski**
• **Gatunek:** Logiczna/zręcznościowa
• **Platforma:** PC/Switch
• **Producent, dystrybutor:** Igrek Games/Gaming Factory/Ultimate Games
• **Klasyfikacja PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

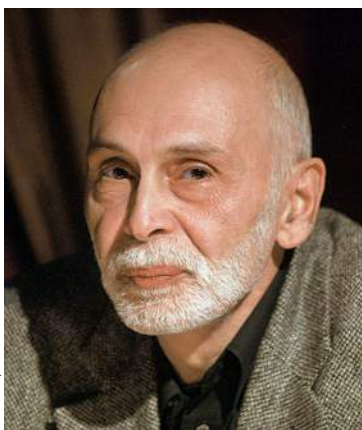
MOJA PÓŁKA

Tragiczna natura świata

W sierpniu 1922 r. z Władywostoku wyruszył do Jakucji kilkusetosobowy oddział ochotników, który pod wodzą idealisty i poety, gen. Anatolija Piepielajewa, zamierzał wesprzeć antybolszewickie powstanie. Ochotniczej Drużynie Syberyjskiej przyszło zmierzyć się z walczącym po stronie bolszewii Oddziałem Północnym dowodzonym przez anarchistrę Iwana Stroda. Ich losy, które relacjonuje w „Zimowej drodze” Leonid Józefowicz, splączą się odąd nierozdzielnie i, w konsekwencji, doprowadzą do takiego samego końca. Stroda, wcześniej opiewanego jako bohatera wojny domowej, władza sowiecka rozstrzelała w 1937 r., rzekomego kontrewolucjonistę Piepielajewa pół roku później.

Obaj toczyli ze sobą zacięty bój, zmagając się nie tylko z nieprzyjacielem, lecz także z równie groźną, jeśli nie groźniejszą, syberyjską przyrodą, przewyciężając trudy długich marszów, obezwładniając zimna, przerażającego głodu. Z tygodnia na tydzień rósł ich wzajemny szacunek, podziwiali swoją odwagę, kunszt żołnierski, wytrwałość. Autor, spisując po latach ich dzieje, także postarał się oddać im sprawiedliwość, choć niewątpliwie większą sympatią darzy Piepielajewa, postać rzeczywiste pod bardzo wieloma względami ujmującą, czego nie da się powiedzieć o jego antagoniście, wyraźnie próżnym, wdającym się w konflikty, nadużywającym alkoholu. Ale przecież mężnym w równym stopniu co jego o trzy lata starszy wróg.

„Piepielajew – czytamy – iście po rosyjsku potrafił łatwo przekładać idee na emocje, całą duszą oddał się nadziei, że odrodzenie Rosji przyjdzie ze wschodu. Syberyjskie chłopstwo było dla niego obiektem mesjanistycznych



FOT. ANDRZEJ RUBIS/FORUM

oczekiwań, podobnie jak Mongołowie dla Ungerna albo proletariatu dla marksistów, tyle że w narodowej, a nie światowej skali”. Cóż, bardzo się pomylił, licząc na to, że „naród sam wydobędzie z głębin siły, które stworzą prawdziwie narodową władzę”. Nie spodziewał się, że wykorzystany zostanie przez ludzi, dla których wojna stanowiła jedynie dobrą okazję do pomnożenia osobistego majątku, a Jakuci przeciwników z obu stron barykady będą traktowali tak samo – jak obcych.

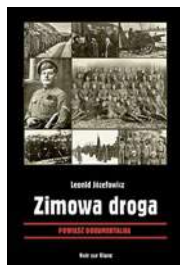
Ochotnicy Piepielajewa walczyli pod wymyślonym przez niego biało-zielonym sztandarem. Kolory te, symbolizujące tajemnicę, przecinał czerwony pas, odwołujący się do rewolucji takiej, jak ją rozumiał. „Nie uważałem jej za zło – pisze Józefowicz – ale traktowałem jako zjawisko tymczasowe, dlatego po drugiej stronie płótna sztandaru przedstawiono krzyż prawosławny i oblicze Chrystusa Zbawiciela – na znak, że »rewolucja kończy się zwrotem ku Chrystusowi«. I to pod tym sztandarem usiłowano wcielić w życie utopię socjalną, ostatnią w historii rosyjskiej wojny domowej.

Stał się Anatolij Piepielajew legendą tej wojny. Nie wszystkim jednak było wiadome, że w ciągu swoich trzech lat przeżytych na

Syberii nie podpisał ani jednego wyroku śmierci. A w rozkazie wydanym swojej drużynie przed wyruszeniem z Ajanu przypominał m.in.: „Ci, którzy poddali się z bronią albo bez broni, nie będą podlegali żadnym represjom, nawet gdyby byli dowódcami oddziałów Armii Czerwonej”, „Nie dopuszczać do dręczenia jeńców, pamiętać, że walczymy z władzą, a nie z poszczególnymi ludźmi”, „Rannym czerwonoarmistom udzielać pomocy medycznej”. Może trudno w to uwierzyć, ale rozkaz ten był wykonywany. I to ściśle.

Przelożona przez Henryka Chłystowskiego „Zimowa droga” anonsowana jest jako „powieść dokumentalna”. W istocie z powieści w niej niewiele; mogłaby być klasyczną podwójną biografią, gdyby nie wtręty osobiste autora, nie tak znów liczne. Leonid Józefowicz nie jest zresztą wyłącznie beletrystą, pisywał naukowe prace i szkice, jest kandydatem nauk historycznych. Z jego powieści w Polsce wydana była trylogia o śledztwach Iwana Putilina: „Kostium arlekina”, „Dom schadzek” i „Książę wiatru”. Warto zwrócić uwagę, że w swoim dorobku ma także powieść „Jeźdźcy z piasków”, rozwijającą jedną z legend o sławnym baronie Ungernie.

„Zimowa droga” opatrzona jest dwoma mottami. Pierwsze to może nadto patetyczne zdanie wypowiedziane przez bohatera książki, Anatolija Piepielajewa: „Nie sam idę – wybiera mnie los”. Drugim jest cytat z Ernsta Jungera: „Taka jest tragiczna natura świata – wraz z bohaterem rodzi się jego przeciwnik”. A ten przeciwnik – w tym przypadku Iwan Strod – w końcu swego życia usiłował wstąpić do partii, pewnie licząc na to, że tym sposobem uratuje głowę. Nic z tego, prośba została odrzucona. ©©



★★★★★
**LEONID
JÓZEFOWICZ**
**„ZIMOWA
DROGA. POWIEŚĆ
DOKUMENTALNA”**
NOIR SUR BLANC
2020



PIOTR GOCIEK

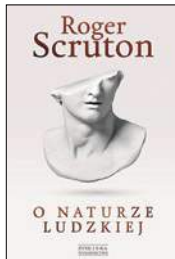
POCZYTANKI

Na ramionach olbrzymów

Do trzech wykładów, które Roger Scruton wygłosił w 2013 r. na Princeton University, dopisał jeszcze jeden, całość zredagował na nowo i tak powstała krótka, zwarta książeczka: „O naturze ludzkiej”. Cenne to dzieło, bo stanowiąc świetne wprowadzenie do szerokiej spuścizny brytyjskiego filozofa, jest zarazem uwypukleniem spraw dla niego najważniejszych. Sam autor zastrzegł, że stanowi w najlepszym razie jedynie streszczenie jego poglądów. Ciekawa rzecz, konserwatywny myśliciel oskarżany przez przeciwników o wsteczność i dogmatyzm podkreśla (zawsze tak czynił), że gotów jest do dyskusji, do walki na argumenty. Jakże tymczasem często ci, którzy obwołują się czempionami ludzkiej wolności, odmawiają innym prawa głoszenia poglądów – jakże często była to przypadłość polemistów Scrutona.

Od człowieka jako „zwierzęcia, którym rządzi prawa biologii” do podkreślenia, że „religia jest zarówno wytworem, jak i krzewicielem życia moralnego” – oto ścieżka, którą prowadzi swój wywód Scruton. Pierwsza w Polsce książka po jego śmierci (odszedł 12 stycznia tego roku) powinna

być jedną z najczęściej czytanych. Jednym pozwoleń na uporządkowanie wraz ze Scrutonem swych przeczuc i argumentów, innych poprowadzi ku jego innym dziełom („Kultura jest ważna”, „Pożądanie”, „Zielona filozofia”, „Co to znaczy konserwatyzm”). Jeszcze innych, mam nadzieję, zmusi do przemyślenia rzeczy, które za oczywiste uznawali może tylko dlatego, że głosili je myśliciele obecnie modni i wpływowi, a redukujący człowieka do osobnika pchanego jedynie impulsami biologicznymi lub sterowanego bodźcami ekonomicznymi.



★★★★★
ROGER SCRUTON
„O NATURZE LUDZKIEJ”
ZYSK I S-KA 2020



★★★★★
IRVING BABBITT
„DEMOKRACJA I PRZYWÓDZTWO”
OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2020

Tymczasem jak ładnie to sformułował Irving Babbitt, amerykański klasyk „nowego humanizmu”: „Kiedy problem ekonomiczny bada się w sposób możliwie gruntowny, okazuje się on zmierzać do zagadnienia politycznego, zagadnienie polityczne do zagadnienia filozoficznego, a samo zagadnienie filozoficzne okaże się na końcu niemal nierozzerwalnie splecione z zagadnieniem religijnym”. Cytat ten zaczerpnąłem ze znakomitej książki „Demokracja i przywództwo”, która wreszcie ukazała się po polsku. Gorąco polecam lekturę i Scrutona, i Babbitta – to prawdziwe paliwo rakietowe dla mózgu. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa powieść autora „Opowieści o wolności” i „Lamentu nad Babilonem”. Jej bohater to postać tyleż barwna, co kontrowersyjna: Ignacy Karol Milewski, kolekcjoner dzieł sztuki, konserwatysta, carski lojalista.



WACŁAW HOLEWIŃSKI
„ORAZ WYGNANI ZOSTALI”
PIW

Zbiór wywiadów, których głównym (aczkolwiek niejedynym) tematem jest przyszłość Kościoła katolickiego w Polsce, a także metody walki z pedofilią oraz celibat. Wśród rozmówców m.in. Zbigniew Nosowski i ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.



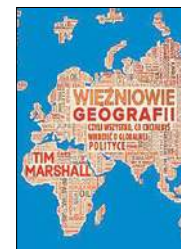
TOMASZ TERLIKOWSKI
„TYLKO PRAWDA NAS WYZWOLI”
FRONDA

Nie złamał jej pobyt w Ravensbrück, a w PRL nawrócił się na katolicyzm. Biografia mistrzyni drzeworytu, Marii Hiszpańskiej-Neumann (dla przyjaciół Myszy), ma dwie części. Pierwsza traktuje o człowieku, druga o artystce.



MARIA CZARNECKA, EWA KIEDIO
„ZOSTAŁY MI SŁOWA MIŁOŚCI”
WIĘŻ

Autor świetnej książki o geopolityce uzupełnia swą pracę zbiorem map pod tym samym tytułem. Publikacja albumowa przeznaczona dla młodszych czytelników, świetne wprowadzenie w temat. ©©



TIM MARSHALL
„WIEŹNIOWIE GEOGRAFII”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Arthur Conan Doyle** „Księga wszystkich dokonani Sherlocka Holmesa” (Rea) – zbiór wszystkich utworów, w których oryginalnie pojawił się wielki detektyw.
2. **K.N. Haner** „Złe miejsce” (Editio) – powieść reklamowana jako początek nowej serii mafijnej, ale to bardziej krok w kierunku klimatów „365 dni”.
3. **Meghan March** „Pakt z diabłem” (Editio) – tom pierwszy cyklu „Forge” amerykańskiej prawnik, która przekwalifikowała się na autorkę romansów.
4. **Vi Keeland** „Seks, nie miłość” (Wydawnictwo Kobiecte) – nowa książka autorki licznych bestsellerów obyczajowych (m.in. „Zbuntowany dziedzic”).
5. **Louisa May Alcott** „Małe kobietki” (Poradnia K) – klasyka znów na księgarskich półkach, za sprawą świetnego filmu Greta Gerwig (w kinach).

(Najchętniej kupowane e-booki w lutym 2020 r. na Ebookpoint.pl)



Iga skryta za Ofelią

Ofelia nie jest pseudonimem artystycznym, który powstał na potrzeby show-biznesu. – Wymyśliłam sobie Ofelię i tak przedstawiałam się ludziom, bo trochę wstydyłam się siebie i tego, kim jestem – opowiadała w rozmowie z Interią Iga Kreft. Znowu sięgnęła po

swoje alter ego, gdy zaczęła nagrywać muzykę. Ponownie się skrywa? Ofelia przedstawia się w sposób zawołowany. „Dotychczas kojarzona raczej z rysów twarzy, teraz zacznie się wam kojarzyć ze słowami, dźwiękami, a za chwilę wszyscy będziecie śpiewać

razem z nią. [...] Dużo biegała po scenie, przebierając się za innych, ale o niczym nie marzyła tak jak o tym, żeby biegać po niej, będąc sobą”.

Rozpoznawalność i niezależność finansową przyniosło jej (już jako nastolatce) aktorstwo, a ściślej rzecz

ujmując – rola w serialu „M jak miłość”. Iga Kreft ten etap swojego życia docenia: „Jestem w miejscu, w którym jestem, dzięki serialowi. Bo gdyby nie serial, to nie mogłabym mieszkać w Warszawie i uczyć się tu w szkole. Nie mogłabym sobie kupić gitar, na których nauczyłam się grać i pisać piosenki”. A jednocześnie przyznaje, że show-biznes szybko szufladkuje aktorów znanych z nie najambitniejszych seriali. I ma nadzieję, że kiedyś będzie „znana bardziej z muzyki niż z serialu”.

Jej zeszłoroczny debiut z płytą „Ofelia” to zdecydowany krok w tym kierunku. Publiczność, pewnie inna niż serialowa, ciepło przyjęła przemysłowy album. Dwanaście utworów, wszystkie po polsku, w wielu pobrzmiewają folkowe inspiracje, wyśpiewane są pełnym emocji głosem. Jeśli ktoś Iłę próbował szufladkować, to niesprawiedliwie. ©©

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁY PRACOWNE



GRZEGORZ
BRZozowicz

NA SŁUCH

Kochany brzydal

Po świetnym biograficznym filmie „Rocket Man” dostajemy książkową autobiografię Eltona Johna. Czyta się wyśmienicie, gdyż gwiazdor nie tylko jest dowcipny, lecz także ma wielki dystans do własnej kariery i samego siebie.

Film nie do końca jest w zgodzie z chronologią zdarzeń. Wynika to z musicalowej konwencji. Dla autorów ważniejsze było oddanie epoki szalonych czasów rocka lat 60. i 70. niż trzymanie się faktów. Wbrew pozorom to atut filmu, którego akcja kończy się w połowie lat 80.

W autobiografii Elton opisuje całe swoje życie. Nie pomija żenujących faktów, ale też ujawnia mało znane informacje z życia elit – w tym brytyjskiej rodziny królewskiej.

Autobiografie muzyków często są porażką. Z wydanych w Polsce wynika, że autorzy albo nie mają dystansu do siebie (Bacharach, Clapton), albo skupiają się na swojej twórczości (Springsteen, Neil Young, Hancock) lub duchowości (Santana), albo idą w anegdotę (Tom Jones, Rod Stewart) lub hermetyczną literaturę (Dylan). Autobiografie Keitha Richardsa i Eltona Johna mogą natomiast zainteresować czytelników nieobeznanych w temacie.

Elton opisuje czasy, kiedy do show-biznesu weszły wielkie pieniądze, a w konsekwencji również wielkie dramaty. Rzadko się zdarza, by gwiazdor tak szczerze i wnikliwie analizował swoje często godne pogardy postępowanie, a przy tym robił to z takim wdziękiem. ©©



JA
ELTON
JOHN
„JA”
OTWARTE

★★★★★

ELTON JOHN
„JA”
OTWARTE



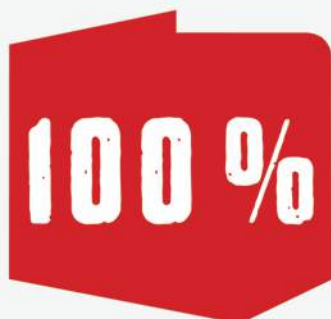
★★★★★
KOMETY
„ALFA CENTAURI”
THIN MAN

Nostalgiczne retro z powiewem bałtyckiej bryzy, choć lider jest ze stolicy. To dziesiąty album Komety, a poetyka wciąż ta sama. Lesław Strybel wciąż jest niepoprawnym marzycielem szukającym prawdziwej miłości. Dancing bigbitowy dla starzejących się punkowców.



★★★★★
PAT METHENY
„FROM THIS PLACE”
NONESUCH

Jazzman komentuje dosłownie i metaforycznie czasy amerykańskiej burzy politycznej. Dzięki orkiestrze symfonicznej muzyka ma filmowy charakter. Nostalgia i liryzm mieszają się z wielkimi dramatami. Tytułowa piosenka (śpiewa Me'shell Ndegeocello) jest polityczną agitką. ©©



**polski
produkt**

**V EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER GŁÓWNY





ks. Przemysław Artemiuk

Leszek Kołakowski, podejmując badania nad osobą Jezusa, dostrzegł w nim postać, bez której nie można zrozumieć rzeczywistości

Leszek Kołakowski (zm. 2009) formalnie nigdy nie był katolikiem. Do końca swych dni pozostał człowiekiem nieochrzczonym. W rozmowie ze Zbigniewem Mentzlem przyznawał się jednak do chrześcijaństwa, uważał, że stoi po jego stronie. Fascynowała go stara msza święta, lubił tę liturgię, chociaż w niej, podobnie jak w spowiedzi, nie uczestniczył. Najgłośniejszą deklaracją związków filozofa z wiarą pozostają słowa z przywołanego wywiadu: „Jestem przywiązany do tradycji chrześcijańskiej, do wielkiej siły Ewangelii, Nowego Testamentu. Uważam to za fundament naszej kultury. Ale nie tylko. Mam poczucie, że dla mnie samego jest to bardzo ważne. A więc w jakimś luźnym sensie mógłbym się chwalić, że jestem chrześcijaninem”.

Chrześcijaństwo w oczach Kołakowskiego było stałym elementem kultury, bez którego trudno myśleć o naszym świecie. Zdaniem filozofa w jakimś sensie wszyscy pozostają chrześcijanami. On sam jednak, niczym Simone Weil, nie przekroczył bram Kościoła, używając jej metafory, można powiedzieć, że pozostał na progu świątyni, bacznie przyglądając się kondycji chrześcijaństwa. Niezależnie jednak od osobistych przekonań chrześcijaństwo pozostawało w centrum jego refleksji intelektualnej. Wrażliwość filozoficzna nie pozwalała być mu obojętnym. Na przestrzeni lat pisał o chrześcijaństwie, będąc jego surowym krytykiem, „życzliwym adwersarzem” czy w końcu sprzymierzeńcem. Doskonałym przykładem jego stosunku do chrześcijaństwa pozostają teksty poświęcone Jezusowi. Warto je czytać, aby zobaczyć, jak aktualne pozostaje przesłanie Narejczyka.

PO STRONIE BŁAZNA

Na początku drogi naukowej Kołakowski wspierał, jak mógł, słowem i piórem, zdobywających wtedy Polskę komunistów i gromił „zezwierzęconą,

znikczemniałą burżuazję” (kapitalizm) i jej rzekomych ideologicznych rzeźników. Jego ataki kierowały się przede wszystkim przeciw filozofii katolickiej, polskiej i zagranicznej – a więc przeciw, jak uważał, pseudoracjonalnym próbom ideologicznego uzasadnienia politycznie i społecznie opresywnej instytucji, jaką jest Kościół. Religia, pisał, to nic więcej, jak tylko obskurantyzm, świadectwo niedojrzałości i słabości umysłowej „zahukanych mas”, konserwująca tę niedojrzałość i umysłową słabość w interesie tych, którzy z niej korzystają: „Ideologia kościelna [...] to [...] narzędzie bazy kapitalistycznej w jej fazie gnicia”. Marksizm, twierdził, pozwala to wydobyć na jaw; marksizm, co „niesie ludzkości wyzwolenie społeczne [...] oraz zwycięstwo rozumu i nauki nad zabobonem i fałszem”.

Już w połowie lat 50. okazało się, że filozof, tworząc zręb własnego systemu myślenia, nie tylko poddał krytyce społeczną funkcję Kościoła i uzasadniał swój sprzeciw wobec filozofii katolickiej, formułując moralne i intelektualne racje, lecz także równocześnie wypracowywał własne stanowisko filozoficzne, co doprowadziło do kolizji z obowiązującą wykładnią marksizmu, a w konsekwencji do konfliktu z samą partią. Kołakowski stanął w opozycji i wobec katolickich filozofów, i wobec partyjnych ideologów. Swoje poglądy określił mianem racjonalizmu nieograniczonego, który stał się dla filozofa główną tezą, na kanwie której formułował poglądy, ale przede wszystkim postawą kształtującą spojrzenie na człowieka i świat.

W znakomitym eseju z roku 1959 zatytułowanym „Kapłan i błazen” Kołakowski zdefiniował własne przekonania. Nazwał

Wyznania rewizjonisty

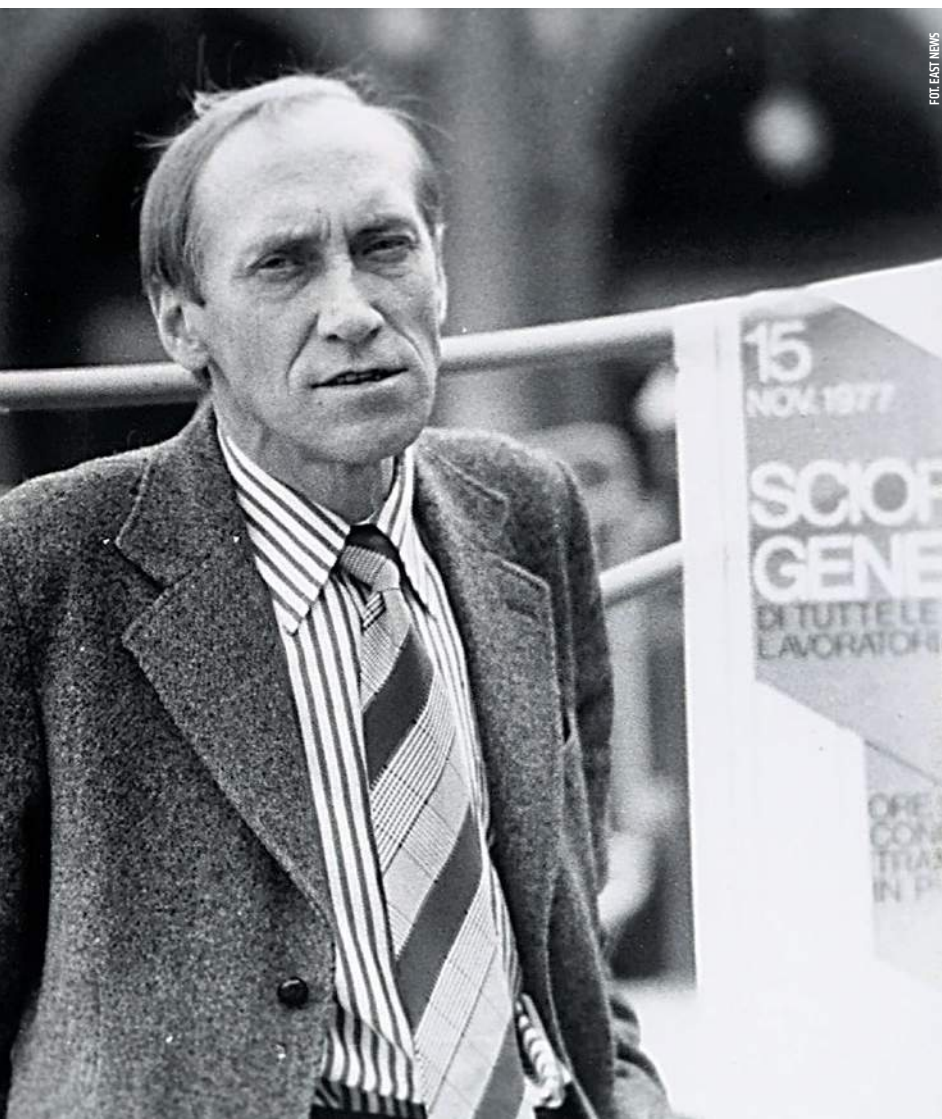


FOTO: EAST NEWS

je filozofią błazna. „Antagonizm między filozofią utrwalającą absolut i filozofią kwestionującą absoluty uznane wydaje się antagonizmem nieuleczalnym, jak nieuleczalne jest istnienie konserwatyzmu i radykalizmu we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia. Jest to antagonizm kapłanów i filozofia błaznów, a w każdej niemal epoce historycznej filozofia kapłanów i filozofia błaznów są dwiema najołnieszszymi formami kultury umysłowej. Kapłan jest strażnikiem absolutu i tym, który utrzymuje kult dla ostateczności i oczywistości uznanych oraz zawartych w tradycji. Błazen jest tym, który wprawdzie obraca się w dobrym towarzystwie, ale nie należy do niego i mówi mu impertynencje; tym, który podaje w wątpliwość wszystko to, co uchodzi za oczywiste; nie mógłby tego czynić, gdyby sam do dobrego towarzystwa należał

– wtedy najwyżej mógłby być gorszy-cielem salonowym; błazen musi być na zewnątrz dobrego towarzystwa, oglądać je z boku, aby wykryć nieoczywistość jego oczywistości i nieostateczność jego ostateczności; zarazem musi w dobrym towarzystwie się obracać, aby znać jego świętości i aby mieć okazję do mówienia mu impertynencji”.

Opowiadając się za postawą błazna, Kołakowski stwierdza, że filozofia tego rodzaju „jest tą właśnie, która w każdej epoce demaskuje jako wątpliwe to, co uchodzi za najbardziej niewzruszone, ujawnia sprzeczności tego, co wydaje się naoczne i bezsporne, wystawia na pośmiewisko oczywistości zdrowego rozsądku i dopatruje się racji w absurdach – słowem podejmuje cały codzienny trud zawodu błazna razem z nieuchronnym ryzykiem śmieszności; w zależności

od miejsca i chwili myśl błazna może poruszać się po wszystkich ekstremach myślenia, albowiem świętości dzisiejsze były wczoraj paradoksami, a absoluty na równiku bywają błuźnierstwami na biegunie. Postawa błazna jest stałym wysiłkiem refleksji nad możliwymi racjami idei przeciwnych, jest tedy dialektyczna z przyrodzenia; jest po prostu przewyciężaniem tego, co jest, dlatego że jest właśnie; rządzi nią wszakże nie chęć przekory, ale nieufność do wszelkiego świata ustabilizowanego”.

Zdaniem K. Michalskiego kapłan i błazen to nie dwie role społeczne ani tym bardziej dwie rzeczywiste postacie, nie ksiądz i prześmiewczy intelektualista. „Filozofia błazna, radykalny racjonalizm, zdaniem komentatora, to przede wszystkim nieustanny wysiłek przewyciężenia własnego konserwatyzmu: przewyciężenia naturalnej, a więc nieusuwalnej pokusy samointerpretacji w kategoriach rzeczowych, rozumienia siebie jako elementu jakiejś struktury, kołka w jakiejś maszynie, klocka w jakiejś instytucji, części jakiejś istniejącej solidnie całości, jakiegoś porządku. Błazen, w każdym z nas, to wysiłek wyzwolenia się z tego wszystkiego, wysiłek wolności”.

WOKÓŁ IDEI MITU

Rozważania na temat racjonalizmu doprowadziły Kołakowskiego do ostrego sporu z partią. Stając się „człowiekiem Października”, filozof poparł nurt reformatorski i przyjął postawę rewizjonistyczną. Wraz z zawirowaniami na polskiej scenie politycznej Kołakowski podjął refleksję nad najbardziej newralgicznymi pytaniami stawianymi przez człowieka. „Obecność mitu” pozostaje najdojrzałszym owocem przemyśleń tego czasu. Mit nigdzie nie jest przez filozofa zdefiniowany, ale z całości rozważań wyłania się jego rozumienie. Pojęć takich jak „prawda”, „dobro”, „piękno” zdaniem Kołakowskiego zwykle używamy w znaczeniu powszechnym. Równocześnie jednak nie przystają one do innych, organizują bowiem ludzki sposób myślenia do tego stopnia, że wydają się nieusuwalne. Według filozofa istnieje swoiste napięcie, nazwane fundamentalnym, między potoczną percepcją świata, nastawieniem animalnym, a porządkiem mitologicznym. Pierwszy, wychodząc od oglądu świata, kieruje się ku „technologicznemu wysiłkowi jego eksploracji”, który realizuje się w nauce. „Czym innym jest mit: ■

■ jest percepcją świata (całości rzeczywistości: »wszelkiego możliwego doświadczenia«) przy jednoczesnym odniesieniu go do rzeczywistości ponad-empirycznej: Boga, prawdy, wartości, miłości itp.”.

Fundamentalne pytania rodzące się w ludzkim wnętrzu domagają się odpowiedzi, która musi wyjść poza świat rzeczy i pójść głębiej. „Obecność w człowieku tych pytań ujawnia istotny wymiar ludzkiego bytowania – potrzebę odniesienia całej rzeczywistości oraz własnego bytu do »nieempirycznej rzeczywistości bezwarunkowej«. Jest to tylko obecność intencji, co nie stanowi żadnego dowodu rzeczywistości tego, do czego intencja owa się odnosi. Intencjonalna obecność przedmiotów mitycznych w naszej kulturze to jedynie odsłonięcie potrzeby wpisanej w realność człowieka. Można opisać mit, wskazując na odkrywane w człowieku potrzeby rodzące w nim pytania o sprawy »ostateczne«, które Kołakowski nazywa metafizycznymi. Są one rdzeniem mityczne i nie można ich przekształcić w pytania naukowe”. Jakże to potrzeby? Pierwszą można streścić w pytaniu: Czy świat posiada jakiś sens? Chodzi o odnalezienie jakiegoś ponadempirycznego ładu, harmonii. Druga to potrzeba wiary w trwałość wartości ludzkich. Trzecią można określić jako pragnienie widoku świata jako całości.

Ostatecznie mit, a „więc pojęcia odsyłające do takich warunków naszego życia, które w tym życiu nie dadzą się znaleźć – dają nam oparcie w świecie, robi ze świata dom”. Zdaniem K. Michalskiego jest on nie tyle wiedzą, ile nadzieją, „w której zawiera się doświadczenie ułomności i niedostatku oraz ufnosć w ich uleczałość”. Filozofię mitu Kołakowski wpisuje w szerszą refleksję nad kulturą, którą zgodnie z intencją filozofa należałoby rozumieć jako „całe bogactwo znaków i środków, jakimi ludzie komunikują się ze sobą”. Do tego mitycznego świata należy także osoba Jezusa z Nazaretu, której Kołakowski poświęcił dwa ważne teksty: artykuł z roku 1965 „Jezus Chrystus – prorok i reformator” oraz nieukończony esej „Jezus ośmieszony. Esaj apologetyczny i sceptyczny”, napisany w połowie lat 80.

JEZUS W OCZACH FILOZOFA

Spojrzeniu Kołakowskiego na Jezusa towarzyszy perspektywa filozoficzna. On sam, nie sugerując się wpływem teologii czy komentarzami biblijnymi, chce odczy-

tać życie Jezusa w sposób wolny, unikając założeń religijnych. Własne spojrzenie nazywa świeckim. Chce przez to powiedzieć, że w myśleniu religijnym nie jest obciążony przeświadczeniami wspólnot wyznaniowych, dlatego takie kwestie jak bóstwo Jezusa czy spory chrystologiczne nie mają dla niego znaczenia. Czego zatem filozof szuka u Mistrza z Nazaretu? Kołakowskiemu chodzi przede wszystkim o wartości uniwersalne, które niesie nauczanie Jezusa. Nie będąc teologiem, pozostawia na boku spekulacje chrystologiczne. Przyjmuje jednak nauczanie Kościoła katolickiego na temat Jezusa, nie komentując go w żaden sposób. Interpretuje osobę Chrystusa, przyjmując wypracowaną przez siebie kategorię mitu, który najlepiej oddaje fenomen Galilejczyka. Kołakowski jest tutaj konsekwentny. Stwierdza, że chociaż nie podziela wiary religijnej, to jednak zgadza się z wiarą, która ma wymiar kulturowy. To ona warunkuje jego zainteresowanie Jezusem. Skoro mity przynależą do kultury i wskazują na rzeczywistość, której nauka nie wytłumaczy, a także odpowiadają na fundamentalne pytania człowieka, to w tej kategorii sytuuje się osoba Mistrza z Nazaretu. Paradoksalnie filozof wyznaje, że nie wierzy w bóstwo Jezusa, ale zastrzega, że jeśli jakiś człowiek na ziemi mógł być jak Bóg, to tylko On.

Obraz Galilejczyka jako apokaliptycznego proroka i reformatora łączy oba teksty. W pierwszym pojawia się jako główna teza, w drugim zaś jako wprowadzenie do pogłębionej nauki o stosunku do tego świata oraz relacjach sacrum i profanum. Kołakowski stwierdza, że wizje sugerowane przez Chrystusa nie spełniły się, królestwo bowiem nie nadeszło. Dlatego uczniowie musieli dokonać korekty nauczania mistrza. To, co pozostało i jest trwałe, to doktryna na temat tymczasowej obecności chrześcijan w świecie. Wprawdzie królestwo w całej pełni nie objawiło się za życia Jezusa, nie znaczy to jednak, że nie należy kontynuować budowy tej rzeczywistości. Wskazania Chrystusa przekazane uczniom pozostają nadal aktualne. Chodzi o odnalezienie ich w gąszczu przepisów kościelnych i uwrażliwienie na nie wierzących i niewierzących. Zdaniem Kołakowskiego nauczanie Jezusa dlatego ma wymiar mityczny, ponieważ przekracza ramy konfesji, a stając się uniwersalne, pozostaje otwarte dla wszystkich. Dominacja miłości nad prawem, zniesienie przemo-

cy, rozwój życia wewnętrznego, równość wobec Boga czy nędza doczesności to reguły, które Kołakowski wyprowadza z nauczania Jezusa. Czy nie brzmią one jak postulaty domagające się realizacji w każdym czasie? Słowa Chrystusa są zatem prawem nowym i niezmiennym, ofiarowanym ludzkości niezależnie od wizji apokaliptycznych.

Świat, zgodnie z nauczaniem Jezusa, nie może ofiarować człowiekowi spełnienia. Staje się wprawdzie domem na jakiś czas, jednak nigdy na zawsze. Dlatego w drugim z tekstów Kołakowski poza powtórzeniem myśli o apokaliptycznych prorocztwach Chrystusa przypomina, że wierzący nie powinni zbyt łatwo dać się porwać wizjom o końcu świata. Poprzez wewnętrzne nawrócenie, pozostając w zgodzie z sumieniem, przekonani, że Jezus ma rację, chrześcijanie mają odważnie zdobywać ten świat przez miłość. Należy przywrócić słowom Jezusa ich znaczenie, porzucić wstydlive zapominanie, nie bać się ośmieszenia czy pogardy. Skoro Jezus jest prawdą, to ona winna przenikać życie wierzących, ale także wszystkich ludzi dobrej woli, rozpoznających w przesłaniu Galilejczyka sens. Dwie zasady, zauważa filozof, mają kierować chrześcijanami. Pierwsza to autonomia sacrum i profanum, realizująca się porzuceniem marzeń o teokracji. Druga to zrozumienie, że jedynym kryterium postępowania jest prawo naturalne. Kołakowski widzi w nim fundament i ratunek dla świata. Jeśli chcemy umiejętnie oddzielać dobro od zła i nie ulec przy tym dyktaturze prawa stanowionego czy własnego rozumu, to tylko odkrycie, że źródło natury tkwi w Bogu, ma zatem wymiar boski, może przynieść ocalenie. W tej kwestii filozof jest bezwzględny. Taki obraz prawa Boga, podkreśla, przyniósł Jezus. Dlatego pozbawienie Nazarejczyka racji istnienia, wyrzucenie poza ramy ludzkiej historii i kultury, zwiastuje zmierzch i zagładę naszej cywilizacji.

Kołakowski, podejmując badania nad osobą Jezusa, dostrzegł w nim postać, bez której nie można zrozumieć rzeczywistości. Chrystus przekształcił świat, a to, co nowe, wyłoniło się właśnie dzięki niemu. Dlatego nie może zostać ani usunięty, ani zapomniany czy też unieważniony. Jeśli kultura i, szerzej, cywilizacja, uważa filozof, chcą istnieć i się rozwijać, muszą bronić dziedzictwa Jezusa z Nazaretu.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

W szpitalu czy w serialu

Przepraszam, ale nie będzie o koronawirusie. No cóż, nie znam się, a żadne – poza dość oczywistymi – refleksjami chwilowo nie przychodzą mi do głowy. A nie płacą mi tu za to, żebym pisał to, co napisali już inni.

Ale żeby choć trochę pozostać w klimacie, będzie o szpitalu. Otóż tuż przed eksplozją koronawirusa w Polsce nasz syn zaczął rzygać. To by nas nie przeraziło, bo cóż – każdemu się zdarza. Ale biedak wymiotował i wymiotował, aż zupełnie się odwodnił. Pojechaliśmy więc z nim na ostry dyżur. A tam zdecydowali, że trzeba go podłączyć do kroplówki i bliżej mu się przyjrzeć. Tak oto trafiliśmy do Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Warszawie. Kliniczny – tak przy okazji – okazał się świetną, bardzo przyjazną rodzicom placówką.

Tak naprawdę to młody trafił do szpitala, a ja do swego ulubionego serialu. Bo jedni uwielbiają „Grę o tron” albo „Star Trek” i im trudno spędzić parę nocy w Westeros albo na statku Enterprise. A ja akurat bardzo lubię „Hożych doktorów” – serię komediową opowiadającą o perypetiach początkujących lekarzy w amerykańskim szpitalu. Tak się złożyło, że przyjmował nas na oddział sympatyczny rezydent wizyty żywcem z tego serialu.

Ale najfajniejsze zdarzyło się rano. Otóż w serialu do zabawniejszych należały te sceny, podczas których ordynator, dr Kelso, robi obchód z rezydentami, przyuczając ich do niełatwego fachu lekarza. Ponieważ rzecz

się dzieje w USA, to towarzystwo jest wielorasowe. A że nasz szpital położony był przy Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, odwiedził nas miejscowy Kelso z gromadą... różnokolorowych studentów. Pochodzili z Maroka, Ghany, Azerbejdżanu, Syrii, Malezji i Kuwejtu. Przepytawali młodego (i mnie) po angielsku. Stawiali diagnozy, które Kelso wyśmiewał (jak w serialu) albo chwalił (to już nie jak w serialu). A że uznano nas za ciekawy przypadek, bo sporo podróżujemy i mogliśmy Bóg wie co przywlec ze świata, odwiedzali nas codziennie. Sporo się nauczyliśmy.

Cóż, ja się bawiłem świetnie. Młody przy trzecim ultradokładnym badaniu i obmacywaniu (w tym wieku jeszcze mu zwiśa, że robiła to śliczna dziewczyna z Ghany) miał już trochę dosyć. Ucieszył się zatem, że trzeciego dnia go wypisali. Akurat w dniu, kiedy w Polsce pojawił się pierwszy przypadek koronawirusa.

Gdy moja dorosła już córka była mała, też spędziłem z nią kilka dni w szpitalu. I oba te pobyty – to zabrzmi dość dziwnie – wspominam bardzo dobrze. Nie tylko dlatego, że byłem w ulubionym serialu. Nie tylko dlatego, że w obu przypadkach mieliśmy wspaniałą opiekę. Ale dlatego, że takie szpitalne czuwanie przy chorym dziecku jeszcze wzmacnia wzajemną więź.

I wiecie co? Szkoda, że w szpitalach nocować można tylko przy dziecku. Myślę, że dzieci – jak już będą trochę większe – powinny mieć możliwość rewanżu. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Drugi jeździec Apokalipsy

Ale w Grenadzie zaraza”. Któż nie zna czwartego wersu pierwszej zwrotki Mickiewiczowskiej „Alpuhary”? W tradycyjnej historii zajmującej się dziejami królów i wojen, ale również w marksistowskiej, zajętej bez reszty rozwojem sił wytwórczych i stosunkami produkcji, elementy od człowieka niezależne omawiane były na marginesie albo wcale. Zmiany klimatu, wybuchy wulkanów, a nawet wielkie epidemie były elementem dekoracji i dopiero ostatnio

w efekcie nie był do końca negatywny.

To, że Polska stosunkowo lekko przeszła zarazę – w przeciwieństwie do sąsiadów – spowodowało cud Kazimierza Wielkiego, a później umożliwiło stworzenie potęgi monarchii Jagiellonów. Wyludnienie Europy Zachodniej sprawiło, że na zachód od Odry zrezygnowano z pańszczyzny, co umożliwiło powstanie nowoczesnej gospodarki. Epidemie w XVII w. wyludniły Rzeczpospolitą skuteczniej niż wojny, powstania i najazdy i to one stały się jedną z przyczyn jej zapaści.

Swój kształt etniczny Ameryka Południowa zawdzięcza nie tyle konkwistadorom, ile zarazkom ospy i grypy, które populację Meksyku zmniejszyły o 95 proc. Przy okazji przywóz Murzynów do Nowego Świata nie wynikał z tego, że Afrykanie byli bardziej robotni od Indian (wręcz przeciwnie), lecz z tego, że byli oni odporni na europejskie mikroorganizmy.

Powstanie listopadowe utrudniła cholera, a słynna hiszpanka (1918–1919) miała wpływ na szybsze zakończenie wielkiej wojny i spadek agresywności państw przez pierwsze lata międzywojnia.

Rozwój medycyny, szczepionek, profilaktyka i higiena sprawiły, że ludzkość przestała się bać „drugiego rumaka Apokalipsy” (tylko co pewien czas popadając w histerie z okazji eboli, AIDS czy ptasiej grypy). Wkrótce dowiemy się, jak dużej skali był to błąd. ©©

**Rozwój medycyny,
szczepionek,
profilaktyka i higiena
sprawiły, że ludzkość
przestała się bać
„drugiego rumaka
Apokalipsy”**

zaczyna się przyznawać im moc sprawczą (wyjątkiem Stary Testament, w którym egipskie plagi – szarańcza, pomór, epidemia – a nie „czyn zbrojny” umożliwiły ucieczkę Żydów spod władzy faraona). Ileż razy interwencja samej natury (lub Boga) dewastowała ludzkie zamiary! To dżuma za Justyniana (w latach 541–542) przesądziła, o tym, że nie udało się odbudować imperium rzymskiego, a swój kształt Europa zawdzięcza „czarnej śmierci” z połowy XIV w. Przy czym wpływ ten



Z Leszkiem Żebrowskim, historykiem
rozmawia Wojciech Wybranowski

To był najazd Armii Czerwonej

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych obchodzony był w atmosferze coraz silniejszej krytyki ze strony środowisk lewicowych pod adresem żołnierzy WiN, AK i NSZ. „Gazeta Wyborcza” napisała na przykład, że to „radosne święto wojny domowej”.

LESZEK ŻEBROWSKI: Po latach 1944–1945 nie było w Polsce „wojny domowej”. Moglibyśmy o niej mówić, gdyby do walki o władzę stanęły np. Bataliony Chłopskie przeciwko Armii Krajowej czy Polska Partia Socjalistyczna przeciwko Stronnictwu Narodowemu. Tego jednak nie było, mieliśmy natomiast instalowanie sowieckiej władzy komunistycznej pod osłoną Wojsk Wewnętrznych NKWD i Armii Czerwonej. To z nimi większość walk toczyły ugrupowania niepodległościowe. Zresztą sami



Leszek Żebrowski: – Kolaboracja Brygady Świętokrzyskiej (na zdjęciu) to mit. Nigdzie jej żołnierze nie wystąpili po stronie niemieckiej

FOT. IPN

komuniści przyznawali, że nie mieli znaczącego poparcia. Zatem ówczesne powiedzenie, że nowa władza przyszła na ostrzach sowieckich bagnatów, było całkowicie prawdziwe. Pamiętajmy też o tym, że mieliśmy do czynienia z najazdem Armii Czerwonej. To nie propaganda czy ideologia rozstrzyga o istocie ówczesnych wydarzeń. Wystarczy zapoznać się z dokumentami obu stron konfliktu. Jednak kto dziś czyta i zna dokumenty? Po 1944 r. zginęło z rąk komunistów, różnych formacji, i NKWD, od kilkudziesięciu do prawdopodobnie nawet stu kilkudziesięciu tysięcy ludzi (uwzględniając ziemie zabrane – na wschód od Bugu). W olbrzymiej większości byli to cywile, w tym kobiety i dzieci, którzy padali

ofiara grup operacyjnych, zbrodniczych pacyfikacji, a także „band pozorowanych”. Tworzyli je komuniści w ramach aparatu bezpieczeństwa publicznego: UB, IW, MO, ORM, KBW, „ludowego” WP, PPR oraz NKWD. Popełniały one masowe zbrodnie, które miały obciążać konto podziemia niepodległościowego. Rozkazy, które te „bandy” otrzymywały, nakazywały mordowanie jeńców, osób podejrzanych, pacyfikacje „wrogich” wsi i w ogóle stosowanie odpowiedzialności zbiorowej...

A jednak część historyków, także bliskich środowiskom prawniczym, konserwatywnym zwraca uwagę, że walka podziemia antykomunistycznego w latach 1945–1956 była z góry przegrana.

O tym, co jest z góry „walką przegraną”, publicyści i propagandyści decydują po latach, przy kawie. W latach 1919–1920 w walce z potężną przecież bolszewią też teoretycznie nie mieliśmy szans, stosunek sił był przerażający. We wrześniu 1939 r. nie mieliśmy szans w starciu z najazdem III Rzeszy Niemieckiej, wkrótce wspartej przez Sowieców. W 1944–1945 r. mieliśmy do czynienia z ponownym najazdem bolszewickim. Rodzimi komuniści nie mieliby żadnych szans w Polsce. Uzmysłowić to przywódcom tzw. PPR już w październiku 1944 r. sam Józef Stalin: „Gdyby nie było Czerwonej Armii – to przez tydzień nie byłoby was”. Działania polskich niepodległościowców przeciwko komunistom nie były nastawione na otwartą wojnę. Dwie główne płaszczyzny ich działania to było zwalczanie grup pacyfikacyjnych w terenie (początkowo głównie NKWD) w celu ochrony ludności cywilnej oraz rozbijanie aresztów i więzień. Opór był odpowiedzią na straszliwy terror. Przecież nie było wówczas postulatów typu malowanie kredkami na ulicach: „Sowieci, kochamy was, nie mordujcie nas”. Chodziło głównie o to, aby dotrzeć do „wolnych wyborów”, zagwarantowanych nam przecież na konferencji pokojowej w Poczdamie. Ponadto – co mieli robić ludzie z konspiracji, jeśli po ujawnieniu się i tak byli mordowani przez komunistów? To był los m.in. gen. Augusta E. Fieldorfa „Nila” czy por. Jana Rodowicza „Anody”.

Z kolei według byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego mamy dzisiaj do czynienia z budowaniem „fałszywego kultu żołnierzy wyklętych”. Komorowski mówił: „Historia przyznała

raczej rację tym, którzy stawiali się na żmudną walkę o wolność [...] także poprzez budowanie codziennego życia, odbudowę Polski, kształcenie się, wychowywanie dzieci. Olbrzymia większość Polaków chciała po prostu żyć?

„Chciała po prostu żyć”... Tak, to prawda, powstańcy antykomunistyczni też tego pragnęli, ale im nie pozwolono. Mieli prawo, a nawet obowiązek bronić życia, zdrowia, godności i własności swoich najbliższych. I to właśnie robili. Byli u siebie. Napastnicy zbrodniarze nie mieli prawa do Polski i Polaków, aby wszystko zagarnąć, a wrogów – przede wszystkim potencjalnych – masowo zabijać. Bronisław Komorowski, choćby z racji głębokich powiązań rodzinnych, nie jest dla mnie kimś, kto ma moralne prawo oceny żołnierzy wyklętych.

Pytam o agresję, bo chyba najdalej poszedł poseł Krzysztof Mieszkowski, sprzeciwiając się budowie pomnika żołnierzy wyklętych we Wrocławiu. Stwierdził: „Stanowczo protestuję przeciwko postawieniu we Wrocławiu pomnika tzw. żołnierzom wyklętym. Morderców i bandytów się nie upamiętnia. Pomnik trzeba postawić ich ofiarom. Zamordowanym cywilom, kobietom i dzieciom”.

Do dziś mamy w tzw. przestrzeni publicznej bardzo liczne ślady upamiętnień „morderców i bandytów” – tych z PPR, UB, MO... Prawdziwi zbrodniarze leżą w okazałych sarkofagach na naszych nekropoliach narodowych, a olbrzymiej większości ich ofiar nawet nie odnajdziemy. Polska została tak podzielona po 1944 r., że nie da się tego załagodzić w przewidywanej przyszłości. Całkowity brak dekomunizacji pokazał, że pobłażanie złu doprowadziło do skandalicznej agresji propagandowej, w której wiedza o przeszłości w ogóle się nie liczy.

Nieustannie wraca mit rzekomej kolaboracji Brygady Świętokrzyskiej z Niemcami, rzekomej „katowni” w Kielcach prowadzonej przez BŚ za „zgodą gestapo”.

Owa kolaboracja Brygady to faktycznie mit. Nigdzie jej żołnierze nie wystąpili po stronie niemieckiej. A jej odwrót na Zachód, faktycznie tolerowany przez Niemców, nie był czymś wyjątkowym. Na Zachód uciekało wówczas przed Sowietami 1,5–2 mln ludzi, którzy nie chcieli ponownie żyć pod ich jarzmem. Byli wśród nich również przedstawiciele wspólnot religijnych, które ujawniły się po wejściu Niemców, a teraz czekał

■ je straszliwy los. Kilkusetosobowa Brygada była wśród uchodźców nieistotnym epizodem. Brygada jednak faktycznie kolaborowała, ale... z Amerykanami. To oni, po jej sprawdzeniu, uznali ją za jednostkę sojuszniczą i tylko im pozwolili nosić na mundurach oznaczenia dywizji amerykańskich.

Widział pan marsz narodowców w Hajnówce? Część mieszkańców wioski i mediów była zbulwersowana tym, że oddaje się hołd „Buremu” i jego żołnierzom. Słusznie?

Kilkudziesięcioletnia propaganda robi swoje, utrwala podziały i nakłada fałszywy obraz tamtych wydarzeń. Podstawą powinna być rzetelna faktografia – jak było. Nie mamy jednak z tym do czynienia. W ub.r. byłem tam i miałem wykład m.in. o stosunku podziemia niepodległościowego do mniejszości narodowych i religijnych. Po spotkaniu podchodzili do mnie młodzi ludzie, mieszkańcy tej okolicy. I mówili, że wiedzą od swych rodzin, jak było naprawdę, podkreślając, że „starsi już się nie zmieniają, ale my jesteśmy inni”.

„Bury” stał się takim „czarnym ludem” żołnierzy wykłętych. Bardzo często jest on stawiany jako ikona „zbrodni” wykłętych. W pewnym etapie śledztwa IPN wskazywano, że jednak jego ludzie dopuścili się zbrodni ludobójstwa.

„Bury” nie był zbrodniarzem. Stał się jednak symbolem wszelkiego zła i strona (post)komunistyczna oraz ich sojusznicy nie ustąpią. Dla nich propaganda i ideologia są ważniejsze od prawdy. Jak dotąd nikt nigdzie nie wykazał, że miał takie intencje i wydawał rozkazy zbrodnicze. Mamy zatem do czynienia z postacią: „Łapać złodzieja!”, czyli z ucieczką od własnych zbrodni.

Wiele kontrowersji budzi postać „Ognia”. Kat? Oprawca? Nawrócony ubeek?

„Ogień”, podobnie jak „Bury”, „Łupaszka” i inni żołnierze wykłęci są straszliwie krzywdzeni. Do tego wykorzystuje się (świadomie lub nie, to mniej istotne) tzw. fałszywki ubeckie, jak np. rzekome notatki „Ognia”. On faktycznie prowadził zapisy działalności Zgrupowania „Błyskawica”, którym do śmierci w lutym 1947 r. dowodził. Tego jednak nie mamy, zachowały się natomiast różnego rodzaju „odpisy”, dokonane w UB i dodatkowo mocniej jeszcze kaleczone przez działaczy PPR-PZPR, np. Władysława Machejka. Łatwo

wykazać, że nie są to oryginalne zapisy, dokonane przez „Ognia”. Jednak kogo to interesuje?

O co pana zdaniem tak naprawdę walczyli wykłęci? Jaki był cel i sens ich walki?

Co do tego nie ma wątpliwości, zostawili po sobie pokaźne piśmiennictwo: rozkazy, odezwy, pisma konspiracyjne. Podstawowe cele ujęte są w „Testamencie Polski Walczącej” z 1 lipca 1945 r. Chcieli wolności, niezawisłości, niepodległości. Bez żadnych przymiotników, typu „demokracja socjalistyczna”. Łatwo jest oceniać po kilkudziesięciu latach, w zaciszu domowym, bez zagrożenia. Mieli przed sobą oczywisty dla siebie cel, podobnie jak podczas obu okupacji 1939–1945. A co do sensu: Jaki był sens ujawniania się, następnie podlegania aresztowaniom, torturom, wyrokom. Za co i w imię czego mieli się wyrzec prawa do obrony?

Pomówmy o represjach. Co spotykało żołnierzy wykłętych, którzy zdecydowali się ujawnić po amnestii? Często mówi się o takich postaciach jak „Nil”, ale zaraz lewica dodaje, że były to wyjątki, że najczęściej kończyły się krótkimi karami więzienia.

Bardzo wielu ludzi z podziemia wojennego, po ujawnieniu się przed komunistami, widząc wokół aresztowania i „znikanie” ich kolegów, do podziemia wracało. Już bezpowrotnie... Takie postaci jak gen. „Nil” to nie były wyjątki, komuniści rozdawali razy na lewo i prawo, później, gdy po aresztowaniach, śledztwach i wymuszonych zeznaniach mieli już dość dobre rozpoznanie polskiego podziemia, uderzali bardzo celnie. Niestety.

Czy upaństwowienie „kultu żołnierzy wykłętych” nie zaszkodziło mu? Przez wiele lat był on oddolny, pamięć o wykłętych podnosili przede wszystkim młodzi Polacy, był to element buntu przeciw władzy. Teraz ten dzień pamięci jest utożsamiany z władzą, pozwala przez takie skojarzenia na ataki na wykłętych, a jednocześnie jako „oficjalny” nie jest już tak przyciągający dla młodych.

Bieżąca polityka zawsze szkodzi historii w wymiarze naukowym i edukacyjnym. Jeśli jedna strona jest „za”, to opozycja z założenia jest „przeciw”. Cierpi na tym strona społeczna, w olbrzymiej większości apolityczna. Do tego żołnierze wykłęci stali się obiektem nieprawdopodobnych manipulacji

i zafałszowań. W rezultacie budzi to niechęć odbiorców, którzy czują się w tym gąszczu zagubieni i nie potrafią samodzielnie odróżnić prawdy od fałszu.

Polska jako państwo dobrze honoruje pamięć żołnierzy wykłętych? Jest Panteon Narodowy na „Łączce”, co prawda miał być bardziej okazały...

Nigdy nie da się wszystkich zadowolić. Jednak „panteon” na „Łączce” jest po prostu skandalem, szafki wzorem z Ikei nie przystojują powadze miejsca i uwłaczają pamięci pomordowanych wykłętych.

A polityka historyczna w Polsce? Prezydent Andrzej Duda pojawił się na pogrzebie „Inki”, ale od tego czasu coś słabo słychać o wspieraniu przez państwo inicjatyw historycznych i badań naukowych dotyczących losów Polski w czasie drugiej wojny światowej i walki z dwoma okupantami.

Ocena zawsze powinna być porównawcza. Czy orzeł z czekolady Bronisława Komorowskiego był faktycznie odwołaniem uczuć patriotycznych Polaków? Czy groteskowe, pompatyczne podejście może zastąpić spontaniczność i powagę młodych ludzi, którym po prostu wystarczy nie przeszkadzać, jak np. w sprawie Marszu Niepodległości? Państwo powinno się wycofywać z nadmiernej ingerencji w takie sprawy. Ma obowiązek wspierać badania (wielokierunkowe), popularyzować wiedzę. Musi (dopóki istnieje MEN i kuratoria oświaty – moim zdaniem zbędne) mieć wpływ na treść podręczników i zakres nauczania, ale strona społeczna powinna przejmować inicjatywę. Całe zło wzięło się z braku dekomunizacji politycznej i historycznej. Gdyby ją przeprowadzono, rzecznicy bandytów, morderców i zdrajców mieliby niewiele do powiedzenia. A mamy ich w europarlamencie i parlamencie krajowym, istnieją partie polityczne wywodzące się z rzekomo minionego ustroju i mają się bardzo dobrze. Dzisiaj ich dzieci i wnuki bardzo znacząco wpływają na obecną politykę historyczną, łączą i plugawią pamięć polskich bohaterów. I są całkowicie bezkarni.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Leszek Żebrowski – badacz i autor publikacji o dziejach polskiego podziemia w czasie drugiej wojny światowej i po 1945 r.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Zagłada śląskich pałaców

Sporą część nowego „Czasypisma” – magazynu IPN poświęconego historii Górnego Śląska – zajmują artykuły o architekturze. Między innymi o nowoczesnych osiedlach górniczych budowanych przez Niemców i Polaków. Muszę jednak przyznać, że od świata śląskich robotników bardziej interesuje mnie świat śląskiej szlachty.

Dlatego najciekawszy wydał mi się tekst dwóch znakomitych historyków Grzegorza Bębniaka i Adama Dziuby „Zrujnowane rezydencje górnośląskich magnatów”. Jedną z nich był kompleks pałacowy w Świerkłańcu w pobliżu Tarnowskich Gór. Imponujący, przepiękny pałac, nazywany „Małym Wersalem”, należał do książęcego rodu Henckela von Donnersmarck.

Niestety, w 1945 r. przez Śląsk przetoczył się tajfun. Rozszalały, dziki żywioł druzgoczący wszystko, co napotykał na swej drodze. Mowa oczywiście o Armii Czerwonej. Świerklaniec został zajęty przez bolszewików 23 stycznia.

„Czerwonoarmiści – piszą autorzy – natychmiast zainteresowali się kompleksem pałacowym opuszczonym przez właścicieli i służbę. Za to pełnym przedmiotów, których

przeciętny rosyjski muzyk nie znał nawet ze słyszenia. Co wydawało się nieprzydatne – niszczone. Taki los spotkał m.in. kolekcję starożytnej ceramiki, w tym beczenne wazy z Krety. Zarówno »Mały Wersal«, jak i dawny zamek, po gruntownym obrabowaniu zostały puszczone z dymem. Rzecz jasna, nikt nie ośmielił się gasić pożaru, wokół którego uwijali się pijani żołnierze. Wypalone, niszczące powoli mury stały się miejscem pozyskiwania materiałów budowlanych”.

Cóż za bezmyślna barbaria! Na tym jednak nie koniec. W 1961 r. miejscowy komunistyczny kacyk – Jerzy Ziętek – nakazał rozbiórkę pozostałości beczennego zamku jako „poniemieckiego” i „germańskiego” reliktu. Bezcenny średniowieczny zabytek został wysadzony w powietrze przez górników w czynie społecznym. Bębniak i Dziuba słusznie nazywają to „beprzekładnym aktem urzędowego wandalizmu”.

Podobny los spotkał również inne rezydencje śląskiej szlachty. Czytając o tych komunistycznych dewastacjach, trudno nie zauważyć analogii – bolszewicy dokładnie to samo zrobili z naszymi pałacami na Litwie i Rusi! ©



★★★★★
„CZASYPIŚMO”
NR 1-2/2019
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kulisy „Trylogii”

W czasach PRL nic nie mogło być normalne i ze względów politycznych „Trylogię” Henryka Sienkiewicza ekranizowano od końca. Reżyserem wszystkich części był Jerzy Hoffman, on też dobierał obsadę aktorską, a rolę Azji Tułhajbejowicza powierzył Danielowi Olbrychskiemu. Początki współpracy nie były jednak łatwe, Olbrychski nie potrafił przystosować się do metod pracy Hoffmana i obrażony czasami nie rozmawiał na planie z reżyserem. Hoffman miał się na nim za to zemścić, a miał w tych sprawach znaczne możliwości.

„Wbijaliśmy Daniela na pal – wspominał reżyser. – Musiał siedzieć na wąskim siodelku rowerowym, co na dłuższą metę wcale nie było wygodne. Ponieważ był to okres naszych nieporozumień, nie mogłem sobie odmówić odrobiny sadyzmu. Olbrychski siedzi na siodelku, a ja każę wygasić światła i zarządzam przerwę obiadową. Nikt, z Danielem włącznie, nie pisał nawet słówka”.

Hoffman powierzył tytułową rolę Tadeuszowi Łomnickiemu, który najtrudniejsze sceny grał bez pomocy kaskadera. Po raz pierwszy w życiu nie narzekał na swój niski wzrost (miał na tym punkcie poważny kompleks), gdyż idealnie pasował do roli małego rycerza. Ketlinga zagrał Jan Nowicki, a Zagłobę Mieczysław Pawlikowski. Widzom też bardzo podobały się role kobiece, w postaci Basi Jeziorkowskiej wcieliła

się Magdalena Zawadzka, natomiast Krystynę Drohojowską zagrała Barbara Brylska. Premiera wersji kinowej odbyła się 28 marca 1969 r. i zakończyła spodziewanym sukcesem.

Jednocześnie z filmem kinowym kręcono czarno-biały serial telewizyjny, też w reżyserii Jerzego Hoffmana. W jego obsadzie zaszła jednak jedna poważna zmiana, Ketlinga zagrał Andrzej Łapicki. I to właśnie on miał pozostać w pamięci widzów jako niezwykle elegancki mężczyzna, który odbił Wołodyjowskiemu pannę Drohojowską.

Produkcja filmowa z reguły obfituje w nieprzewidziane sytuacje, a życie bywa najlepszym scenarzystą. Podobnie było podczas realizacji filmu Hoffmana; jedną z najciekawszych anegdot opowiadał sam reżyser:

„»Pana Wołodyjowskiego« kręciliśmy w Bieszczadach. W pobliskiej wsi mieszkał chłop grający na skrzypcach. Daniel też grał na skrzypcach, więc naturalnie od razu obaj się pokumali. Olbrychski chyba nawet mieszkał u tego górala... Pewnego dnia na plan przyjechał autor scenariusza, Jerzy Lutowski, i poszedł do chałupy. Tam już obaj skrzypkowie byli po małej wódce...

– Oto autor Pana Wołodyjowskiego – Daniel przedstawił chłopu Lutowskiego.

Na co chłop padł na kolana i zawołał:

– Jezus Maria, pan Sienkiewicz!.. ©

Altarz Hansa Memlinga przedstawiający
Sąd Ostateczny FOT. WIKIPEDIA



Polski ślad czarnej śmierci



Maciej Rosalak

Epidemia dżumy zwanej czarną śmiercią bynajmniej nie ominęła w XIV w. ziem polskich. Wstrząsające świadectwo dał choćby Janko z Czarnkowa, a potwierdził je Jan Długosz...

Epidemia czarnej śmierci pod koniec lat 40. XIV stulecia dotarła z Azji do Europy i uśmierciła połowę jej ludności. Z opinią, że ominęła ona Polskę, można było się spotkać wystarczająco często, aby na dobre ugruntowała się w naszej świadomości. Spotkałem się nawet z twierdzeniem (w Internecie oczywiście), że – zataczając łuk przez Skandynawię z Europy Zachodniej na wschód – została ona w spokoju ziemie Królestwa Polskiego, a następnie przez Ruś wróciła na Bliski Wschód. Niestety, nie była dla nas aż tak łaskawa.

Jedynym ważkim argumentem przemawiającym za taką tezą jest przytaczane niejednokrotnie stwierdzenie, że Żydzi w okresie rządów Kazimierza Wielkiego chętnie osiedlali się u nas, znajdując schronienie przed pogromami – a jednocześnie przed zarazą – w Europie Zachodniej. O tych pogromach zachowały się na Zachodzie liczne przekazy źródłowe. Papież Klemens VI musiał już w 1348 r. – kiedy wraz z atakiem dżumy rozpoczęły się rzezie, rabunki i wypędzenia obwinianych o tę plagę Żydów – wydać bullę zakazującą pod groźbą interdyktu zabijać ich bez wyroku sądowego, przymuszać do chrztu i rabować ich mienie. A król Kazimierz – który już wcześniej potwierdził korzystne dla Żydów traktaty kaliskie z XIII w. – w 1367 r. otoczył ich ochroną prawną na całym obszarze państwa jako „sługi skarbu”.

Co kierowało polskim królem? Konieczność określenia statusu przybyszów w całym, regulowanym właśnie porządku prawnym państwa? Ochrona ich przed ewentualnymi pogromami również w Polsce? Potrzeba osiedlenia w Królestwie ludzi przydatnych do prac w systemie finansowym, handlu

i rzemiośle? Znalezionej przeciwwagi dla niemieckiego patrycjatu miejskiego? Zapelnienie wyrwy demograficznej spowodowanej dwiema już (lata 1348 i 1360) falami zarazy? Zapewne w grę wchodziły wszystkie te powody.

MÓR I POGROMY

Dwa tygodnie temu opublikowałem w „Do Rzeczy” artykuł o epidemiach wpływających na bieg dziejów, poczynając od czarnej śmierci właśnie. Nasunęło się pytanie: A jak było wtedy w Polsce? Co o sprawie czarnej śmierci mówią polskie źródła? Niestety, jest ich w odniesieniu do omawianego okresu tak mało – zwłaszcza w porównaniu z bogactwem źródeł na Zachodzie – że po prawdzie niewiele wynika np. z zachowanych strzępów kronik wielkopolskich i kroniki krakowskiej. Sięgnąłem więc do przetłumaczonej z łaciny „Kroniki” Jana z Czarnkowa, piszącego o wydarzeniach lat 1370–1384, w których sam mógł uczestniczyć, będąc podkanclerzym koronnym, przeciwnym zresztą rządowi Ludwika Andegaweńskiego.

Janko z Czarnkowa daje przede wszystkim świadectwo faktom natury

politycznej, ale oto w rozdziale dotyczącym lat 1372–1374 czytamy: „W owych dwóch latach, tak samo jak w roku śmierci króla [a więc w roku 1370 – przyp. M.R.], był wielki mór w Polsce; zaś w roku następnym od miesiąca września zaczęła się szerzyć w Polsce jeszcze większa morowa zaraza na ludzi, zwłaszcza na młodzież i kobiety, na męża i dziewice, i trwała przez rok aż do miesiąca września, przez który to przeciąg czasu wiele tysięcy, niestety, ludzi umarło”.

To wszystko, ale wiemy skądinąd, że już 28 maja 1349 r. do pogromów Żydów, posądzanych o wywołanie zarazy, doszło we Wrocławiu. Przed pogromem w 1349 r. w mieście mieszkało 70 rodzin żydowskich, po pogromie zostało ich pięć lub sześć. Trudno jednak odpowiedzialnością za to obarczyć Królestwo Polskie. Oto bowiem poprzedniego roku, 7 kwietnia, król niemiecki i czeski Karol IV Luksemburski przyłączył do nowo utworzonej Korony Królestwa Czeskiego księstwa śląskie wraz z Wrocławiem właśnie. – Nie trzeba było długo czekać i miasto doczekało się pomoru... – można by złośliwie powiedzieć. Z tym że wraz z Czechami było ono i tak od 1335 r. w Świętym Cesarstwie Rzymskim, czyli od momentu, gdy na mocy układu o przeżycie Jan Luksemburczyk objął nad nim władanie po śmierci księcia śląskiego Henryka VI Dobrego.

Na marginesie dodajmy, że – wbrew tym, którzy powątpiewają w poczucie wspólnoty ówczesnych Polaków – Janko z Czarnkowa pisał w rozdziale 10. swej kroniki:

[...] niektórzy książęta szlęscy [...] wolne księstwo szlęskie i swoje dzierżawy, w niczem nikomu poprzednio nie podległe, lecz wolnie przez swoich książąt, bez czyjegokolwiek uznania, posiadane, od tegoż Jana, króla czeskiego, przyjęli jako lenno korony czeskiej, dobrowolnie poddając siebie i swoje [posiadłości], na wstyd i hańbę królestwa polskiego. Takie odszczepieństwo przyniosło tym książętom wieczną hańbę, to też od kiedy są hołdownikami korony czeskiej, żaden z nich na króla polskiego podczas bezkrólewia za to właśnie nie był wybierany, lecz zarówno oni sami, jak ich następcy, za karę ustawiczną, jako poddani państwa cze-



Karta tytułowa dzieła „Śmierci z Mistrzem dwójakie gadania...” (zawierającego „Rozmowę Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”), wydanego nakładem Macieja Scharffenberga w 1542 r.

FOT. WIKIPEDIA



Stiuki z kaplicy Pana Jezusa w kościele parafialnym w Tarłowie

FOT. WIKIPEDIA

skiego, od następstwa na królestwo polskie zupełnie i na zawsze są odsunięci.

A Jan Długosz wyznał w rozdziale „Rok Pański 1467” po pokonaniu Krzyżaków:

[...] szczęśliwym mienię i siebie, i swoich społecznych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość; a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i śląskiej [...]. Z radością zstępowałbym do grobu, słodszy miałbym w nim odpoczynek.

ŚWIADECTWO DŁUGOSZA

Wertowanie „Roczników, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego” Jana Długosza (1415–1480) przyniosło bogatsze rezultaty. Ów kanonik krakowski, dyplomata, wychowawca przyszłych królów, a przede wszystkim „ojciec historiografii polskiej” wprawdzie żył ku naszemu pożytkowi w wieku XV, ale korzystał z licznych dokumentów, listów i relacji obcych, a także istniejących jeszcze polskich, odnoszących się do wieków wcześniejszych. Oczywiście zacząłem od rozdziału

Rok Pański 1348

Mór straszny w Polsce i innych krajach, a przyczyny zarażenia powietrza przez Żydów. Po tej pladze nastąpiło znowu trzęsienie ziemi.

Wielka morowa zaraza rozszerzywszy śmiertelność w całym królestwie Polskiem, nie tylko Polskę, ale i Węgry, Czechy, Danię, Francję, Niemcy i wszystkie niemal kraje chrześcijańskie i barbarzyńskie srode spustoszyła. A gdy niektórzy domyślali się, że takową klęskę zrzędzili żydzi przez zatrucie powietrza jakimś zabójczym jadem, w wielu miejscach mordowano ich, palono, wieszano; niektórzy, bojąc się dostać w ręce chrześcijan, sami siebie, swoje żony, synów, córki i krewnych zabijali; w kilku tylko prowincjach, gdzie z łakomstwa na pieniądze dano się im okupić, ocalili. Do tej klęski morowej przyłączyło się jeszcze straszne ziemi trzęsienie, które wydarzenie w Piątek, w dzień Nawrócenia Ś. Pawła, rozległo się po wszystkich krajach chrześcijańskich i barbarzyńskich, i powyrwowało wiele miast znakomitych; niektóre z nich całkiem zasypane zostały gruzami lub się pozapadały, tak, że ledwo znać było ich szczątki. Począła się zaś rzeczona zaraza morowa w miesiącu Stycznia, za papieżstwa Klemensa VI, w szóstym roku jego rządów, i trwała ciągle przez siedm miesięcy, dwakroć ponawiając

■ *klęskę. Pierwszy raz objawiła się gorączką nieustanną i krwotokiem z ust, a chorzy umierali w ciągu trzech dni. Drugi raz trwała pięć miesięcy, a objawem jej była podobnie nieustająca gorączka, nadto wrzody i dymienice, które tworzyły się na zewnętrznych częściach ciała, osobiście pod pachami i na słabiznach; chorzy umierali w dniach pięciu. Tak zaś były te choroby zaraźliwe, że się nie tylko obcowaniem z zapowietrzonymi, ich tchnieniem, ale spojrzeniem samym udzielały. Bali się więc i chronili rodzice dzieci własnych, a dzieci rodziców, straszeni jedni dla drugich. Zdało się, że zamarła ludzkość w sercach, i nadzieja wszelka upadła. Od wschodu ku zachodowi szerząc się ta plaga, wszyscy świat prawie zapowietrzyła, tak iż ledwo czwarta część ludzi została przy życiu.*

Z tekstu raczej nie wynika, że pogromy ograniczyły się do krajów zachodnich, a morowe powietrze, które „wszystki świat prawie zapowietrzyło”, Polskę oszczędziło. Przeciwnie, Długosz pisze o „całym królestwie Polskiem”. Jeśli nawet przesadza, to fakt dotarcia zarazy do Polski wydaje się bezsporny. Można też mieć wątpliwości co do przedstawionej chronologii wydarzeń: wybuch zarazy – trzęsienie ziemi. W styczniu 1348 r. wystąpiło trzęsienie ziemi z epicentrum w północnych Włoszech, a śmiertelne żniwo epidemii zapanowało na kontynencie potem – nie przedtem.

Z „Kronik...” Długosza koniecznie trzeba przytoczyć kolejny rozdział poświęcony czarnej śmierci:

Rok Pański 1360

Mór straszny w Polsce

Po klęsce Wołoskiej nastąpiła inna, cięższa wprowadzie, ale znośniejsza, bo jej rozumem ludzkim nie można było zapobiedz. Zaraza bowiem gorączkowa, czy to od Boga za liczne grzechy i przestępstwa na ludzi zesłana, czy gwiazd niebieskich biegiem, położeniem, spotkaniem, lub inną jakąś przyczyną tajemnie spowodowana, wszystkie niemal na zachodzie królestwa nawiedzwszy, rozgościła się nareszcie w Polsce, Węgrzech, Czechach, tudzież podległych im i sąsiedzkich ziemiach, i wszystkie miasta, miasteczka i wsie królestwa Polskiego takiej nabawiła klęski, że trwając ciągle przez sześć miesięcy, większą część ludności wszelakiego stanu i płci obojej wytypiła. W samym mieście Krakowie dwadzieścia tysięcy ludzi na tę zarazę wymarło. Niektóre zaś miasteczka, wsie i włości tak srodze tą plagą były dotknięte, że pozamieniały się prawie w pustynie. Nie było komu nawet grzebać umarłych. Była to klęska bezprzykładna; gdy bowiem większa część ludności wyginęła, miasta i wsie z mieszkańców ogołocone stały się wszędzie pustkami. Zaczęła się zaś ta zaraza około dnia Ś. Michała, objawivszy

się przez gwałtowne gorączki, bolaki, wrzody, dymienice, które wielką zrzędziły śmiertelność; a potem z pewnymi przerwami, nie bez wzmacniania się jednak grasując między ludźmi aż do połowy roku następnego, z taką nareszcie w ciągu trzech miesięcy wybuchnęła srogością, że w wielu miejscach ledwo połowa ludzi została przy życiu. Tem zaś różniła się ta klęska od poprzedniej, która przed laty dwunastą kraj nasz nawiedziła, że tamta wiele sprzątnęła ludzi z pospolitego gminu, od tej zaś więcej szlachty i ludzi możnych, dzieci i kobiet wyginęło.

Rozdział ten w zasadniczy sposób uściśla wiadomości zawarte we fragmencie o roku 1348. Przede wszystkim powtórne nadejście pomoru autor potwierdza w czasie: 12 lat po początku zarazy na zachodzie kontynentu i na ziemiach polskich; a także w miejscu: w odniesieniu do epidemii z roku 1360 mówi po prostu o tych krajach, które dziś tworzą Grupę Wyszehradzką. Podaje też zastraszające informacje o liczbie ofiar, chyba jednak znacznie przesadzone – gdyż ponad wszelką wątpliwość stwierdzony rozwój państwa Kazimierza Wielkiego nie byłby tak dynamiczny przy tak istotnym wyludnieniu („ledwo połowa ludzi została przy życiu”).

Stwierdzenie liczniejszych ofiar wśród warstw uprzywilejowanych może jednak zawierać łut prawdy: ci „ludzie z pospolitego gminu”, którzy przeżyli pomór sprzed 12 lat, byli po prostu uodpornieni. I jeszcze jedno: od Janka z Czarnkowa wiemy o zarazie panującej na początku lat 70. Potwierdza to liczne przekazy zachodnie o ciągłych nawrotach czarnej śmierci w XIV w. Z kolei o Długoszu wielu mówi, a tak naprawdę niewielu go czyta. Dziwne, bo to – poza walorami wyjątkowego źródła do historii Polski – zaskakująco ciekawa lektura.

DANSE MACABRE PO POLSKU

W XVIII-wiecznej polskiej wersji starej łacińskiej suplikacji (błagania „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny / Zmiłuj się nad nami...”) dodano m.in. dramatyczny wers, zwykle głęboko poruszający wiernych: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny / Wybaw nas Panie!”. Wymienione na początku „powietrze” to oczywiście zaraza, doświadczająca ludzi na równi z innymi najgorszymi, śmiertelnymi plagami.

Straszliwe doświadczenie czarnej śmierci, zresztą przypominane częstymi nawrotami zarazy, pozostało na długo w kulturze Polski. Motyw tańca śmierci

(danse macabre, Totentanz), często spotykany w średniowiecznej sztuce i literaturze średniowiecza, odrodził się – tak jak przypomniana suplika – właśnie w epoce baroku. Najbardziej znane jego przedstawienia w Polsce znajdujemy w trzech XVII-wiecznych kościołach.

W kościele Bernardynów w Krakowie „Taniec śmierci” znajduje się w kaplicy św. Anny usytuowanej za południowym ramieniem transeptu (nawy poprzecznej) świątyni. Jest to obraz olejny o wymiarach 252 na 210 cm. Z pochodzącymi z różnych stanów społecznych kobietami (od wieśniaczki do królowej) tańczą kościotrupy, tworząc zamknięty krąg upiornego płasu. Nad nimi czterowersz: „Różnych Stanów piękne grono / Gęstą Śmiercią przepleciono / Żyjąc wszystko tańczujemy / A że obok Śmierć nie wiemy”. W 14 owalnych medalionach – dookoła centralnego kręgu – z kościotrupami tańczą mężczyźni. Po kolei: Papież, Cesarz, Król, Kardynał, Biskup, Zakonnicy, Książę, Senator, Szlachcic, Mieszczanin, Chłop, Żołnierz i żebrak, Innowiercy, Błazen i dziecko.

Podobny obraz posiada klasztor w Kalwarii Pałacowskiej koło Przemyśla. Natomiast kaplica Pana Jezusa w kościele parafialnym w Tarłowie (świętokrzyskie) ozdobiona jest stiukami z postaciami makabrycznego korowodu.

W 1542 r. ukazała się drukiem „Rozmowa Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”, będąca polskim przekładem średniowiecznego łacińskiego dzieła „Dialogus magistri Policarpi cum Morte”. Polską wersję drukowaną, zawierającą 916 wersów, uznaje się za najcenniejszy – i najdłuższy – zabytek średniowiecznej poezji świeckiej w języku polskim. Niektórzy przypisują ją nawet Mikołajowi Rejowi. Mistrz, czyli uczony, pyta Śmierć, kim jest i dlaczego pozbawia ludzi życia. Na koniec przytoczę jedną z jej odpowiedzi:

Stworzyciel wszego stworzenia / Pożyczył mi takiej mocy, / Bych morzyła we dnie i w nocy. / Morzę na wschod, na południe, / A umiem to dźiało cudnie; / Od północy do zachodu / Chodzę nie pytając brodu / Toć me nawięcsze wiesiele, / Gdy mam morzyć żywych wiele; / Gdy się jimę z kosą plesać, / Chcę jich tysiąc pokęsać. / Toć jest mojej mocy znamię – / Morzę wszystko ludzkie plemię...

Oto Śmierć ma „największe wesele, gdy ma morzyć żywych wiele...”. W tych strofach pobrzmiwa najwyraźniej echo największego pomoru w dziejach Europy.

Na warszawskim Dworcu Centralnym odsłonięto niedawno tablicę poświęconą inż. Ernestowi Malinowskiemu, budowniczemu jednej z najwyższych położonych linii kolejowych na świecie – peruwiańskiej Kolei Transandyjskiej. Jak powiedział na uroczystości ambasador Peru w Polsce, inżynier ten „przyczynił się do rozwoju gospodarczego Peru w XIX w., umożliwiając komunikację pomiędzy miasteczkami od centralnej części Andów peruwiańskich aż po wybrzeże i stolicę kraju”. Otwarta w 1893 r. linia kolejowa liczy 219 km, przekracza grzbiet Andów na wysokości 4768 m, a na jej trasie trzeba było wykonać aż 62 tunele, z najdłuższym, ponadkilometrowym, wydrążonym przy użyciu dopiero wówczas wynalezionej dynamitu. Zbudowano też wtedy na potrzeby Ferrocarril Central Transandino kilkadziesiąt mostów, w tym wspaniałą wiadukt Verrugas na wysokości 1670 m n.p.m.

Kim był Ernest Malinowski i skąd wziął się w Peru? Urodził się w 1818 r. w Severynowie na Podolu. Był synem Jakuba Malinowskiego, posła na sejm powstańczy w roku 1831, i Anny ze Świejkowskich, córki wojewody podolskiego. Uczył się w Liceum Krzemienieckim, a po upadku powstania listopadowego wyemigrował razem z ojcem do Paryża. Tam kontynuował naukę, a następnie pracował we francuskim kolejnictwie, m.in. w Algierii. Pokładając nadzieję w Wiośnie Ludów, przez kilka lat przebywał w Niemczech, ściśle współpracując z Komitetem Emigracji Polskiej. Po powrocie do Francji, w 1852 r., podpisał kontrakt na posadę inżyniera rządowego w Peru. Tam zajmował się projektowaniem kolei i pracami w górnictwie. W 1859 r. przedłożył władzom peruwiańskim projekt transandyjskiej linii kolejowej, który jednak uznany został za nierealny. Dopiero przybycie do Peru amerykańskiego przedsiębiorcy Henry’ego Meigsa umożliwiło – dzięki jego pieniądзом – urzeczywistnienie rzekomych fantazji Ernesta Malinowskiego i w pierwszy dzień roku 1870 r. przystąpiono do budowy Kolei Transandyjskiej. Pracowało przy niej średnio od 8 do 12 tys. ludzi, głównie Chilijczyków, ale i specjalnie sprowadzonych Chińczyków. Malinowski pamiętał też o swoich rodakach i sprowadził do Peru grupę polskich inżynierów, których poznał w Paryżu.

Był aktywny zawodowo i później, pracując m.in. w Ekwadorze, szybko też stał się ważną postacią w Limie, współ-



FOT. PAVEŁ SUPERNIAK/PAP

Zapomniani



Krzysztof Masłoń

Dlaczego nie chcemy pamiętać o tych Polakach, którzy dokonali wiele w dziedzinie nauki i techniki?

organizując Towarzystwo Sztuk Pięknych i Towarzystwo Geograficzne. Zmarł w stolicy Peru w roku 1899, równo sto lat później w pobliżu najwyższego punktu Kolei Transandyjskiej stanął jego pomnik dłuta Gustawa Zemły.

Szczegółowy biogram Ernesta Malinowskiego znalazłem w trzecim tomie wydanego pięć lat temu pod redakcją naukową prof. Bolesława Orłowskiego „Słownika polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych

i techniki”, noszącego ogólny tytuł: „Polski wkład w przyrodznawstwo i technikę”, a w sumie zawierającego ponad 1,1 tys. sylwetek ludzi, o których z całą pewnością powiedzieć możemy, że wiemy o nich (jeśli w ogóle cokolwiek wiemy) stanowczo za mało.

Dlaczego jesteśmy w tej materii tak niedoinformowani czy, mówiąc wprost, niedouczeni? Bolesław Orłowski, profesor (uwaga!) nauk humanistycznych, historyk techniki, autor ponad 30 książek – naukowych, ale i popularyzatorskich, w tym

m.in. o znamienym tytule „Nie tylko szabłą i piórem” – we wstępie do słownika pisał: „W ciągu trzech ostatnich stuleci, kiedy większość narodów zajmowała się przede wszystkim tworzeniem podstaw materialnego dobrobytu, świadoma część polskiego społeczeństwa skupiała swe wysiłki na zachowaniu tożsamości narodowej i dążeniu do odzyskania niepodległości. [...] Wszelkie dokonania na innych polach znajdowały się poza głównym nurtem powszechnych zainteresowań, toteż łatwiej ulegały zapomnieniu”.

W efekcie nasze encyklopedie i słowniki biograficzne wypełnione są często, powiedzmy, bynajmniej nie pierwszoplanowymi postaciami polityków, wojskowych i literatów, po macoszemu traktują zaś naszych odkrywców, wynalazców, konstruktorów czy przyrodników. A jeśli nawet jakoś zaistnieli oni na dłużej w świadomości społecznej, to zwykle ze względu nie na swoje osiągnięcia, ale na przeróżne dodatkowe okoliczności. Profesor Bolesław Orłowski habilitował się z osiągnięć inżynierskich Wielkiej Emigracji i można by sądzić, że ta już odległa w czasie tematyka jest mu najbliższa. Otóż nic podobnego. W „Słowniku...” na równych prawach funkcjonują postaci niemal całkiem współczesne, rygorystycznie przestrzegany był tylko jeden wymóg – że w publikacji znalazły się wyłącznie osoby nieżyjące.

W MIEJSCE POMNIKÓW

Po czterech latach od ukazania się „Polskiego wkładu w przyrodznawstwo i technikę” opublikowany został tom piąty „Słownika...” będący do niego suplementem, ze 128 biogramami osób wcześniej pominiętych bądź zmarłych w ostatnich latach. Przy okazji prof. Bolesław Orłowski z nieukrywaniem zawodem skonstatował, że – jak dotąd – „Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców...” w szerszym odbiorze pozostał niezauważony. „Mamy wszak powody – pisał – by liczyć na to, że przesłanie »Słownika...« będzie docierać do świadomości polskich elit w miarę upływu czasu”. W pełni podzielał tę nadzieję, zwłaszcza że – cytuję – ta bezcenna „publikacja zbiegła się, przypadkowo, z nastaniem w Polsce Dobrej Zmiany, programowo lansującą politykę historyczną i zwalczającą tzw. psychologię wstydu. Trudno sobie wyobrazić przydatniejszy od »Słownika...« oręż w tego rodzaju kampanii. Zwłaszcza w odniesieniu do Drugiej Rzeczypospolitej, próbującej w wielu dzie-

dzinach science & technology konkurować z najlepszymi w skali światowej, co chcemy obecnie naśladować. Jak i w sprawie nieznanego do niedawna, także u nas, chlubnego polskiego wkładu w gorzkie dla nas zwycięstwo Sprzymierzonych w drugiej wojnie światowej w zakresie doskonalenia przydatnego militarnie sprzętu technicznego. Obie te kwestie zostały dokładnie zaprezentowane w »Słowniku...«”.

Lata okupacji niemieckiej i sowieckiej oraz okres PRL nie sprzyjały rozwojowi polskiej nauki, co wydaje się oczywiste. Odbiły się za to, w różny sposób, na życiorysach osób, o których czytamy w „Słowniku...”. Byli wśród nich prawdziwi bohaterowie, tacy jak inż. Stefan Bryła, pionier – i to w skali światowej – stosowania spawania w budownictwie, aresztowany przez hitlerowców za działalność konspiracyjną i rozstrzelany w grudniu 1942 r. Trafił się też volksdeutsch – specjalista w dzie-

z domu Ginsburg (w niektórych swoich życiorysach J. podaje, że matka nosiła nazwisko Krasucka) lekarzem specjalizującym się w schorzeniach skórnych. Ginzburgowie mieli także starszą córkę imieniem Estera, znaną później pod nazwiskiem Irena Hausman. W 1926 rodzina osiadła w Warszawie, gdzie Rachelę została zapisana do szkoły żeńskiej Gimnazjum i Liceum Tow. Zjednoczenia Nauczycieli, którą ukończyła w 1937, składając egzamin dojrzałości. W następnym roku podjęła studia na wydz. lekarskim UW, przerwane przez wybuch II wojny światowej. Pod koniec IX 1939 obie siostry zostały przez rodziców wysłane do zajętego przez wojska sowieckie Lwowa, gdzie z końcem października podjęły studia. Rodzice, pozostający pod okupacją niemiecką nie przeżyli wojny. Rachelę studiowała wpraw na wydz. lekarskim Uniw. Jana Kazimierza,

Nasze encyklopedie wypełnione są często nie pierwszoplanowymi postaciami, po macoszemu traktują zaś odkrywców i wynalazców

dzinie turbin parowych, wentylatorów i turbosprężarek Wilhelm Borowicz, tyle że po wojnie nowe władze dały wiarę jego tłumaczeniu, że nikomu nie zaszkodził.

Znajdujemy w „Słowniku...” multum postaci prawdziwie pomnikowych, a że często pomników tych nie mają, niech w ich zastępstwie posłużą hasła edycji przygotowanej pod kierownictwem prof. Bolesława Orłowskiego. Natrafiamy też jednak na taki np. biogram – Stefani Jabłońskiej. Hasło, tak jak niemal wszystkie inne tutaj, jest obszerne, zacytuję je jednak w całości. Z wielu względów zasługuje bowiem na szczególną uwagę.

BIOGRAM Z TRUDEM CZYTANY

„JABŁOŃSKA Stefania (7 IX 1920, Mohylew – 8 V 2017, Warszawa), lekarz dermatolog, odkrywca, jeden z najczęściej cytowanych na świecie polskich klinicystów.

Życiorys zawiera pewne nieścisłości, do powstania których przyczyniła się sama J., podając w dokumentach rozbieżne dane. Przyszła na świat jako Rachel (zdrobniale »Szela«) Ginzburg w Mohylewie (choć w niektórych swoich życiorysach jako miejsce urodzenia wskazuje Warszawę). Ojciec, Emil Ginzburg, był z wykształcenia ekonomistą, matka Bella

przekształconego niebawem w Instytut Medyczny, zdając kolejne egzaminy, nieodmiennie z najwyższymi notami. Latem 1941 po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej opuściła Lwów i ewakuowała się na wschód. Studia kontynuowała wpraw w Charkowie, później we Frunze (obecnie: Biszkek, Kirgistan). Dyplom uzyskała jesienią 1942. Do wiosny 1943 pracowała jako lekarz ogólny we Frunze i okolicach. W V 1943 wstąpiła w szeregi Armii Czerwonej. Według własnej relacji służyła jako kapitan-lekarz przy sztabie Frontu Południowo-Zachodniego, 3 Frontu Ukraińskiego oraz oddzielnym 67 batalionie dla zadań specjalnych (prawdopodobnie wojska NKWD). Zdemobilizowana w XI 1945, zamieszkała w Leningradzie. Tam odbyła staż w Zakładzie Patofizjologii Skóry Akademii Nauk Lekarskich ZSRR, ucząc się pod okiem wybitnej dermatolog Olgi Nikołajewnej Podwysockiej. W VI 1946 jako repatriantka J. powróciła do Warszawy. Najprawdopodobniej wówczas zdecydowała się używać nazwiska Jabłońska oraz imienia Stefania, co oficjalnie zostało potwierdzone w 1947. Równocześnie wpraw jako wolontariusz, później jako asystent (1947) i st. asystent (1948–50) podjęła pracę w klinice dermatolo-

gicznej prof. Mariana Grzybowskiego. W 1947–49 pracowała w więziennej służbie zdrowia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego jako lekarz kontraktowy. Miejscem pracy było więzienie mokotowskie. W 1949 udała się na stypendium naukowe do USA. W XI tegoż roku w niewyjaśnionych do końca okolicznościach aresztowano prof. Grzybowskiego, który niebawem zmarł podczas śledztwa. Po kilkumiesięcznym okresie vacatu do IX 1950 klinikę zaczęła kierować J., która nie miała jeszcze wówczas stopnia doktora. Promocję uzyskała na wydz. lekarskim UW dopiero w XII 1950. W 1951 otrzymała veniam legendi na postawie rozprawy »Odczynowość skóry w gruźlicy i sarkoidozie«. W 1952 uzyskała stanowisko docenta UW, a w 1954 przyznano jej profesurę nadzwyczajną, zaś w 1976 profesurę zwyczajną. Na emeryturę przeszła w 1990. Została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Do najważniejszych osiągnięć naukowych J. należy zaliczyć wykrycie i opis onkogennych wirusów ludzkiego brodawczaka wraz ze wskazaniem, że dysplazja Lewandowsky'ego-Lutza (Epidermodysplasia verruciformis), czyli rzadka, genetycznie uwarunkowana choroba skóry, która w konsekwencji prowadzi do rozwoju nowotworów, może rozwijać się jedynie w warunkach zakażenia HPV. Był to pierwszy pełny model inicjacji i rozwoju nowotworów skóry na tle wirusowym. W 1978 J. i Gerard Orth w Instytucie Pasteura odkryli wirusa HPV-5. Osobnym zagadnieniem było poszukiwanie kolagenoz, których analiza pozwoliła na scharakteryzowanie podtypów twardziny, jak również wskazanie istnienia kilku schorzeń rzekomotwardzinowych. Jako pierwsza udowodniła, że etiologię łuszczycy należy łączyć z czynnikami autoimmunologicznymi. W pracach zespołowych przez wiele lat zajmowała się diagnostyką chorób pęcherzowych. W ich trakcie udało się wyodrębnić m.in. nowe odmiany pęcherzycy IgA.

J. była autorem lub współautorem szeregu monografii oraz prac o charakterze podręcznikowym, wydawanych zarówno w Polsce, jak i za granicą. Jej nazwisko figuruje w sumie w ponad 800 pracach oryginalnych, nie licząc doniesień i streszczeń zjazdowych. Jest jednym z najczęściej cytowanych polskich lekarzy w literaturze światowej. Była promotorem 69 rozpraw doktorskich, opiekunem w 24

przewodach habilitacyjnych, a z jej szkoły wyszło w sumie 15 profesorów.

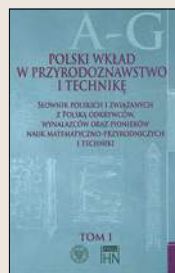
Członek PAN. W 1962–82 oraz 1987–95 przewodniczyła Polskiemu Tow. Dermatologicznemu. Była członkiem stałym i honorowym blisko 50 zagranicznych towarzystw dermatologicznych, w tym wszystkich najbardziej prestiżowych. Laureatka wielu nagród, odznaczona m.in. medalem Roberta Kocha (1985) i Złotym Medalem Marchioniniego (1992).

Biogram sporządzili Michał Chlipała i Ryszard Witold Gryglewski, korzystając m.in. – co zostało ujęte w skrócie bibliograficznym – z „Zagadki śmierci profesora Mariana Grzybowskiego” Marka Wrońskiego z 2004 r. oraz z akt podręcznych dotyczących zamordowania prof. Mariana Grzybowskiego – IPN sygn. BU 2188/641 oraz IPN BU 2188/643 (w tym zawarta w nich kopia akt osobowych MBP dot. Stefani Jabłońskiej).

NA ZIEMI DZIEWICZEJ

Pamiętam, że gdy książka Wrońskiego została wydana, w prasie pisano o całej sprawie, łącząc karierę Stefani Jabłońskiej ze śmiercią prof. Grzybowskiego, m.in. znany z naszych łamów Tomasz Stańczyk przeprowadził wywiad z autorem dla „Rzeczpospolitej”. Nie brakowało głosów oburzenia, i to z obu stron, broniących sławnej lekarki i ją atakujących. Osobiście znana była mi ta, w sumie okropna, historia od dawna. Aresztowanie, a następnie prawdopodobnie zamordowanie prof. Grzybowskiego związane było, jak mówiono w Warszawie, ze sprawą Stanisława Tatara. A w toku gigantycznej pracy, którą przy pisaniu swej książki wykonał Marek Wroński, nie potwierdzone zostały oskarżenia wysuwane wobec prof. Jabłońskiej, której dorobku naukowego, skądinąd, niepodobna zakwestionować.

Poświęcam tej ostatniej sprawie tyle uwagi, ponieważ obrazuje ona skalę problemów, z jakimi musieli się zmierzyć autorzy haseł słownikowych. W niektórych przypadkach mogła wystarczyć odpowiednia adnotacja w końcu tekstu, np. w biogramie Wiesława Czyży, fizyka, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, w czasie wojny żołnierza AK z oddziału „Zapory”, który – cytuję – „pod naci-



**POD REDAKCJĄ
NAUKOWĄ PROF.
BOLESŁAWA
ORŁOWSKIEGO**
„SŁOWNIK
POLSKICH
I ZWIĄZANYCH
Z POLSKĄ
ODKRYWCÓW,
WYNAŁAZCÓW
ORAZ PIONIERÓW
NAUK
MATEMATYCZNO-
-PRZYRODNICZYCH
I TECHNIKI”
PAN 2016

skiem Służby Bezpieczeństwa zgodził się w 1961 uczestniczyć w wywiadzie naukowym jako TW »Jacek«, z czego wycofał się w 1963 (kiedy uznał, że zakres oczekiwanych od niego informacji przekracza granice tego, do czego czuł się zobowiązany jako obywatel PRL). Próbowano jednak skłonić go do dalszej współpracy aż do 1972, kiedy nastąpiła stanowcza odmowa.

Powstały pod redakcją naukową Bolesława Orłowskiego „Słownik...” poprzez prezentację zgromadzonych faktów odkrywa w gruncie rzeczy przed nami ziemię dziewiczą. Tak naprawdę o przedstawicielach np. nauk przyrodniczych wiemy to tylko, że z Polski pochodziła Maria Curie-Skłodowska, no i naturalnie Mikołaj Kopernik. Jak na ironię do pierwszej pretensje

wnoszą Francuzi, a do drugiego Niemcy. Wykształcony (!) Polak słyszał jeszcze zapewne „o polskich zesłańcach, badaczach Syberii i może o współtwórcach matematycznej szkoły lwowskiej. Jest przekonany, że w rozwoju techniki praktycznie nie uczestniczyliśmy – poza Ignacym Łukasiewiczem, który wynalazł lampę naftową. Czasem sporadycznie natyka się na wzmianki o Kazimierzu Funku, Rudolfie Modrzejewskim, Mieczysławie Wolfkem, Rudolfie Weiglu czy Ludwiku Hirszfeldzie, jest nimi zaskoczony, nie bardzo im do wierza, tym też łatwiej o nich zapomina”.

Ponieważ opowieść o tym niezwykłym dziele, jakim jest „Polski wkład w przyrodznawstwo i technikę”, rozpocząłem od południowoamerykańskich śladów Ernesta Malinowskiego, na koniec proponuję raz jeszcze wrócić na ten sam kontynent, korzystając z jeszcze jednego słownikowego biogramu. Czesław Bieżanko pochodził z Kielc, był synem powstańca z 1863 r., a swoje życie zawodowe związał z Brazylią. Był wybitnym entomologiem, spopularyzował również uprawę soi w stanie Rio Grande do Sul. Dzisiaj Brazylia jest eksporterem soi, a od siedmiu lat w Pelotas, w tym samym stanie, stoi pomnik tego zmarłego w 1986 r. naukowca, który dyplom inżyniera rolnictwa otrzymał na Uniwersytecie Poznańskim. Dlaczego ojczyzna nie chce pamiętać o swoich synach? I to tych, z których powinna być dumna.



Z Hansem-Georgem Maassenem,
byłym szefem Federalnego
Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV),
politykiem niemieckiego CDU
rozmawia Cezary Gmyz

Era Merkel to krok wstecz

CEZARY GMYZ: Jak ocenia pan erę Merkel?

HANS-GEORGE MAASSEN: Nie jest dobrze, kiedy ktoś zbyt długo stoi na czele rządu...

Adenauer i Kohl rządili dłużej.

Co nie oznacza, że to jest dobre. Uważam, że dobrze, jeśli następują zmiany. Nikt nie jest niezastąpiony. Tak może być w czasie wojny czy sytuacji kryzysowych, ale to zupełnie co innego. Adenauer w 1933 r. powiedział ważne zdanie. Było to po tym, jak musiał udać się na wygnanie. Stwierdził, że nie jest dla niego istotne, co o nim sądzą współcześni, ale co będą sądzić potomni. Jestem przekonany, że potomni, oceniając erę Merkel, dostrzegą, iż w wielu obszarach polityki dokonaliśmy kroku wstecz, a w dziedzinie gospodarki ponieśliśmy klęskę. Ci, którzy dziś fetują erę Merkel, będą w przyszłości przez historyków niezrozumiani.

Gospodarcza klęska? Chyba nigdy Niemcom nie powiodło się tak dobrze – znikome bezrobocie, nadwyżka budżetowa, utrzymujący się wzrost gospodarczy.

Owszem, zauważam politykę pełnego zatrudnienia i sukcesy naszego przemysłu. Nie możemy jednak nie dostrzegać, że podwaliny pod to dała Agenda 2010 Gerharda Schrödera. To bardzo ważny czynnik.

Chwali pan politykę socjalistycznego kanclerza?
Zazwyczaj nie chwale socjalistów. Nie mogę jednak nie dostrzegać, że ówczesny

kanclerz Schröder czy ówczesny minister spraw wewnętrznych Otto Schilly wykonali dobrą robotę. Niestety, w ciągu ostatnich 15 lat staliśmy w miejscu. Życzyłbym sobie, żebyśmy w przemyśle czy w innych dziedzinach gospodarki byli mocniejsi. Zarówno jeśli chodzi o branżę IT, platformy internetowe, jak i sztuczną inteligencję lub biotechnologię – to dziś są najbardziej zyskowne dziedziny gospodarki XXI w., a nie przemysł samochodowy czy budowa maszyn, co do tej pory dawało nam duże dochody. Obawiam się tego, żebyśmy nie poruszali się dalej w dotychczasowym kierunku.

Można to widzieć jako coś pozytywnego lub negatywnego, ale Niemcy pozostają największą europejską potęgą gospodarczą, co oznacza wpływ na cały kontynent. Jeśli jakieś inne państwo europejskie prowadzi fatalną politykę gospodarczą, to nikogo to nie obchodzi. Jeśli jednak fatalną politykę gospodarczą prowadzą Niemcy, to ma to olbrzymie konsekwencje dla innych krajów. To szkodzi wszystkim w Unii Europejskiej.

Jak wygląda wolność słowa w Niemczech?

Jestem bardzo krytyczny w tej kwestii i nie jestem w tym odosobniony, choć może mój głos jest trochę bardziej słyszalny. Od 60 do 70 proc. respondentów w badaniach opinii publicznej wyraża pogląd, że wolność opinii w Niemczech jest ograniczona. I nie są to jacyś wariaci, tylko ludzie głęboko przekonani, że tak wygląda rzeczywistość w Niemczech.





Hans Georg Maassen (na zdjęciu z Angelą Merkel) jest jednym z liderów nieformalnego konserwatywnego skrzydła niemieckiej chadecji znanej jako Unia Wartości (Werte Union). W latach 2012–2018 był szefem Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji, który jest odpowiednikiem polskiej ABW. W ramach swoich obowiązków był odpowiedzialny m.in. za kontrwywiad i zwalczanie terroryzmu oraz ekstremizmów zarówno o podłożu prawicowym, lewicowym, jak i religijnym. Po zabójstwie młodego Niemca

przez imigranta zakwestionował fakt zamieszek na tle rasowym w Chemnitz. Podważył prawdziwość filmu, który miał owe zamieszki przedstawiać. Z tego powodu stał się ofiarą nagonki lewicowych partii, w tym koalicyjnego SPD, a także ekstremistów lewackich. W rezultacie został zdymisjonowany. Podczas pożegnalnego wystąpienia na forum tzw. Klubu Berneńskiego w Warszawie podtrzymał swoje stanowisko oraz skrytykował m.in. politykę migracyjną rządu federalnego. Z funkcji doradcy ministra

spraw wewnętrznych został przeniesiony w stan spoczynku. Już po jego ustąpieniu okazało się, że film mający przedstawiać polowanie na cudzoziemców w Chemnitz był fałszywką. Maassena jednak nie przywrócono na stanowisko. Obecnie zaangażował się we wspieranie Unii Wartości i podróżuje po Niemczech. Jego publiczne wystąpienia gromadzą tłumy. Jest jednak krytykowany w ramach CDU i pojawiły się nawet postulaty usunięcia go z partii.

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

■ Jeśli chodzi o tzw. media publiczne, to odnoszę wrażenie, że tam pluralizm opinii jest wyjątkowo ograniczony. Pewne poglądy w ogóle nie są prezentowane, inne są zaś nadreprezentowane.

Jakie poglądy są ograniczane?

Na przykład te krytyczne wobec polityki imigracyjnej. Są dość powszechne w niemieckim społeczeństwie, ale rzadko znajdują odbicie w mediach publicznych. Takie kwestie jak przestępczość wśród ludzi ubiegających się o azyl w Niemczech prawie w ogóle nie są poruszane. Odnoszę wrażenie, że są to tematy przez niemieckich dziennikarzy nie lubiane, a jeśli już przedstawiane, to najczęściej w sposób zmanipulowany.

Jaka jest zatem prawda o przestępczości imigrantów w Niemczech?

Statystyki są co prawda, przynajmniej w części, dostępne, ale nie są szczególnie nagłaśniane, a dyskusji na ten temat właściwie w ogóle nie ma. Przy tym nie chodzi o to, by piętnować jakichś Syryjczyków, Amerykanów czy Japończyków, którzy dopuszczają się ciężkich przestępstw. Interesuje mnie natomiast, co robią politycy, by takim przestępstwom zapobiegać. A te pozycje w policyjnych statystykach kryminalnych są alarmujące. 43 proc. podejrzanych o dokonanie morderstw to cudzoziemcy. Ponad 30 proc. podejrzanych o przestępstwa na tle seksualnym to też cudzoziemcy. Nadreprezentacja sprawców pochodzenia cudzoziemskiego w przypadku tych ciężkich przestępstw jest przecież widoczna gołym okiem. Ale otwarcie o tym dyskutować nie można, bo świat polityki nie chce się konfrontować z tymi kłopotliwymi liczbami.

Rozmawiamy w chwili, gdy prezydent Turcji otwiera właśnie nowy rozdział kryzysu uchodźczego, przepuszczając strumień uchodźców w stronę Grecji. Czy polityka rozpoczęta przez Angelę Merkel w 2015 r. powinna być kontynuowana?

W żadnym wypadku. Tego nie można powtarzać. Prezydent Erdoğan wywiera presję na Unię Europejską środkami, które są bezprawne. Przy czym w tym wypadku wcale nie chodzi o żadnych uchodźców, którzy uciekają w związku z sytuacją w syryjskiej prowincji Idlib. Chodzi o osoby, które w Turcji już wcześniej znalazły schronienie i przebywają tam od dawna. To one są przepędzane w stronę Grecji po to, by wyrzucić nacisk na Unię. Z mojej perspektywy to akt

wrogi wobec UE i Turcja powinna się spotkać ze stanowczą odpowiedzią ze strony Unii.

Stał pan na czele niemieckiego kontrwywiadu. Jak pan ocenia rosyjskie działania z tej perspektywy. Mówi się, że rosyjska aktywność wywiadowcza jest większa niż w czasie zimnej wojny.

Tak zwane środki aktywne, których używa dziś Rosja, są olbrzymie i nie ograniczają się do klasycznej działalności szpiegowskiej. Rosjanie na przykład na wszelkie sposoby usiłują uzyskać wpływ na opinię publiczną. Ale nie tylko. Wsparcie rosyjskie uzyskują wszelkiego rodzaju ugrupowania ekstremistyczne czy separatystyczne. Wszystko to służy destabilizacji państw europejskich. Tak było, kiedy byłem szefem Urzędu Ochrony Konstytucji, i to się nie zmieniło. Nie możemy nie dostrzegać, że Rosja wszelkimi środkami, nie tylko wywiadowczymi, usiłuje destabilizować Europę. I musimy temu przeciwdziałać.

My w Polsce jednak odnosimy wrażenie, że Niemcy z Rosją nie tylko koegzystują, lecz także współpracują, i to wystawiając na szwank europejską solidarność. Że wspomnę tylko Nord Stream.

Nie postrzegam tak tego. Nasze obecne stosunki z Rosją wcale nie są dobre, wręcz przeciwnie – są napięte. Oczywiście związane jest to przede wszystkim z sytuacją na Ukrainie, ale nie tylko. Chodzi również o inną aktywność rosyjską są granicą. I są to rzeczy zupełnie nieakceptowalne. Ponadto w Niemczech mają silne wpływy środowiska, które co prawda nie uważają się za przyjaciół Rosji, ale są przekonane, że stosunki z tym państwem powinny polegać na odprężeniu. To ma oczywiście korzenie historyczne – Niemcy ponosiły zawsze olbrzymie straty, mając Rosję za wroga, a powodziło nam się dobrze, kiedy utrzymywaliśmy z nią dobre stosunki. Dlatego w Niemczech istnieje przekonanie, że musimy mieć co najmniej poprawne stosunki z Rosją.

Nasze doświadczenie historyczne jest inne. Zawsze gdy Rosja i Niemcy miały dobre stosunki, dla Polski kończyło się to tragicznie – począwszy od rozbiorów, układu w Rapallo, na pakcie Ribbentrop-Mołotow skończywszy.

Dobre jest znać historię. Ale dobrze również odnosić to do dzisiejszych realiów. Niemcy dziś z Rosją wcale nie są zaprzyjaźnione. Dzisiaj to Polska jest zaprzyjaźniona z Niemcami i poprzez Unię Europejską w pewnym sensie oba kraje są

zjednoczone. Nie ma w Niemczech nikogo, a już na pewno nie w rządzie federalnym, kto chciałby budować stosunki z Federacją Rosyjską kosztem Polski. Chodzi nam jedynie o to, by nie ponosić strat ze względu na napięte stosunki z Rosją. Te stosunki, które nas z nią łączą, mają przede wszystkim wymiar gospodarczy.

Mówi pan o dobrych stosunkach polsko-niemieckich. Jednak od pięciu lat polski rząd jest celem nieustannej krytyki w Niemczech. Nie da się ukryć, że również Polska bywa krytyczna wobec Niemiec.

Owszem, polski rząd bywa krytyczny wobec niemieckiej polityki i ma do tego prawo.

Ma pan na myśli niemiecką politykę migracyjną?

Tak. Przy czym Polska nie jest w tym osamotniona. I naprawdę napawa mnie troską, że m.in. w tej kwestii Niemcy sami się izolowali na europejskiej scenie politycznej. Spośród wszystkich naszych sąsiadów jedynie Luksemburg wspiera naszą politykę migracyjną. Ani Polska, ani Czechy, ani Austria czy Dania nie wspierają naszej polityki w tym względzie. I to źle, kiedy Niemcy są izolowani. Proszę jednak zauważyć, że w Niemczech krytykuje się nie tylko Polskę, lecz także inne kraje – by wymienić tylko Węgry, Austrię czy Szwajcarię. Niestety, w minionych latach udało nam się, a mówię to ze smutkiem, pogorszyć stosunki ze wszystkimi naszymi europejskimi sąsiadami.

Kto jest za to odpowiedzialny?

To trochę tak jak z tym kierowcą, który jedzie autostradą pod prąd. Jeśli jeden samochód porusza się w kierunku przeciwnym niż dziewięć pozostałych, to raczej mało prawdopodobne jest to, że tych dziewięć porusza się pod prąd. Niestety, to raczej my znajdujemy się nie na tym pasie, na którym powinniśmy. Niemcy powinny się bardziej wsłuchiwać w głos swoich europejskich partnerów i przemyśleć własną politykę. W naszym najgłębszym niemieckim interesie leży wsłuchiwanie się w to, co mają do powiedzenia również inne kraje europejskie. Powtarzam – dobre stosunki z innymi krajami europejskimi to kwestia niemieckiego interesu. I nie chodzi wyłącznie o politykę imigracyjną czy klimatyczną. Wszyscy w Europie powinniśmy poruszać się w jednym kierunku, a nie w różnych. Niestety, Niemcy samotnie

dzierżą jeden koniec liny, a wszyscy pozostali drugi.

Odnoszę jednak wrażenie, że niemieckie społeczeństwo nie do końca to rozumie. Stare partie są w głębokim kryzysie, tymczasem niemieccy wyborcy zwracają się ku Zielonym, którzy chcą prowadzić jeszcze bardziej radykalną politykę imigracyjną i klimatyczną.

Wiele osób ze świata mediów i polityki nie do końca ma świadomość kryzysu, w jakim się znaleźliśmy. Nie mogę wykluczyć, że kiedy zjazd CDU będzie wybierał swoje władze i kandydata na kanclerza, delegaci zagłosują za tym, by było, jak już było. To najprawdopodobniej tylko zaostreży kryzys. A chadecja w końcu musi się zmienić, i to zmienić radykalnie. Jeśli nie wydarzy się to teraz, to może w końcu roku lub w połowie przyszłego. I będą to zmiany wymuszone okolicznościami takimi jak sytuacja gospodarcza, kwestia wspólnej waluty czy polityka zagraniczna. I to właśnie te okoliczności zmieniają CDU.

Niemiecka chadecja dziś nie jest już partią konserwatywną. Trudno obecnie dostrzec różnice między chadekami a Zielonymi. Konserwatyzm w Niemczech wydaje się w odwrocie.

Niestety, podzielam pański pogląd, jeśli chodzi o CDU. Faktycznie przesunęła się na lewo, zbliżając się do Zielonych, a wiele rozwiązań, które dziś chadecja uważa za swoje, zostało skopiowanych z programu SPD. Co, nawiasem mówiąc, bardzo socjalistów osłabiło. Tradycyjne wartości chadecji zostały zagubione i dziś są otwarcie głoszone jedynie przez członków chadecji skupionych wokół tzw. Unii Wartości (Werte Union). Mimo tego nie uważam, że konserwatyści – choć wolę mówić raczej o realistach – są gatunkiem wymarłym.

Wielu wyborców pokłada w panu nadzieję, a na pańskim profilu na Twitterze wielu wzywa, by ubiegał się pan o przywództwo w partii chadeckiej i fotel kanclerza. Podejmie pan to wyzwanie?

Nie będę kandydował. Niemcy nie są jeszcze gotowe na tak radykalny zwrot. Najpierw w Niemczech musi się dokonać przemiana w kierunku politycznego realizmu i rozsądku. Być może wtedy znajdzie się dla mnie miejsce w niemieckiej polityce.

Kogo zatem będą wspierać Unia Wartości i Hans-Georg Massen podczas najbliższego zjazdu partyjnego?

Żaden z kandydatów nie jest kandydatem marzeń. Ale nie o to w tej chwili

chodzi. Chodzi o to, żeby na czele chadecji stanął polityk, któremu można zaufać. Polityk, który dokona zmiany i odejdzie od programu, „żeby było, jak już było”. Takim politykiem wydaje się Friedrich Mertz.

Jako szef Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji ściśle pan współpracował również z polskimi służbami specjalnymi. Przede wszystkim z ABW. Jak pan je ocenia?

Z moim odpowiednikiem, szefem ABW Piotrem Pogonowskim, mieliśmy bardzo dobrą współpracę. Regularnie spotykaliśmy się albo w Berlinie, albo w Warszawie. Chętnie przyjeżdżałem do Warszawy. Polscy koledzy sprawiali bardzo dobre wrażenie i wykazywali się najwyższym profesjonalizmem. I to nie było tak, że tylko polscy koledzy się od nas uczyli. Owszem, pewne rzeczy u nas podglądali, ale również my u nich podejrzeliśmy parę rozwiązań. Podsumowując – to była wyśmienita współpraca.

W Polsce coraz bardziej aktywne są służby chińskie. Podobnie jak w Niemczech...

Aktywność chińska i rosyjska różni się od siebie. Rosjanie w pierwszym rzędzie skupiają się na interesach politycznych. Chiny większy nacisk kładą na interesy gospodarcze. Aktywność chińska skupia się na pozyskiwaniu informacji przydatnych przy wspieraniu własnego przemysłu. Oba te państwa w Europie wykazują się bardzo dużą aktywnością służb specjalnych, ale również polityczną.

Jeśli chodzi o Chiny, to powinniśmy zerwać z pokutującym jeszcze gdzieś poglądem, że to państwo rozwijające się. Chińczycy w wielu obszarach są bardziej zaawansowani od nas, np. jeśli chodzi o technologię 5G. I państwo chińskie poprzez firmy takie jak Huawei ma olbrzymi wpływ na tę technologię. Dlatego my w Europie mamy poważne powody do zmartwienia, bo niebawem wszystko będzie ze sobą łączone za pomocą 5G. A Chiny to nie jest zwykłe państwo. To komunistyczny i imperialny system. Utrata kontroli nad 5G spowoduje, że będziemy wystawieni na polityczne naciski. Nie bez znaczenia jest to, że jeśli Huawei uzyska wpływ na nasze 5G, to przy kolejnych generacjach 6G czy 7G nie będzie już żadnego europejskiego przedsiębiorcy, który będzie w stanie nadrobić te zaległości. To nas kompletnie uzależni. Dlatego tak ważne jest to, by kontrakty

na 5G zdobywały firmy europejskie. Nawet jeśli by to miało potrwać trochę dłużej czy kosztować parę euro więcej. W interesie naszego kontrwywiadu, a co za tym idzie – w interesie naszych państw, leży to, by nie oddawać tego obszaru Chinom.

Tę drogę wybrały Stany Zjednoczone. Jednak obecnie stosunki transatlantyckie są w kryzysie, a Donald Trump jest najbardziej nienawidzonym politykiem w Niemczech.

Jestem głęboko przekonany, że Stany Zjednoczone dla nas, Europejczyków, dla nas, Niemców, są najważniejszym partnerem i takim powinny pozostać. Niezależnie od tego, kto w danej chwili jest prezydentem USA, my mamy interes w tym, by te stosunki były pielęgnowane na najwyższym możliwym poziomie.

Powinno być dla nas obojętne, kto zasiada w Białym Domu. To suwerenna decyzja narodu amerykańskiego i nie powinniśmy tego krytykować. Możemy za nim nie przepadać, bo nie zawsze podejmuje decyzje, które są dla nas najlepsze. Trudno się jednak temu dziwić, bo nie został wybrany przez nas, ale przez Amerykanów, i podejmuje decyzje, które uważa za najlepsze dla nich. I musimy z tym żyć. Musimy patrzeć na prezydenta USA nie jak na prywatną osobę – Donalda Trumpa, ale jak na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki i narodu amerykańskiego. W interesie własnego bezpieczeństwa oraz stosunków bilateralnych powinniśmy więc zabiegać o jak najbardziej przyjazne stosunki.

Trump jednak w Niemczech jest zwalczany, a środowiska lewicowych ekstremistów darzą go głęboką nienawiścią. Przy okazji – których ekstremistów uważa pan za bardziej niebezpiecznych: prawicowych czy lewicowych?

To pytanie z gatunku tych, co jest gorsze: dżuma czy cholera. Oba ekstremizmy są niebezpieczne i oba powinny być zwalczane z równą stanowczością. Jako szef Urzędu Ochrony Konstytucji z równą stanowczością zwalczałem zarówno neonazistowskie NSU, jak i lewackie bojówki. Niestety, jeśli chodzi o lewicowych ekstremistów, to niemieckie partie lewicowe są wobec nich niebywale tolerancyjne. Nie odzęgują się wobec lewicowych ekstremistów nawet od tych, którzy posuwają się do używania przemocy, by wspomnieć tylko Antifę.



Gabriel Michalik

Prezydent Rosji zapewnił sobie możliwość sprawowania władzy do roku 2036

Spektakl był cikiwy w najwyższym stopniu. We wtorek, 10 marca, nazajutrz po katastrofalnym spadku kursu rubla i cen ropy naftowej naród to zgrzytał zębami na myśl o czekającej go drożyznie, to miotał przekleństwa w stronę Kremla, to znów pograżał się w przedsmaku głodnej apatii, a Duma, niższa izba rosyjskiego parlamentu, jak to Duma, debatowała nad poprawkami do konstytucji, zgłoszonymi już dość dawno przez prezydenta. Nastroje panowały minorowe.

W pewnym momencie (potem powie się: deus ex machina) na trybunie znalazła się deputowana Walentyna Tierieszkowa, skąd uroczystym tonem zaapelowała do parlamentarzystów o takie stanowienie prawa, by sterów kraju nie musiał porzucać Władimir Putin, do czego niechybnie doszłoby w 2024 r., gdyby nie dopisać do konstytucji odpowiedniego artykułu. W roku tym bowiem dobiega końca druga już sześciolatnia kadencja Putina (w istocie kadencja czwarta bądź nawet piąta, jeśli przyjąć, że w okresie prezydentury Dmitrija Miedwiediewa Putin, będący formalnie premierem, pozostawał nadal personą numer jeden w państwie), a konstytucja stanowi, że kto był już dwie kadencje prezydentem, o trzecią, bezpośrednią po zakończeniu drugiej, ubiegać się nie może.

Przed kilkoma miesiącami, w trakcie wystąpienia w Dumie, Putin oznajmił, że aprobuje zasadę maksimum dwóch kadencji. Uczynił wówczas jednak w swych rozważaniach furtkę, zaznaczając niby mimochodem, że choć zasadę szanuje, to nie uważa jej za szczególnie istotną. Wyraził to zresztą w większym stopniu grymasem twarzy niż bardzo lakonicznym słowem (był to grymas rozdrażnienia). I tak przygotował grunt do wystąpienia Tierieszkowej.

– On nie jest z tych, którzy sami będą zabiegać o własne sprawy! To nasz obowiązek! – podsumowała swój wywód emerytowana kosmonautka i po

gmachu na Ochotnym Riadzie rozniósł się drażniący swąd bezinteresownej szlachetności.

WSZYSTKO LEGE ARTIS

Majstersztykiem z zakresu propagandy było wybranie sędziwej kosmonautki na prorokinię nowiny. Dwa dni wcześniej świętowano głęboko zakorzeniony w sowieckiej tradycji Dzień Kobiet (takich właśnie kobiet – traktorzystek, kosmonautek, żołnerek). 83-lletnia generał lotnictwa uosabia pamięć o potężde rekonstruowanego obecnie imperium, odznaczającego się wszak ambicjami dosłownie nieziemskimi. Kto zwracając oczy wyobraźni na zdobyty przez ludzi sowieckich kosmos, ośmieli się myśleć o sprawach tak przyziemnych jak rosnące ceny coraz mniej jadalnego sera czy

upadek służby zdrowia, ten czerwem jest lub mięczakiem, niegodnym miana Rosjanina!

Po wystąpieniu Tierieszkowej stanęło na tym, że choć to Duma musi rozstrzygnąć problem, jednak uprzejmość nakazuje zapytać zainteresowanego, czy gotów jest poświęcić państwowej niwie kolejne lata życia. Obrady przerwano i posłano po prezydenta.

Kilka godzin później „zaskoczony” przebiegiem zdarzeń Putin dziękował Tierieszkowej (nie omieszkął też złożyć starszej pani nieco spóźnionych życzeń urodzinowych), ale propozycję odrzucił. – Koledzy! Nie uchwalajcie poprawek na najbliższe lata. Konstytucja ma przetrwać dziesięciolecie. To prawo dla naszych wnuków! – wyjaśnił, sprzeciwiając się likwidacji zasady dwóch nieprzerwanych kadencji.



FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

Już się wydawało, że przyjdzie okryć Dumę kirem, gdy twarz prezydenta rozpromieniła się (po ostatnich sesjach odmładzających Putin coraz bardziej przypomina jeśli nie słońce, to przynajmniej księżyc) i z trybuny padła zgoda na „wyzerowanie” licznika własnej prezydentury, a zatem na to, by dwie sześćdziesiątne kadencje liczyły się Putinowi od roku 2024, o ile – tu akcent – takie rozwiązanie zaakceptuje naród w zaplanowanym na 22 kwietnia referendum konstytucyjnym, no i, last but not least, o ile sprzeciwu nie zgłosi Sąd Konstytucyjny.

Przed sądem tym, poddanym – jak wszystkie sądy w Rosji – ręcznemu sterowaniu z Kremla, stanie problem z gatunku odwiecznych paradoksów: nie będzie oto sąd oceniał zgodności aktu niższego rzędu z konstytucją, ale zgodność z konstytucją samej konstytucji.

Żarliwi rusofobi dostrzegliby zapewne w tezach Putina o konieczności zatwierdzenia jego zamiarów przez sąd i ogólnonarodowe referendum echo osławionego wschodniego okrucieństwa, które nie zadowala się samym tylko pokonaniem przeciwnika, musi go jeszcze poniżyć drwiną.

Słowa prezydenta przyjęto owacją na stojąco. Kamera zrobiła najazd na rozanieloną twarz Tierieszkowej. Nie doczekawszy końca oklasków, Putin opuścił salę obrad, a wszyscy, którzy mieli jakieś brzydkie plany na rok 2024, szybko zrozumieli, że przyjdzie im je przesunąć na rok 2036. Z przyczyn natury ekonomicznej i organizacyjnej ludzie ci gromadzą się głównie na Facebooku i Twitterze. Jest ich coraz mniej. A im ich mniej, tym hardsi się stają.

– A więc tak umiera wolność... – cytatem z filmu „Gwiezdne wojny” podsumował owacje w Dumie Jegor Żukow, komentator opozycyjnego radia Echo Moskwy. Człowiek młody, wyrosły już w epoce Putina, przyjmujący więc dotychczasowy stan spraw w Rosji jako przedmiotową „wolność”.

WOLA LUDU

Echo Moskwy, o którego fenome- nie miałem już okazję nie raz tu pisać, stanowiące w dwóch trzecich własność państwowego Gazpromu, w coraz mniejszym stopniu funkcjonuje obecnie jako trybuna swobody wypowiedzi.

Nie, nie podlega cenzurze. Przeciwnie, władze tolerują rozgłośnień w charakterze

listka figowego, by nikt nie mógł zarzu- cić, że w Rosji nie ma wolnych mediów (a przynajmniej jednego wolnego me- dium). Cymes polega jednak na schaden- freude, którą przeżywa każdy szczerzy czekista i jego stronnik, gdy patetyczne słowa o wolności, godności i demokracji wygłaszają na tej antenie przedstawiciele licznych kanapowych partii pozaparla- mentarnej opozycji, skłócenie wzajem- nie tyleż za sprawą ułomności swych charakterów, ile w wyniku skierowanych przeciwko nim prowokacji. A imię ich, nie milion, lecz par exemple – 2 proc., czasem 0,2 proc. (takie wyniki w wybo- rach osiągają kandydaci partii Jabłoko i Parnas).

Mimo woli Echo Moskwy stało się instytucją na podobieństwo kabaretu politycznego, uwidaczniając ponury fakt, że alternatywą dla status quo jest oddanie się narodu we władzę tego bądź innego małego pieniacza o prze- różnietej ambicji.

Jakby dla spotęgowania efektu ko- micznego zaprasza się czasem do Echa przedstawicieli obozu władzy. Po zapo- wiedzi wieczystej prezydentury Putina studio zaszczylił deputowany Witalij Milonow, osławiony m.in. za sprawą inicjatywy na rzecz zakazu palenia fajki wodnej i uprawiania propagandy homo- seksualnej. Deputowany rzucił w twarz członków „kanap” (w twarz obitą tylko co policzkiem dowcipnego czekisty) zarzut, że boją się narodu i nie szanują demokracji. Bogiem a prawdą, stosownej riposty nie znaleziono. O ile bowiem jesz- cze kilka lat temu można było zarzucać Kremłowi, że swoją propagandą lepi naród w formę użyteczną władzy, o tyle teraz, gdy naród już został tak ulepiony, wszyscy mniej lub bardziej nominalni liberałowie i demokraci reprezentują już tylko siebie samych, mikroskopijną mniejszość, a wpływy ich ograniczone są do kawiarni i barów z wyszynkiem usy- tuowanych w obrębie obwodnicy Sado- we Kolco (nazywa się ich nawet złośliwie „mężowie stanu z Sadowego Kolca”).

Nie milczą jednak. W kawiarniach i na Facebooku sporym echem odbił się zwischenruf Lwa Szlosberga z Jabłoka, zawierający grę słów pomiędzy „wyze- rowaniem kadencji” a mnożeniem bądź dzieleniem przez zero. Konkluzja była taka, że Putin to zero.

Inaczej uważa opozycyjny publicysta Anton Krasowski. W gorzko-prześmiew- czym artykule „Nie pokonamy Putina”

przekonuje, że jedynym sposobem na wyprowadzenie Rosji z autorytaryzmu i stagnacji jest swoista praca u podstaw, wniknięcie w struktury aparatu władzy, zaprzestanie kontestowania państwa, które zbudowali Putin i wierny mu naród, pogodzenie się z tym, że na ideały demokratyczne nie ma teraz popytu, i przechowanie ich do lepszych czasów we własnych sercach, albowiem Rosja jest, jaka jest, a nie taka, o jakiej śni się na tej czy innej „kanapie”.

PUTIN, ALE NIE TEN

(De)inspirującą debatę na Facebooku zainicjował Maxim Kantor, emigracyjny intelektualista, malarz, pisarz, wykła- dowca Oksfordu. Zwrócił się otóż do swoich subskrybentów z pytaniem: „Jeśli nie Putin, to kto?”. Nawet w stosunkowo wąskim kręgu jednomyślnych zazwy- czaj czytelników Kantora nie osiągnięto konsensusu, a w odniesieniu do kandy- datur Aleksieja Nawalnego czy Michaiła Chodorkowskiego znajdowano zdecydowanie więcej argumentów przeciw niż za. Na rzuconą mimochodem uwagę, że przecież od niepamiętnych już czasów nie zdarzył się przywódca, z którego Rosjanie, czy to w czasach jego rządów, czy to z perspektywy historycznej, byłiby zadowoleni, czy więc nie pora na rezy- gnację z jednoosobowego przywództwa państwa, odezwały się głosy sprzeciwu. Rosja jest wielka i można ją utrzymać tylko silną ręką. Argument, że silna ręka degeneruje się pod wpływem własnej siły, nie trafił na podatny grunt. Tak jak nie trafia na taki niemal po żadnej stronie okaleczonej rosyjskiej sceny politycznej. Nawet „kanapy”, ci, którzy chcą budować republikę parlamentarną, uprzedzają zwykle, że jej ukonstytuowa- nie poprzedzić musi okres silnej władzy. Problemy ustrojowe Rosji sprowadzają się więc nadal do kwestii personalnych. Jak słusznie zauważył Stalin, kadry decy- dują o wszystkim.

Takich pytań nie stawia sobie zapew- ne pragmatyczny jak zwykle prezydent Putin. Załatwienie sprawy dożywotniej prezydentury już teraz, a najpóźniej w referendum 22 kwietnia, wypływa z rozsądnego namysłu, a nie rozważań o problemach z zakresu filozofii polityki. Za kilka miesięcy, gdy Rosjanie odczu- ją boleśnie skutki recesji, mogłyby tej operacji towarzyszyć jakieś kłopotliwe zgrzyty. Po co to komu?

Indonezyjska rozgrywka



FOT. ALEXANDER DEMANCHUK/TASS/FOTODUM



Maria Kądzilska

Chiny zwiększają siły w basenie Morza Południowochińskiego. Ich flota coraz częściej narusza granice morskie sąsiadów. W odpowiedzi prezydent Indonezji rozpoczął zbrojenia

Kiedy w ubiegłym miesiącu niemal doszło do starcia między chińską a indonezyjską flotą przy archipelagu wysp Natuna, prezydentowi Joko Widodo puściły nerwy. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do prezydenta Chin Xi Jinpinga akurat w momencie, kiedy przywódca partii komunistycznej zaczął zmagać się z problemem epidemii koronawirusa. Nie wiadomo, jakie dokładnie słowa padły podczas rozmowy telefonicznej, ale zanim Widodo zdążył polecić na wyspę Natuna Besar, chińskie jednostki straży przybrzeżnej (CCG) już się zaczęły wycofywać.

Indonezyjskie media piszą o zwycięstwie Dawida nad Goliatem i chwala ostrą reakcję swojego prezydenta, który dotychczas pozostawał bierny w polityce zagranicznej. Jednak przez chwilę sytuacja była bardzo napięta, a chińskie statki coraz częściej zbliżają się niebezpiecznie do granic Indonezji. To nie był pierwszy incydent i z pewnością nie będzie ostatni. Pekin coraz silniej zaznacza swoją militarną obecność w regionie.

JAK DALEKO?

Zaledwie kilka dni po wycofaniu się Chińczyków z wód wokół Natuny 4000-tonowa wielozadaniowa fregata chińskiej marynarki wojennej naruszyła granice indonezyjskiej 200-milowej strefy wolnego handlu (EEZ). Była to odpowiedź na wysłanie przez marynarkę wojenną Indonezji okrętów bojowych na Morze Północne w okolice archipelagu Natuna w momencie, kiedy stało się jasne, że słabo uzbrojone jednostki patrolowe nie są w stanie odstraszyć większych chińskich statków.

W tym czasie Chiny, Malezja i Wietnam zaangażowały się w potyczkę w pobliżu spornej rafy Vanguard, 1,4 tys. km na północny wschód od Natuny, gdzie malezyjska spółka naftowa Petronas bada dwa bloki ropy i gazu. Nic dziwnego, że prezydent Indonezji traktuje sprawę poważnie, skoro w obydwa incydenty Chiny zaangażowały 2700-tonowe korwety klasy Zhaojun 5203, uzbrojone w 76-milimetrowe działa. Trzy takie statki, będące częścią Dywizji Hainan CCG, pojawiły się na wodach w pobliżu archipelagu Natuna.

Chiny metodą podpatrzoną od Rosjan sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić. Ich determinacja, aby eksplorować to, co nazywają „tradycyjnymi łowiskami” znajdującymi się w indonezyjskiej strefie EEZ, stoi w sprzeczności z wprowadzonym przez ONZ w 1982 r. prawem morza. Jednak metody zastraszania sąsiadów na Morzu Południowochińskim stały się niemal normą. A prezydentowi Joko Widodo zaczyna się to coraz mniej podobać.

WOJSKOWE ZAKUPY

Zdolności Indonezji w zakresie nadzoru morskigo poprawiły się dzięki przejęciu SeaVision, internetowego systemu amerykańskiego, który umożliwia śledzenie pozycji i ruchu wszystkich statków na wodach równikowych. Pozwala on zobaczyć, gdzie znajduje się statek i jaki jest obrany przez niego cel. Przez ostatnie

cztery miesiące Indonezyjczycy logowali się do systemu SeaVision więcej razy niż którykolwiek z 88 innych krajów, które go używają.

Główny minister gospodarki morskiej Luhut Panjaitan chce wzmocnić straż przybrzeżną za pomocą oceanicznych jednostek patrolowych, ale w międzyczasie rząd kontynuuje plany zakupu sześciu duńskich fregat o zasięgu umożliwiającym patrolowanie granic morskich. Dodatkowo pracuje on nad nowym ustawodawstwem, które wcieli straż przybrzeżną w struktury niedawno wzmocnionej Indonezyjskiej Agencji Bezpieczeństwa Morskiego (Bakamla).

Chociaż indonezyjskie siły powietrzne dodają do swojego ekwipunku drony, mają tylko trzy samoloty Boeing 737 i dwa samoloty Casa/IPTN 235 z napędem śmigłowym do nadzoru morskiego. To nie wystarcza, aby w pełni swobodnie patrolować strefę wolnego handlu o powierzchni 2,7 mln km kw.

TANIEC MIĘDZY PEKINEM A WASZYNGTONEM

Indonezja sprawnie lawiruje między Chinami a Stanami Zjednoczonymi,

w pełni świadoma roli Pekinu w zapewnieniu inwestycji i handlu potrzebnych do rozwoju jej słabej gospodarki. Jednak w sprawach obronnych rząd w Dżakarcie wciąż znajduje się bliżej Waszyngtonu.

Jedną z naczelnych obowiązujących zasad aktualnego ładu w regionie jest wolność żeglugi, w szczególności na najbardziej uczęszczanych szlakach komunikacyjnych świata: na Morzu Południowochińskim i na Morzu Wschodniocchińskim. Tej wolności strzeże marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych. Chiny próbują jednak wypychać statki US Navy z tych wód. Najbardziej znanym opinii publicznej efektem tego sporu jest budowanie przez Chiny sztucznych wysp oraz rozbudowa na nich infrastruktury lotniskowej i portowej, która zwiększa możliwość projekcji siły w regionie.

Waszyngton i Dżakarta powinny być sojusznikami w tej kwestii, jednak nowo powołany przez Widodo minister obrony narodowej gen. Prabowo Subianto nie został zaakceptowany przez stronę amerykańską. Ciężar na nim oskarżenia o wielokrotne łamanie praw człowieka. Kiedy przed pierwszą

oficjalną wizytą indonezyjskiego przywódcy w Waszyngtonie amerykańscy urzędnicy stwierdzili, że Prabowo został wymieniony jako członek delegacji, Jared Kushner osobiście zadzwonił do prezydenta Indonezji, informując go, że nie jest to dobry pomysł.

Indonezyjczycy przełknęli tę zniewagę, a Widodo podpisał w Waszyngtonie pakiet inwestycyjny o wartości 23 mld dol. Dodatkowo, według nieoficjalnych źródeł, indonezyjska grupa oficerów Kopassus niedawno wzięła udział w pełnym treningu bojowym Delta Force w bazie sił specjalnych w Fort Bragg w Karolinie Północnej.

Polacy powinni się uczyć dyplomacji od rządu w Dżakarcie, gdyż współpraca militarna z USA nie powstrzymała Widodo przed odebraniem telefonu na początku lutego od Xi Jinpinga, który zapewnił, że chiński rząd wygra bitwę przeciwko koronawirusowi, i wyraził nadzieję, że ich wzajemne relacje handlowe na tym nie ucierpią. Tym sposobem i wilk syty, i owca cała. A Indonezja umie na własną korzyść rozgrywać obydwu hegemonów.

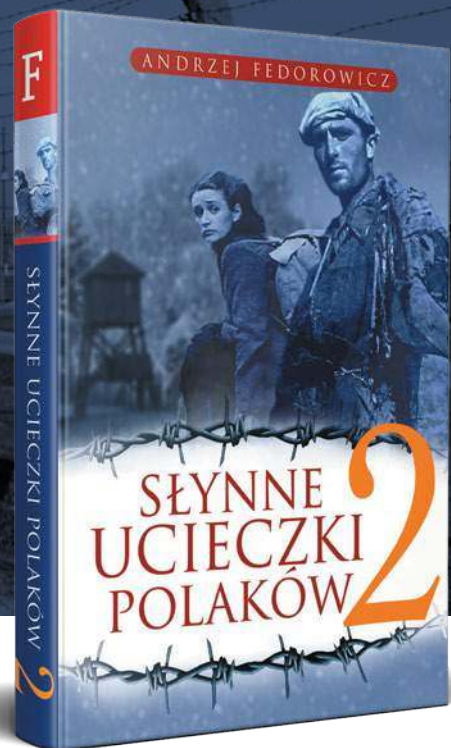
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

UWIEZIENI A NIEPOKONANI

NIE MA TAKICH WIĘZIEŃ, Z KTÓRYCH POLACY NIE POTRAFILIBY UCIEC.

PATRONAT MEDIALNY:





KORONAWIRUSEM W KORONAWIRUSY

W Stanach Zjednoczonych 9 marca miało odbyć się Międzynarodowe Sympozjum Nidowirusów. Spotkanie miało być poświęcone grupie wirusów, która obejmuje m.in. koronawirusy, ale i wirusy odzwierzęce oraz takie atakujące zwierzęta. Sympozjum zostało jednak odwołane. Powód? Epidemia koronawirusa, podczas której nie jest wskazane organizowanie spotkań, w których uczestniczy wiele osób.

FOT. ANDRZEJ STOK

KOKAINA TO NIE LEKARSTWO

Francuskie ministerstwo poinformowało obywateli o mitach dotyczących leczenia chorób, w tym zwalczania koronawirusa. Oprócz tłumaczenia, że w momencie, gdy wirus już dostał się do organizmu, wylewanie na skórę alkoholu lub chloru nie ma sensu, francuski resort zamieścił też zaskakującą poradę. „Nie, kokaina nie chroni przed COVID-19. To uzależniający narkotyki, który powoduje szkodliwe skutki”. Czym ci Francuzi się leczą?

CHCIELI OCALEĆ I UMARLI

W Iranie ludzie postanowili zabezpieczyć się przed koronawirusem, pijąc alkohol. A ponieważ w tym muzułmańskim kraju sprzedaż i spożycie alkoholu są zakazane, ludzie sięgają po procenty z przemytu. Według prokuratury prowincji Alborz siedem osób zmarło po wypiciu alkoholu metylowego, bo uwierzyły w internetowe porady dotyczące zabezpieczenia się przed wirusem. W prowincji Chuzestan kolejnych 20 osób zmarło w wyniku zatrucia, a 218 hospitalizowano.

DRWIŁ Z EPIDEMII, JEST CHORY

Zawodnik NBA Rudy Gobert żartował z epidemii koronawirusa. Po konferencji prasowej kładł się na stół prelegentów i specjalnie dotykał m.in. mikrofonów. Jeszcze wcześniej, po zakończeniu meczu, rzucił w trybuny swój ręcznik. Złapał go mały chłopiec. Kilka dni później okazało się, że Gobert ma potwierdzone zakażenie koronawirusem, a NBA zawiesiła do odwołania wszystkie mecze ligowe.

MÓWIŁ, ŻE WIRUS TO KARA ALLAHA...

Iracki przywódca duchowny Hadi al-Mo-darresi w telewizji twierdził niedawno, że koronawirus na świecie to kara Allaha. W sieci opublikował nagranie, w którym wypowiadał się na ten temat. Niedługo potem członkowie rodziny tego przywódcy szyickiego potwierdzili, że u niego samego zdiagnozowano zakażenie SARS-CoV-2. „Mój stryj, niech Bóg go chroni, jest leczony, a jego zdrowie stale się polepsza” – przekazał bratanek duchownego. Ajatollah ma 63 lata. ©

Lukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Obrzydliwi spekulanci i ludowa sprawiedliwość



ŁUKASZ WARZECHA

Poza Kościołem, który lewica momentami po chamsku (tow. Czarzasty) atakuje za nierezygnowanie z mszy, drugim obiektem potępienia stali się „spekulanci”. Czyli wszyscy ci, którzy sprzedają przedmioty mogące pomóc w walce z epidemią po cenach wyższych niż wcześniej. Ileż można się naczytać o straszliwej chciwości, zarabianiu na biednych ludziach, wykorzystywaniu sytuacji?! I ileż jest apeli do dobrego rządu – żeby zakazać, zarekwirować,

**Lepsze towary były
dostępne właśnie na
czarnym – czyli jedynym
wówczas wolnym – rynku**

zabronić, ukarać?! A najlepiej najpierw pod pręgierz, a potem do kamieniołomów na 25 lat.

Wzmocnionym sugeruję, żeby poczytali o czasach tużpowo-

jennych, gdy brakowało wszystkiego. Władza ludowa w imię społecznej sprawiedliwości ruszyła tępić wstrętnych spekulantów, ale wszystkie lepsze towary były dostępne właśnie na czarnym – czyli jedynym wówczas wolnym – rynku. Tam, gdzie walka z nim się udawała, nie było już niczego poza pustymi półkami. I tak kończą się wszystkie interwencje w imię sprawiedliwości społecznej w okresach nadzwyczajnych. ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Sensacyjny wywiad
z żołnierzem wyklętym,
bohaterem walki
z komuną



Witold Bagieński – **Wojna szpiegów PRL**
Patrik Pleskot – **Intryga czerwonego sobowtóra**
Sławomir Koper – **Wpadka francuskiego agenta**
John Mearsheimer – **Ameryka potrafi być bezwzględna**
Mikołaj Iwanow – **Czy Stalin planował drugi Holokaust?**
Tomasz Stańczyk – **Król gangsterów II RP**
Arkadiusz Karbowski – **Dziwna okupacja Danii**
Grzegorz Janiszewski – **Pierwsi polscy komandosi**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Rekordowe wyniki PZU

Miarą sukcesu jest osiągnięcie nie tylko biznesowych, lecz także społecznych celów. Udowadnia to największy polski ubezpieczyciel



PZU to nie tylko ubezpieczenia. Reklamowy slogan, odnoszony zwykle do szerokiej oferty Grupy PZU – nie tylko w ubezpieczeniach, lecz także w dziedzinie zdrowia, bankowości czy inwestycji – nabrał na początku marca dodatkowego znaczenia. Uruchamiając, w związku z zagrożeniem koronawirusem, bezpłatne konsultacje medyczne dla wszystkich Polaków, PZU wykazał społeczną odpowiedzialność. Co ważne, potrafi ją łączyć ze spektakularnymi

biznesowymi sukcesami. Dowodem są rekordowe wyniki finansowe Grupy PZU w minionym roku.

Zysk netto Grupy PZU sięgnął w 2019 r. prawie 3,3 mld zł, sprzedaż – 24,2 mld zł. To najlepsze rezultaty w giełdowej historii Grupy. Sukcesu dopełnia rekordowe zaangażowanie pracowników. Według największego w Polsce badania Kincentric Best Employers wskaźnik zaangażowania wyniósł aż 51 proc. Był o kilka punktów

wyższy nie tylko od średniej dla firm ubezpieczeniowych, lecz także dla wszystkich firm w Polsce. Wbrew spadkowym tendencjom na rynku.

– Pracownicy PZU dokonują rzeczy niebywałych. Ich zaangażowanie przełożyło się na fantastyczne wyniki. PZU jest miejscem, w którym pracownicy chcą pracować i pracują z pełnym zaangażowaniem, osiągając spektakularne sukcesy – mógł ogłosić prezes PZU Paweł Surówka.



TAKA PRACA MA SENS

Pracownicy, deklarujący w kampanii wizerunkowej PZU, że „taka praca ma sens”, nie mijają się z prawdą. Ten sens przekłada się nie tylko na rekordowe wyniki spółki, lecz także na korzyści dla klientów. Na tym opiera się strategia Grupy PZU, której celem jest maksymalne zaspokajanie oczekiwań klientów. Chodzi o usługi i produkty, które mają być dopasowane do ich potrzeb, a także innowacyjne rozwiązania usprawniające

obsługę i likwidację szkód. PZU z sukcesem wykorzystuje w tej dziedzinie sztuczną inteligencję.

Sztuczna inteligencja nie zastąpi jednak empatii. Jej w PZU nie brakuje. Dowodem szybka i skuteczna pomoc, gdy dochodzi do tragedii na większą skalę i innych głośnych w mediach wydarzeń. Pracownicy PZU sami chwytają wtedy za telefon i oferują wsparcie. Często jako pierwsi.

Kierownik Zespołu Organizacji Pomocy Home Grzegorz Błoński wspomina starszą panią ze Szczecina, w której kamienicy doszło do wybuchu. – Straciła cały swój dobytek. Zadzwoniliśmy do niej zaraz po informacji o wybuchu. Płakała. Nie wiedziała, gdzie ma się podziać, gdzie przenocować. Potrzebowała kogoś, kto ją chociaż pocieszy, porozmawia. Na pierwsze noce zapewniliśmy jej hotel, a potem na pół roku mieszkanie zastępcze – opowiada.

Gdy w połowie lutego południową Polskę nawiedziły katastrofalne wichury, na pomoc poszkodowanym ruszyło prawie 100 mobilnych ekspertów PZU. W ramach tzw. uproszczonej ścieżki większość klientów dostało odszkodowania już następnego dnia po zgłoszeniu strat.

W TROSCE O ZDROWIE

Do zeszłorocznych sukcesów Grupy PZU niewątpliwie należy też spektakularny rozwój usług medycznych. Liczba placówek własnych PZU Zdrowie wzrosła aż dwukrotnie. Jest ich 130, a razem z 2200 placówkami partnerskimi tworzą imponującą sieć, dzięki której spółka jest w stanie zapewniać pacjentom szybką pomoc, także w niewielkich miejscowościach.

– Jako pierwszy operator medyczny uruchomiliśmy też Wirtualną Przychodnię, dzięki której pacjenci mogą bez wychodzenia z domu zasięgnąć porady lekarza, otrzymać skierowanie na badania albo receptę na lek. Otworzyliśmy również pierwszy gabinet telemedyczny, w którym pacjent może samodzielnie wykonać diagnostykę za pomocą specjalistycznej aparatury – zwraca uwagę prezes PZU.

ATRAKCYJNE POŻYCZKI

Przykładem innowacyjnych rozwiązań jest także uruchomiona w 2019 r. internetowa platforma pożyczkowa Cash, efekt współpracy PZU i Alior

Banku. Daje pracownikom wygodny dostęp do szybkich, tanich i bezpiecznych pożyczek, o które mogą występować za pośrednictwem pracodawców. Podnosi atrakcyjność pracodawców na rynku pracy, dając im możliwość oferowania zatrudnionym dodatkowych, poza-płacowych korzyści.

– Zaletą platformy jest ograniczenie formalności. Wnioski o pożyczkę są składane internetowo, a raty automatycznie potrącane z wynagrodzenia. Nie potrzeba zaświadczeń o zarobkach, ponieważ wnioski są przekazywane za pośrednictwem pracodawcy. Podpisanie umowy pożyczkowej następuje poprzez wpisanie w Internecie kodu otrzymanego SMS-em. Proces udzielania i spłaty pożyczek jest więc maksymalnie uproszczony – wyjaśnia prezes Alior Banku Krzysztof Bachtą.

MIĘDZYNARODOWE ASPIRACJE

Wyrazem międzynarodowych ambicji Grupy PZU jest zaangażowanie w powołanie wspólnego indeksu giełdowego państw Trójmorza i uruchomienie opartego na tym indeksie funduszu pasywnego inPZU CEEPlus. Spektakularny charakter miało powołanie z inicjatywy PZU Rady Biznesu państw Trójmorza „Growing Europe”. W uroczystości, która odbyła się podczas niedawnego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, wzięło udział troje prezydentów środkowoeuropejskich państw.

Angażując się w biznesową współpracę krajów regionu, Grupa PZU nawiązuje do swoich historycznych korzeni. Kiedy ponad 200 lat temu na podzielonych między zaborców ziemiach polskich powstawały pierwsze towarzystwa ubezpieczeniowe, działały dzięki zasadzie wzajemności. Dawały wsparcie polskiemu przedsiębiorcom, stanowiącym o sile polskości w gospodarce. Dziś PZU, największa grupa finansowa w Europie Środkowo-Wschodniej, daje wsparcie projektom stanowiącym o sile nie tylko Polski, lecz także całego regionu.

– Od teraz Europa Środkowo-Wschodnia ma swój głos i zaangażowanych liderów, którzy chcą razem pracować nad jej promocją – deklarował prezes Surówka. Nie kryje, że ambicje PZU wykraczają daleko poza Polskę: – Chcemy odgrywać rolę nie tylko największej, lecz także najbardziej innowacyjnej grupy finansowej w Europie Środkowo-Wschodniej.

Antoni Piotrowski

Bolesny czas korekty



Jakub Wozinski

Kryzys finansowy nie trwa nigdy wiecznie. I choć wielu z nas odczuje jego skutki na własnych portfelach, krachy na giełdach mają przynajmniej tę zaletę, że sprowadzają ludzkość na ziemię

Gdy w 1929 r. wybuchł wielki kryzys amerykański, sekretarz skarbu Andrew Mellon wzbudził wśród swoich współpracowników konsternację. Zamiast tonować nastroje, przekonywał, że panika jest w gruncie rzeczy dobra. „Oczyście system z zepsucia. Skończą się wysokie koszty życia i życie ponad stan. Ludzie będą pracowali ciężiej, prowadzili moralne życie. Wartości wrócą na swoje miejsce, a przedsiębiorczy ludzie przejmą to, co leży w ruinie, od mniej kompetentnych osób”. Chociaż Mellon zaliczał się do grona ścisłej elity finansowej, jego słowa świadczyły o tym, iż nawet w jego środowisku nie brakowało świadomości tego, jak wielką iluzją była prosperity „ryczących lat dwudziestych”.

OD REKORDU DO REKORDU

W 2020 r. światowe giełdy wkroczyły w pozytywne nastroje. Nowojorski indeks Dow Jones odnotowywał rekordowe wyniki (szczyt przypadł na 12 lutego), które odzwierciedlały m.in. wstępne porozumienie handlowe między Chinami a USA. W dużej mierze był to jednak swoisty bal na „Titanicu”, gdyż od dłuższego czasu instytucje finansowe na całym świecie angażowały środki w coraz bardziej ryzykowne przedsięwzięcia. Najbardziej dobitnym tego przykładem

są tzw. fundusze pasywne, w które za-inwestowano w ostatnich latach łącznie ok. 5 bln dol. Fundusze te lokowały środki w spółki całych głównych indeksów, licząc na to, że w długiej perspektywie giełda będzie tylko rosła. O tym, że niekoniecznie tak być musi, świadczą jednak choćby ostatnie dni. Spora panika wybuchła także na rynku kontraktów terminowych na amerykańskich obligacjach. Inwestorzy od dłuższego czasu masowo zakładali się, że oprocentowanie długu pozostanie na bardzo niskim poziomie. Innymi słowy, świat finansów żył złudnym przekonaniem, że gospodarka będzie pięła się nieustannie w górę, a scenariusz gwałtownych kryzysów z przeszłości już raczej nigdy się nie powtórzy.

Charakterystyczną cechą świata współczesnych finansów jest to, że wielkie straty są niekiedy związane z decyzjami pojedynczych osób. Pracującym dla wielkich banków lub funduszy inwestycyjnych traderom powierza się astronomiczne sumy, przewyższające niekiedy PKB całych państw. Gdy w 2008 r. załamał się rynek kredytów hipotecznych, Howard Hubler z banku Morgan Stanley zanotował stratę aż 9 mld dol. (w przybliżeniu tyle samo, co wynoszą przychody polskiego państwa z CIT). Wcześniej przez długi czas prawdziwym rekor-



FOT. LUCAS JACKSON/REUTERS/FORUM

dzistą był Japończyk Yasuo Hamanaka, który w czasie kryzysu azjatyckiego w 1996 r., błędnie przewidując zmiany na rynku kontraktów terminowych na miedzi, przyniósł bankowi Sumitomo prawie 3,5 mld dol. straty.

Niezwykle kosztowne błędy popełniane przez jednostki przekładają się jednak na życie milionów osób. Tak było chociażby w czasie wielkiego kryzysu, gdy nadmierna ekspansja kredytowa wywołana przez politykę Rezerwy Federalnej (Fed) doprowadziła całe Stany Zjednoczone, ale i niemal cały świat, do bodajże najostrzejszej recesji w najnowszych dziejach. Szacuje się, że w samym tylko 1930 r. samobójstwo popełniło nawet 9–10 tys. więcej Ameryka-



nów niż w poprzednich latach, a każdego dnia z pracy zwalniano średnio 12 tys. osób. Jeszcze w latach 20. aż 30 mln mieszkańców USA (jedna trzecia całej populacji) inwestowało swoje środki na giełdzie, lecz ogromne straty wywołane przez kryzys sprawiły, że w 1952 r. chętnych do tego było już jedynie nieco ponad 5 mln osób (4,2 proc. populacji).

CZAS TRZEŹWOŚCI

Najważniejsze po wybuchu każdego kryzysu jest przyzwolenie na to, aby gospodarka sama powróciła do stanu względnej równowagi. Ekonomista Ludwig von Mises, który jako jeden z pierwszych dokładnie wyjaśnił

przyczyny występowania cykli koniunkturalnych, twierdził, że: „W okresie dostosowania, kiedy znikają złudzenia charakterystyczne dla fazy wzrostu, niektóre przedsięwzięcia inwestycyjne z okresu boomu zostają poddane trzeźwej ocenie i uznane za całkowicie chybione. Trzeba z nich po prostu zrezygnować”. Gdy w 1920 r. wybuchł kryzys finansowy w USA, władze zachowały się dość pasywnie, za co spotkała je spora krytyka. Okazało się jednak, że już po ok. 12 miesiącach gospodarka zaczęła wyraźnie wychodzić na prostą. Wniosków z tej lekcji nie wyciągnięto niestety w czasie wielkiego kryzysu, gdy zamiast pozwolić na bolesny „okres dostosowania”, władze

dokonały kolejnego zastrzyku pieniędzy do systemu, przez co produkcja przemysłowa spadła do 1933 r. aż o połowę, a skutki amerykańskiego kryzysu dały się we znaki praktycznie na całym świecie. We Francji produkcja przemysłowa powróciła do poziomu sprzed kryzysu dopiero w latach 50.

Doświadczenie uczy, że w chwili, gdy indeksy giełdowe tracą na wartości, a na rynkach panuje panika, lepiej uzbroić się w cierpliwość i nie pompować zbyt wielu środków w system, który okazał się niewydolny. Gdy w 1847 r. wybuchł najpoważniejszy w XIX w. kryzys finansowy, który doprowadził do strajków i rewolucji na całym kontynencie, francuski minister

finansów Louis-Antoine Garnier-Pages świadomie nie próbował ratować gospodarki za pomocą nadmiernej ilości środków publicznych, gdyż uważał, że im szybszy i gwałtowniejszy będzie kryzys, tym krócej będzie trwał. „Nie robić nic, by ratować pożyczki, pozbyć się akcji, sprzedać towary” – miał przekonywać. Jego zalecenia okazały się słuszne, bo w latach 1850–1952 francuska gospodarka bardzo szybko i sprawnie stanęła na nogi.

Problem, z którym musimy mierzyć się obecnie, wynika w sporej mierze właśnie z tego, że po wybuchu ostatniego kryzysu z 2008 r. nie zdecydowano się przyzwolić na korektę, lecz sięgnięto po rozwiązania, które na krótką metę przyniosły poprawę, lecz nie pozwoliły na bardziej dogłębne uzdrowienie systemu. Chociaż w 2010 r. PKB większości krajów, które znalazły się w kryzysie, zaczęło systematycznie rosnąć, to według wielu ekspertów światowa gospodarka tak naprawdę nigdy nie powróciła do stanu sprzed 2008 r. (o czym świadczą chociażby zastój w zakresie nakładów inwestycyjnych). Zamiast korekty błędów zdecydowano się na bezprecedensowe w skali programy tzw. luzowania ilościowego, które pochłonęły w ciągu minionej dekady już ponad 4 bln dol.

ZYSKI I STRATY

Spadki i kryzys na giełdzie nie oznaczają jednak, że tracą na nich wszyscy. Ostatni kryzys wzbudził ogromne kontrowersje, m.in. dlatego, że wielkie pieniądze zarobił na nim bank Goldman Sachs. Sposób, w jaki tego dokonał, do dziś budzi wiele wątpliwości. Od 2005 r. Goldman Sachs inwestował wielkie środki w dynamicznie rozwijający się rynek tzw. CDS-ów (swapów ryzyka kredytowego). Na rynku panowała euforia, a Amerykanie masowo zaciągali kredyty hipoteczne. W całkowitej tajemnicy przed całym rynkiem mniej więcej od początku 2007 r. kierownictwo banku poleciło swoim pracownikom pozbywać się wszystkich aktywów związanych z kredytami hipotecznymi. Jednocześnie bank zaczął grać na spadkach ich wartości, choć swoim klientom wciąż wydawał zupełnie inne rekomendacje. Gdy w lipcu 2007 r. rynek zaczął się chwiać, zapowiadając wybuch kryzysu, Goldman Sachs był już w bezpiecznej sytuacji. Nie dość, że w porę pozbył się wszystkich toksycznych aktywów, to na dodatek zarobił sporo, poprawnie przewidyując spadki. W rezultacie, gdy większość banków znalazła się w 2008 r. w kryzysie

wej sytuacji i rozpaczliwie potrzebowała środków finansowych, Goldman przeżył muskuły i notował zyski. Mało tego, otrzymał nawet pomoc publiczną w ramach programu TARP (Troubled Assets Relief Program) w wysokości 10 mld dol.

O tym, że kryzys bywa nierzadko także okazją do zarobku, świadczy przypadek słynnego inwestora Warrena Buffeta, który zainwestował 5 mld dol. w toksyczne aktywa oraz akcje banków, które uzyskały rządową pomoc tuż przed ogłoszeniem programu TARP. Chociaż nie ma na to żadnego konkretnego dowodu, wiele wskazuje na to, iż tak ryzykowna inwestycja mogła wynikać z uprzedniej wiedzy o tym, kiedy dokładnie uruchomiona zostanie pomoc publiczna.

W chwili obecnej wszyscy zadają sobie przede wszystkim pytanie: Jak długo potrwa obecny stan niepewności. W chwili, gdy powstaje ten tekst, z Azji zaczynają docierać pierwsze optymistyczne dane wykazujące stopniowy spadek liczby nowych przypadków. W historii finansów już niejednemu zdarzały się tąpnięcia, które wydawały się początkowo prawdziwą apokalipsą, a później zdecydowanie wytraciły początkowy impet. Tak było choćby w 1987 r., gdy w pamiętny czarny poniedziałek indeks Dow Jones spadł aż o 22,6 proc., bijąc w ten sposób rekord wszech czasów. Kończyła się w ten sposób epoka, której prawdziwą gwiazdą był ułaskawiony niedawno przez Donalda Trumpa Michael Milken, specjalizujący się w tzw. wykupie lewarowanym (jego działania były absolutnie legalne, choć wzbudziły zrozumiałe oburzenie). Pierwszy dzień spadków wywołał krótkotrwałą panikę, a inwestorzy jeszcze przez kilka tygodni czekali w niepewności obserwując, jak zachowają się pozostałe światowe rynki. Tak jak obecnie praktycznie wszystkie giełdy świata odnotowywały silne spadki, lecz ostatecznie tąpnięcie nie przerodziło się w trwały kryzys. Z podobną sytuacją mamy do czynienia również obecnie: najwięksi gracze na finansowych rynkach czekają na informacje, które pozwoliłyby nieco lepiej ocenić przewidywalny przebieg wydarzeń w najbliższych miesiącach.

KUPIJ, GDY LEJE SIĘ KREW

Wielkie finansowe turbulencje przyczyniają się, rzecz jasna, do wielkich strat, a nawet bankructw, lecz dla prawdziwych wyjadaczy stają się okazją do świetnego zarobku. Słynne powiedzenie przypisywane Nathanowi Rotszyldowi brzmi:

„Kupuj, gdy krew leje się na ulicach, nawet jeśli jest to twoja krew”. Słynny bankier miał w ten sposób wykorzystać wiedzę o porażce Napoleona pod Waterloo, którą przekazano mu do Londynu szybciej niż wszystkim pozostałym inwestorom, którzy trwali wciąż w ogromnej niepewności. W dzisiejszym świecie, w którym komunikacja jest już o wiele sprawniejsza, powtórzenie wyczynu z 1815 r. pozostaje właściwie niemożliwe, lecz jak najbardziej realne jest skorzystanie z wiedzy dostępnej tylko nielicznym.

Wspomniany już Warren Buffett zasłynął m.in. tym, że w następstwie kryzysu naftowego z lat 1973–1974 wykupił Washington Post Company (wydawcę gazety o tym samym tytule) za zaledwie 10,6 mln dol. Zakup dokonany w czasie „rozlewu krwi” okazał się niebywałym sukcesem, gdyż ostatecznie słynny inwestor sprzedał gazetę w 2013 r. właścicielowi Amazona, Jeffowi Bezosowi, aż za 250 mln dol. Równie świetny interes zrobił Edward Harriman, który w 1898 r. kupił znajdujące się w stanie upadku linie kolejowe Union Pacific. W latach 1893–1897 amerykańska gospodarka znajdowała się w ostrej recesji i niewielu było chętnych do tego, aby przejmować nierentowne linie budowane w okresie boomu. Harriman zaryzykował i stał się dzięki temu potentatem, a linia Union Pacific liderem rynku kolejowego.

Jedno z badań przeprowadzonych w ostatnim czasie wykazało, że po drugiej wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych miało już miejsce 27 istotnych korekt giełdowych indeksów (czyli spadków powyżej 10 proc.). Obliczono, że powrót do normalności zabierał dotąd średnio cztery miesiące. Gdy jednak spadki były bardziej poważne (powyżej 30 proc.), cały proces trwał zdecydowanie dłużej. W takiej sytuacji gospodarka stabilizowała się średnio nawet po dwóch latach. Chociaż obecnie nie brak analityków skłonnych do wyrażania opinii, że sytuacja na rynkach jest dziś gorsza niż w 2008 r., na ten moment nie sposób jeszcze ocenić faktycznej skali problemu. Aby stwierdzić, czy mamy powtórkę z lat 1929, 1987 czy też 2008 r., przyjdzie jeszcze poczekać co najmniej kilka tygodni. Już dziś jednak wiadomo, że zamieszanie związane z koronawirusem jedynie przyspieszyło ujawnienie się problemów, które i tak wcześniej czy później dałyby o sobie znać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

„Kogo nie zabije, tego wzmocni”?

Trudno dziś, „w czasach koronawirusa”, zajmując się gospodarką – i nie tylko nią – pisać felieton, który ma się ukazać nazajutrz rano, a co dopiero taki, który ma ujrzeć światło dzienne za trzy-cztery dni.

To, z czym mierzymy się od kilku tygodni w związku z plagą choroby z Wuhan, coraz bardziej wymyka się próbom przepowiadania, jak dalej się potoczą wypadki, a tym bardziej – jaki będzie ich finał. Zadanie to tym trudniejsze, że wciąż nie wiadomo, co jest w tym przypadku groźniejsze – sam wirus czy jednak wirus paniki zwielokrotnionej przez media, w tym społecznościowe, która udziela się coraz większej liczbie z nas. Wie to każdy, kto w tych dniach odwiedził sklep spożywczy, drogerię czy aptekę.

Albowiem niby z jednej strony w końcu i ten kryzys, jak każdy poprzedni, „kogo nie zabije, tego powinien wzmocnić”, tyle tylko że – z drugiej strony – tym razem, gdy mowa o zabijaniu, chodzi o wyraz użyty bez cudzysłowu, a więc oznaczający coś dosłownego, a nie używanego w takich wypadkach, zwłaszcza w ostatnich dekadach, głównie w jego przenośnym znaczeniu.

Dlatego – zajmując się pandemią w kontekście jej wpływu na gospodarkę – tak trudno dziś prognozować, gdzie i kiedy zatrzymają się giełdowe indeksy w swym rajdzie w dół. Tak trudno pokusić się o przypuszczenie, które firmy czy wręcz całe branże upadną, a które tylko osłabną. Czyli prorokować, czy i ten kryzys – tak jak

większość poprzednich, obok niewątpliwych strat, które przyniesie – w gruncie rzeczy będzie miał ozdrowieńczy wpływ na gospodarkę? Czy jednak mamy do czynienia z początkiem czegoś, w czym nawet przy dużej dozie dobrej woli trudno będzie się dopatrzyć pozytywnych znamion?

Na groźbę, że rozwój wypadków niebezpiecznie zaczyna się ześlizgiwać właśnie w tę stronę, wskazuje, iż podczas tego kryzysu – głównie za sprawą owej samonakręcającej się spirali strachu – mocno nadwerżony został kapitał zaufania społecznego. A przecież trudno czy wręcz nie sposób robić interesy, zwłaszcza na taką skalę jak dotychczas, gdy tak bardzo wzrósł poziom nieufności między ludźmi. Szczególnie jeśli stan ten miałby się utrzymywać długo.

Mam wszelako – jak pewnie wielu – nadzieję, że wszystko to szybko okaże się jedynie czymś w rodzaju koszmarnego snu, który wnet pryśnie. I za kilka miesięcy o pesymistycznych wizjach, które pojawiają się dziś w związku z pandemią, będziemy mogli myśleć jak o kolejnym dowodzie na ułomność ludzkich umysłów, a swe zachowania wziąć za objaw zdrowego rozsądku, który podpowiada, by do minimum ograniczać ryzyko. A będziemy mogli w ten sposób o tym myśleć, gdy ludzie – jak to ludzie – w końcu znajdą rozwiązanie także i tego problemu. Albo po prostu nauczą się żyć również z tym – jeszcze jednym – czyhającym na nich zagrożeniem. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pokolenia ASAP i ALAP

Mam 53 lata i jestem z pokolenia ASAP. Gdy moje pokolenie zaczynało karierę zawodową w okresie zmian systemu gospodarczego, dostrzeżliśmy dla siebie szansę na lepsze, ciekawsze życie. Pracowaliśmy po 12 i więcej godzin, jedliśmy byle co, w stylu bułka i parówka, zwykle w biegu między spotkaniami, a gdy łąpało nas przeziębienie lub gorączka, bo epidemii koronawirusa jeszcze wtedy nie było, pędziliśmy do lekarza po antybiotyk i następnego dnia na prochach meldowaliśmy się w pracy. Nie było ADHD ani wypalenia zawodowego, można było skomplementować pupę koleżanki lub – jak kto wolał – kolegi, bez oskarżeń o molestowanie. Szło się na obiad, a nie na lunch. Ponieważ byliśmy biedni po 50 latach komuny, każdy chciał się dorożyć, mieć samochód, mieszkanie, a potem dom, jeździć na wczasy do Grecji, a na narty do północnych Włoch. Pracowaliśmy w stylu ASAP (ang. as soon as possible), żeby wygrać w wyścigu szczurów o lepsze jutro.

Teraz w życie dorosłe wchodzi pokolenie naszych dzieci. Z tym pokoleniem pracuję i prowadzę zajęcia na kilku uczelniach w kilku krajach. Niezależnie od kraju obecne pokolenie 20-30-latków to pokolenie ALAP (ang. as late as possible). Od pracy oczekują, żeby była fajna i żeby czuć się w niej dobrze. Nie muszą zarabiać kokosów, ale musi wystarczyć na spłatę kredytu na mieszkanie, biojedzenie typu slow food (czytaj – robaczywą sałatę za 10 zł, tofu i kiełki),

vege lunch, iPhone'a i clubbing. Dbają o zdrowy tryb życia i wizerunek. Dla nich liczą się właściwe proporcje między pracą a czasem wolnym, asertywność i indywidualizm.

Gdy mówię do przedstawicieli pokolenia ALAP, że są tacy lub owacy, słyszę w odpowiedzi, że uogólniam, a tak nie wolno robić, bo każdy człowiek jest unikalny. Trudno wyklądać temu pokoleniu ekonomię, która przecież polega na uproszczeniach i uogólnieniach, bo inaczej nie dałoby się zbudować żadnego modelu ekonomicznego. Podobno zmienia się jednak program i na jednej z czołowych uczelni świata na ekonomii obowiązkowo uczy się o modelach zmian klimatycznych. Cóż, popyt tworzy podaż. Pokolenie ASAP nie interesowało się ekologią, zajęte powiększaniem PKB, pokolenie ALAP wychowane na sowitym kieszonkowym rodziców i nakarmione wegańską strawą oraz ideą traktuje klimat bardzo poważnie.

Mimo że sam nie mam problemów z brakiem pracy na „trzech etatach”, dostrzegam wiele przypadków, gdy po przekroczeniu pięćdziesiątki zmienia się nastawienie pracodawców, którzy preferują młodszych. Pracodawcy powinni się nad tym zastanowić, bo wiele nawyków pokolenia ASAP opisanych powyżej czyni z nich co najmniej tak dobrych pracowników jak pokolenie ALAP, nawet jeżeli mają nadciśnienie czy astygmatyzm. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

„DO RZECZY”: Czy w dzisiejszych czasach przeciętny użytkownik systemu Windows potrzebuje jeszcze zewnętrznych programów antywirusowych? Przecież ma to w systemie operacyjnym.

GRZEGORZ MICHAŁEK: Potrzebuje, a praktyka pokazuje, że wręcz bardzo potrzebuje. Musimy pamiętać, że z technicznego punktu widzenia w branży cyberbezpieczeństwa Microsoft jest takim samym graczem jak inni producenci. Oczywiście jako producent systemu operacyjnego, ma – handlowo i marketingowo – uprzywilejowaną pozycję, jednak technologicznie zмага się dokładnie z takimi samymi wyzwaniami i problemami jak pozostali. Musi stale kontrolować cyberprzestrzeń, wyłapywać nowe zagrożenia, aktualizować bazy i mechanizmy skanujące. I to wszystko zarówno w skali globalnej, jak i lokalnej. A w zakresie dynamiki zagrożeń pojawiających się lokalnie producenci globalni radzą sobie – w naszej ocenie – w stopniu niedostatecznym. Tutaj ważne jest błyskawiczne wykrycie zagrożenia i jeśli zachodzi taka potrzeba, natychmiastowa aktualizacja produktów, tak aby były w stanie ochronić użytkowników. Nasze codzienne doświadczenia i testy pokazują, że nader często zagrożenia, które my analizujemy „od ręki” zaraz po ich pojawieniu się w polskiej cyberprzestrzeni, przez zagraniczne laboratoria są przetwarzane nawet kilka dni, zanim zaktualizowane bazy zostaną publicznie udostępnione. Jest to istotny czynnik powodujący, że wielu użytkowników, zwłaszcza tych dotkniętych niewykrytą odpowiednio wcześniej infekcją, decyduje się na zmianę swojego dotychczasowego oprogramowania ochronnego na polski pakiet mks_vir.

Program antywirusowy integruje się głęboko z systemem operacyjnym, dajemy mu dostęp do wszystkich naszych plików. Branżowe media pisały jakiś czas temu, że jeden z rosyjskich pro-



Rozmowa z Grzegorzem Michałkiem, prezesem firmy mks_vir

Gasimy cyberpożary od 30 lat

gramów antywirusowych mógł służyć kremłowskiemu służbom do wykradania danych z 400 mln komputerów. Jak się zabezpieczać, by samemu nie zaprosić do naszych komputerów hakerów?

Faktem jest, że program antywirusowy lub szerzej – pakiet ochronny – ma pełny dostęp do wszystkich danych znajdujących się w systemie operacyjnym. Jest to oczywiście niezbędne do zapewnienia maksymalnie skutecznej ochrony, jednak niesie ze sobą potencjalne ryzyko wycieku (niekiedy, co chcemy podkreślić, intencjonalnego) tajnych lub wrażliwych danych i ich utratę na rzecz podmiotów, które

mogą je wykorzystać przeciwko osobom lub organizacjom, których te dane dotyczą. Warto przypomnieć nadal jeszcze gorący temat sprzedaży danych użytkowników przez jednego z dostawców darmowego (do wybranych zastosowań) oprogramowania antywirusowego. Ile takich sytuacji ma miejsce? Jakiego zakresu danych mogą dotyczyć? Kto może z tych danych korzystać? Co się stanie, gdy osoby niepowołane uzyskają dostęp do naszych danych? To trudne pytania, jednak warto je zadać przy tworzeniu polityki bezpieczeństwa i wyborze rozwiązań ochronnych.

Jesteśmy zawsze otwarci na dialog w tym zakresie.

Zwracanie uwagi na kraj pochodzenia producenta oprogramowania może być zatem szczególnie istotne w przypadku firm i instytucji państwowych?

W przypadku firm i instytucji państwowych dobór odpowiednich rozwiązań ochronnych ma szczególne znaczenie. I wcale nie chodzi nam o podejście typu „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. Na to zagadnienie trzeba popatrzeć zdecydowanie szerzej. Po pierwsze, wybór rozwiązań ochronnych, w tym oprogramowania antywirusowego, powinien maksymalizować skuteczność ochrony i jednocześnie minimalizować ryzyko utraty danych na rzecz podmiotów (firm, organizacji, państw) nieuprawnionych. Po drugie, należy się upewnić, że możliwy będzie sprawny i merytoryczny dialog z producentem, np. w przypadku sytuacji wyjątkowych, prób ataków, infekcji itp. Rodzimy producent, skupiony na polskim rynku, ma na tym polu oczywistą przewagę nad firmami, które dysponują jedynie przedstawicielstwami handlowymi. Po trzecie – ścisła współpraca instytucji państwowych z rodzimymi producentami pozwala na stały rozwój i umacnianie narodowego cyberbezpieczeństwa, co ma strategiczne znaczenie w perspektywie kolejnych lat. Prowadzimy szeroko zakrojoną politykę informacyjną, prowadzimy rozmowy z wieloma specjalistami z różnych instytucji i z satysfakcją musimy przyznać, że nasze działania przynoszą zamierzony efekt. Jednak jest tutaj jeszcze dużo pracy do wykonania i dużo strategicznych decyzji do podjęcia.

Jakie są dziś najpoważniejsze zagrożenia, jeśli chodzi o nasze cyberbezpieczeństwo i jak na nie odpowiada wasze oprogramowanie?

Można tutaj nieco przewrotnie powiedzieć, że naj-

poważniejsze zagrożenia to te jeszcze niewykryte, niepoznane i nieprzeanalizowane. Uważam, że w tym stwierdzeniu kryje się kwintesencja skuteczności współczesnych rozwiązań ochronnych. Dynamika rozwoju szkodliwego oprogramowania i niewiarygodna wprost aktywność i pomysłowość cyberprzestępców nie pozwalają nawet na chwilę wytchnienia. W każdym momencie może się pojawić nowe zagrożenie, nowa forma ataku, nieznana dotychczas podatność lub kolejna, agresywna kampania e-mailowa mająca na celu dystrybucję szkodliwego oprogramowania. Warto wspomnieć, że tego typu kampanie są w większości przypadków precyzyjnie skonstruowane zarówno pod kątem technicznym, jak i socjotechnicznym, dzięki czemu doskonale wykorzystują nasze lokalne realia. My musimy błyskawicznie zareagować, a jest to możliwe dzięki szerokiemu spektrum narzędzi analizujących i ochronnych dostępnych w pakiecie mks_vir. Pełna kontrola potencjalnych ścieżek ataków (pliki, urządzenia USB, poczta elektroniczna, przeglądarki, ruch sieciowy) to klucz do skutecznej ochrony. Tutaj nie można przegapić, bo straty mogą być katastrofalne. Współczesne zagrożenia koncentrują się wokół wykradania informacji, szyfrowania danych (często niestety nieodwracalnego), wykorzystania zasobów zainfekowanych komputerów do dalszych przestępczych celów, takich jak akcje spammerskie czy nieuprawnione kopanie kryptowalut użyczające praktycznie całą moc komputera. Stale obserwujemy również niegasnącą aktywność szkodliwego oprogramowania z rodziny Emotet. To ogromne wyzwanie zarówno dla programu, jak i programistów oraz analityków.

Mówienie o mks_vir „antyvirus” to poważne uproszczenie. Czym wyróżnia się wasze oprogramowanie? Specjaliści

„Pod maską” pakietu mks_vir pracują dwa niezależne silniki antywirusowe, z których jeden jest ukierunkowany na zagrożenia charakterystyczne dla polskiej cyberprzestrzeni, a drugi skupia się na zagrożeniach globalnych



z branży podkreślają często wagę rozwiązań klasy EDR. Co się kryje pod tym kryptonimem?

Zgadza się. Określenie „antyvirus” to pozostałość poprzedniej epoki, które nadal funkcjonuje jako dobrze rozpoznawalna nazwa kategorii nawet bardzo rozbudowanych narzędzi ochronnych. Sam klasyczny antywirus to jedynie jeden z elementów takich pakietów. Podobnie jest w przypadku rozwiązań mks_vir, które wykorzystują mechanizmy kontrolujące wszystkie obszary zarówno systemu operacyjnego, jak i aktywności użytkownika. Kontrolowane są pliki, zarządzania podłączane do komputera, dane pobierane przez przeglądarki, poczta elektroniczna, wszystkie nawiązywane połączenia sieciowe. „Pod maską” pakietu pracują dwa niezależne silniki antywirusowe, z których jeden jest ukierunkowany na zagrożenia charakterystyczne dla polskiej cyberprzestrzeni, a drugi skupia się na zagrożeniach globalnych. Do dyspozycji administratorów jest również rozbudowany moduł administracyjny pozwalający na zarządzanie bezpieczeństwem sieci z poziomu jednej konsoli. Szczególnie dumni jesteśmy z naszych mechanizmów klasy EDR, które już wielokrotnie wykazały swoją skuteczność, błyskawicznie tłamsząc epidemie w dużych sieciach. Mechanizm EDR, czyli Endpoint Detection and Response, odpowiada za wykrywanie i analizę nietypowych zachowań i aktywności w systemach operacyjnych

i w sieciach. Wdrożony przez nas RoundKick EDR potrafi zestawiać ze sobą zdarzenia z różnych warstw systemu, poddać je wspólnej analizie i podjąć decyzję albo o natychmiastowej interwencji, albo o przekazaniu informacji o potencjalnie szkodliwym oprogramowaniu do naszego laboratorium. Wkraczamy tym samym na kolejny obszar wsparcia użytkowników obejmujący, przynajmniej częściowo, tzw. MSS (czyli Managed Security Services), w którym nasze laboratorium odpowiada za analizę incydentów, co przekłada się na aktualizację baz i samego programu o nowe wzorce zachowań i nowe sygnatury.

mks_vir to na polskim rynku marka legendarna, która rodziła się razem z całą branżą IT nad Wisłą. Zapewne w swojej historii gasiliście niejednego „pożar”.

To prawda – mks_vir chroni polską cyberprzestrzeń od ponad 30 lat. Nie były to lata łatwe, ale bez wahania mogę powiedzieć, że były bardzo ciekawe. Pożary gasimy cały czas. W tym kontekście jako „cyberstrażacy” jesteśmy praktycznie cały czas „w terenie”. Wielokrotnie zdarza nam się instalować nasze oprogramowanie w zainfekowanych, niedostatecznie dotychczas chronionych sieciach i usuwać

szkodliwe oprogramowanie z kilkuset stacji. Jednak gdybym miał wskazać w całej naszej historii zdarzenie lub incydent, który najbardziej zapadł mi w pamięć, to wskazałbym epidemię wirusa Czarnobyl (znanego również jako CIH), który pod koniec lat 90. zainfekował kilkaset tysięcy komputerów na całym świecie, w tym również w Polsce. Wirus był na tyle dobrze napisany, że rozprzestrzeniał się w zastraszającym tempie i nawet pionierskie mechanizmy detekcji miały problemy z zatrzymaniem epidemii. Wirus występował w kilku odmianach, jednak większość z nich aktywowała swoje destruktoryjne działania 26 kwietnia, czyli w rocznicę katastrofy w Czarnobylu. Zainfekowane systemy nie uruchamiały się, a dostęp do zapisanych na nich danych był odcięty. Pod naszą firmą stała wtedy dosłownie kolejka zdesperowanych ludzi z różnych firm, biur, instytucji, banków, którzy utracili dorobek często wielu lat pracy. Dla firmy księgowej czy projektowej, która zazwyczaj nie dysponowała jakąkolwiek kopią zapasową, taka utrata danych to był de facto wyrok śmierci. Na szczęście na podstawie analizy zachowań wirusa udało nam się znakomitą większość uszkodzonych dysków uratować i przywrócić dostęp do danych. Przyznaję, że niejednego doktorat wtedy ocaliliśmy. Patrząc na współczesne wydarzenia w zakresie bezpieczeństwa komputerowego i analizując ataki np. typu ransomware, często wspominam tamte dni, ponieważ mimo dzielących je lat zauważam tutaj pełną analogię do współczesności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

mks_vir to najstarszy polski i jeden z najstarszych na świecie programów antywirusowych. Specjaliści nieprzerwanie kontrolują sytuację zarówno w polskiej, jak i ogólnoswiatowej cyberprzestrzeni, aby zagwarantować użytkownikom pakietu mks_vir najwyższy poziom ochrony. <https://mks-vir.pl>

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Polscy narciarze wyczynowi byli w międzywojniu znacznie bardziej wszechstronni niż dziś...

DARIUSZ JARON: Era sportu zawodowego, który znamy obecnie z igrzysk olimpijskich, miała dopiero nastać, a wraz z nią silna specjalizacja, śrubowanie do granic wyników w jednej, często wąskiej, konkurencji. W pionierskim narciarstwie liczyła się wszechstronność. Królem nart był zatem nie ten, kto zjeżdżał najszybciej lub skakał najdalej, lecz błyszczał na tle rywali. To się oczywiście z biegiem lat zmieniło. Widać to już po bohaterach mojej książki, chociaż kalendarzowo Bronisława Czecha i Stanisława Marusarza dzieliło zaledwie pięć lat.

Pierwszy z nich stanowił doskonały przykład starego podejścia, bardzo dobrze skakał na nartach, świetnie spisywał się w kombinacji norweskiej i był doskonałym zjazdowcem. Słowem – wyróżniał się wszechstronnością, szlifując każdy element narciarskiego rzemiosła. Młodszy o kilka wiosen kolega dał się poznać przede wszystkim jako wybitnej klasy skoczek narciarski, jeden z nielicznych przed drugą wojną światową, który zagrażał hegemonii mistrzów skandynawskich. Owszem, osiągał również dobre wyniki w innych konkurencjach, ale to skoki narciarskie stały się jego wizytówką.

Czech sport łączył ze sztuką...

Wyjątkowy człowiek o różnorodnych zainteresowaniach i talentach – nie tylko nasz pierwszy narciarz o renomie międzynarodowej. Rzeźbił. Malował. Kochał naturę. Podhalańskie krajobrazy uwieczniał pędzlem. Pasjonował się wspinaczką tatrzańską, z czasem połknął bakcyli szybownictwa. Inspirowały go góry. Nawet kiedy strój sportowy przyszło mu zamienić na pasiak w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz. Malował, żeby przeżyć. Znalazł się wśród artystów pracujących za drutami na zlecenie Niemców.

„Polscy narciarze nie skaczą za pieniądze” – odparł Bronisław Czech stanowczo – nie kryjąc oburzenia – na propozycję występów za dolary. Jego kolegę z drużyny ukarano dyskwalifikacją za udział w biegu na najwyższy wieżowiec świata...

Rzeczywiście, Czech zdenerwował się, gdy za granicą oferowano mu za sportowe wyczyny gratyfikację pieniężną. Zdzisława Motykę zaś Polski Związek Narciarski miał ukarać czasowym zakazem startów za przyjęcie 300 dol., otrzymanych za

Z Dariuszem Jaroniem, dziennikarzem, autorem książek rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



Bronisław Czech – pierwszy polski narciarz o renomie międzynarodowej FOT. NAC

Narty trące naftaliną

wbiegnięcie w rekordowym czasie na 102. piętro Empire State Building w Nowym Jorku! Polscy narciarze w II RP byli amatorami, a co za tym idzie – nie dostawali wynagrodzenia za występy. Oczywiście, zdarzały się mniej lub bardziej atrakcyjne nagrody rzeczowe, ale nie da się tego porównać do teraźniejszości. Na stypendia, zagraniczne obozy treningowe i sponsorów liczyć nie mogli.

Do zdobycia medali olimpijskich bohaterom pańskiej książki zabrakło łutu szczęścia?

Można tak rzec. Czech najbliższy miejsca na olimpijskim podium był w Sankt Moritz w 1928 r. Na usprawiedliwienie trzeba dodać, że na skoczni wywracali się najlepsi. Podobno organizatorzy specjalnie wysoko ustawili rozbieg, by ułatwić zadanie swoim zawodnikom, ale to sprawiło, że najlepsi lądowali w niebezpiecznych warunkach. Znajdującego się w wybornej dyspozycji Marusarza tuż przed igrzyskami olimpijskimi w Garmisch-Partenkirchen w 1936 r. rozłożyły choroba i wysoka gorączka.

Mistrzem świata nie został z winy sędziów?

Bez dwóch zdań! Skoczył najdalej, głównego konkurenta i swego przyjaciela Norwega Asbjørna Ruuda wyprzedził w sumie o 5,5 m, a bezpośrednio po konkursie zwycięstwa i złota gratulowali mu rywale, dziennikarze i kibice, obserwujący zawody w Lahti A.D. 1938. Ogłoszenie wyników, wraz z uroczystym rozdaniem nagród, odbyło się kilka godzin po konkursie. Zawodnicy oczekiwali w sali, gdzie jury miało podać oficjalne rezultaty. Czas się dłuży, do Polaka doszły wtedy głosy, że przegrał, bo norweski sędzia zrobił wszystko, żeby złoto dostał jego rodak.

Tu należy się słowo wyjaśnienia – obecnie mamy pięciu jurorów, a noty trzech z nich są wliczone do wyniku zawodnika. Dwie skrajne odpadają, właśnie dlatego, żeby uniknąć sytuacji takich jak powyższa. Wtedy o triumfie Ruuda zdecydował zatem głos sędziego, a nie sportowa postawa na skoczni. Zresztą ogłoszony zwycięzcą skoczek – pochodzący ze słynnego narciarskiego rodu – uznał wyższość Polaka, chciał nawet oddać koledze puchar za pierwsze miejsce, ale Maruszarz – równie honorowy – ani myślał o takim rozwiązaniu. Norweski sędzia w istocie skrzywdził tego dnia nie jednego skoczka, lecz dwóch. Wicemistrzowi pozostała satysfakcja, głosy poparcia płynące z wielu stron świata i sportowe zachowanie przeciwnika, które pamiętał do końca życia. Może to wszystko znaczyło więcej niż złoto?

Skok życia Maruszarz oddał w okupowanym Krakowie...

Wyskakując przez okno z celi śmierci więzienia przy ulicy Montelupich. Nie po raz pierwszy sport uratował mu życie. W podobnych okolicznościach uciekł pilnującemu go pod bronią słowackim pogranicznikom. Ich dowódca planował przekazać złapanego na gorącym uczynku kuriera Niemcom. Liczył, że Adolf Hitler da mu za Polaka medal. Nic z tego, chociaż w końcu Maruszarz wpadł w ręce okupantów. Po torturach i przesłuchaniach – nikogo nie wydał – trafił z wyrokiem śmierci do krakowskiego więzienia. Tuż przed datą planowanej egzekucji strażnicy zabierali kilku więźniów na miejsce kaźni. Tam kazali im kopać doły dla siebie i swoich kompanów, a następnie odwozili na ostatnią noc, czasem dwie, do celi. Wiedząc, że pierwsze transporty na pewną śmierć już odjechały, skazaniec spróbował ucieczki. Udało mu się rozszerzyć kraty okienne, potem przecisnął się przez otwór i wyskoczył.

Następnie sforsował więzienne mury i mimo postrzelenia zbiegł. Najpierw do Zakopanego, a po opatrzeniu ran na Węgry.

Jak to się stało, że sportowcy przystąpili się w kurierów?

Zadecydowało o tym kilka spraw. Po pierwsze – służba kurierska wymagała znajomości terenu, szczególnie miejsc poza utartymi szlakami, świetnej kondycji i bardzo dobrej jazdy na nartach. Naturalne stawały się zatem kandydatury przewodników, ratowników i sportowców z Podhala. W dodatku pożądane były osoby o silnie patriotycznym podejściu, świadome tego, jaka może być cena pojmania przez okupanta. Oczywiście, nie każdy nadawał się do roli kuriera. Szansę otrzymali najlepsi, najtwardsi i najbardziej odporni, ponieważ wypadki i zeznania mogły wyspać cały ruch podziemny, odpowiedzialny za przerzut rozkazów, broni, dokumentów i ludzi pomiędzy Warszawą a Budapesztem.

Helena Maruszarzówna, młodsza siostra Stanisława, narciarska miss swej epoki, zaistniała jako modelka i aktorka?

Niezwykła kobieta. Wysportowana, piękna, przebojowa. Kiedy producenci filmowej adaptacji „Halki” Stanisława Moniuszki szukali dublerki dla głównej bohaterki granej przez Lili Zielińską, nieprzypadkowo postawili na Maruszarzównę. Jako modelka miała okazję się sprawdzić w Teatrze Polskim w Warszawie w pokazie kreacji „Jedziemy na FIS”. Pokaz prowadził wybitny konferansjer, a po wojnie także aktor, Kazimierz Rudzki, na wybiegu zaś kwiat aktorstwa i dziewczyna z Zakopanego. Skradła niejedno serce, ale nie pasowała jej rola salonowej damy. Najlepiej czuła się w górach, mknąc na nartach po śnieżnej trasie. To był jej żywioł, a cała reszta była miłym dodatkiem do talentu i urody.

Wspomina pan o próbach wykupienia zatrzymanych.

Nie wszystkie są równie wiarygodne. Jak ta o wykupieniu z za krat Maruszarzówny. Przez chwilę obietnica wolności podtrzymywała ją na duchu, z czasem zrozumiała, że z celi śmierci tarnowskiego więzienia nie ma wyjścia. Brat namawiał ją do ucieczki za wszelką cenę, jak wiemy, sam się uratował, stawiając wszystko na jedną kartę. Propozycje opuszczenia obozu koncentracyjnego miał też Bronek Czech.



DARIUSZ JAROŃ
„SKOCZKOWIE.
PRZERWANY LOT”
MARGINESY 2020

Okupanci w zamian za wolność oczekiwali, że będzie szkolił niemiecką młodzież. Nie chciał się na to zgodzić. Towarzyszom niedoli powtarzał, że woli zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca.

Dlaczego Maruszarz nękał Urząd Bezpieczeństwa?

Patriotów władza ludowa tępiła. Znamy historie konspiratorów, ludzi z kartą powstańca czy partyzancką, żołnierzy niezłomnych, którzy ginęli w katowniach bezpieki czy łagrach. Ledwo nastał pokój, funkcjonariusze UB zapukali do drzwi rodzinnego domu Maruszarza. Ukrywał się. Wyjechał do Karpacza. Na Ziemiach Odzyskanych wykazał się budową skoczni, obiektów narciarskich, udowodnił, że nie jest niebezpieczny. Wręcz przeciwnie – swoją postawą sprzyja wychowaniu młodzieży, rozwija talenty sportowe. W końcu Polska Ludowa mu odpuściła, mógł wrócić do Zakopanego, ale wcale nie w chwale znakomitego sportowca, chluby polskich nart i Podhala. Wiódł skromne życie.

Udział w piątym igrzyskach zapewnił „Dziadkowi” list otwarty?

W 1956 r. obchodził 43. urodziny. Mimo zaawansowanego wieku, który dał mu na lata przezwisko „Dziadek”, nie odstawał formą od młodszych kolegów z kadry. To dlatego z inicjatywy dziennikarza Zbigniewa K. Rogowskiego na łamach „Przekroju” ukazał się list otwarty w sprawie włączenia nestora polskich skoków do reprezentacji na igrzyska w Cortina d’Ampezzo. Podpisali się pod nim m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Konwicki czy Janusz Sidło. Udało się, jednak radość nie trwała długo. Maruszarz pojechał do Włoch, ale trener Mieczysław Kozdroń i tak postawił na swoim, ograniczając jego występ do roli... przedszkoczka. „Dziadek” odebrał to jako bolesny policzek. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Dariusz Jaroń – absolwent UJ, dziennikarz sportowy i pisarz. Laureat nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich im. Kazimierza Wierzyńskiego na najlepszy tekst sportowy roku 2017 („Wierni skale. Historia ściśle tajna”). Autor książek: „Polscy himalaiści” oraz „Skoczki. Przerwany lot”. Miłośnik górskich wycieczek oraz hard rocka.

KATARZYNA PINKOSZ: W szpitalu Przyładek Nadziei pierwsze dziecko w Polsce właśnie otrzymało spersonalizowaną immunoterapię, jak nazywane są komórki CAR-T. Na czym polega to leczenie? To lek, który nie jest typowym lekiem?

PROF. KRZYSZTOF KAŁWAK: Technologia CAR-T to jedna z najnowocześniejszych technologii w medycynie. Jest wytwarzana dla każdego pacjenta, na bazie jego własnych limfocytów T (komórek układu odpornościowego). Dzięki wektorom wirusowym do genomu limfocytów T w laboratorium wprowadzany jest gen kodujący chimeryczny receptor antygenowy anti-CD19. Umożliwia on „przeprogramowanie” komórek odpornościowych. Dzięki temu powstają limfocyty CAR-T, które uzyskują „licencję na zabijanie” komórek nowotworowych. Ponadto zmienione limfocyty T potrafią przetrwać w organizmie chorego przez wiele miesięcy, zabijając ewentualnie tworzące się kolejne komórki nowotworowe. Chronią w ten sposób przed ewentualną wznową choroby.



Pierwsze w Polsce podanie CAR-T. Dla 11-letniego pacjenta, który miał już trzy wznowy ostrej białaczki limfoblastycznej, to terapia ostatniej szansy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/PRZYŁADEK NADZIEI

Kim jest mały pacjent?

Chłopiec ma 11 lat, na ostrą białaczkę limfoblastyczną zachorował w styczniu 2013 r., czyli siedem lat temu. Od tej pory miał już trzy wznowy choroby, był leczony wszystkimi istniejącymi standardowymi terapiami, przeszedł dwie transplantacje szpiku. Za każdym razem choroba powracała. Dostawał również bardzo nowoczesne leki ratunkowe, w tym blinatumomab i inotuzumab ozogamycyny, jednak przez cały czas utrzymywała się istotna klinicznie choroba resztkowa, co powodowało, że musieliśmy powtarzać ich kolejne dawki. Jeśli nie podalibyśmy mu CAR-T, za pewien czas miałby znów progresję białaczki. CAR-T jest dla niego terapią ostatniej szansy. A jednocześnie mamy nadzieję, że ta terapia go wyleczy.

Mówi pan o terapii ostatniej szansy, a jednocześnie o szansie na wyleczenie. Jak to możliwe?

To nowa technologia, jednak z badań klinicznych wynika, że efekty leczenia są spektakularne, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że korzystały z niej osoby, dla których nie było już żadnych szans. Remisja choroby utrzymuje się u 82 proc. pacjentów po trzech miesiącach, a u 98 proc. z nich szpik kostny jest wolny od choroby resztkowej, czyli w tym momencie nie ma śladu białaczki. Około 62–65 proc. chorych przeżywa



Z prof. Krzysztofem Kałwakiem, hematologiem rozmawia Katarzyna Pinkosz

Licencja na zabijanie białaczki

dwa lata bez wznowy choroby. To bardzo dobre wyniki; bez tej terapii szacowany czas przeżycia to kilka miesięcy.

Komórki CAR-T mogą spowodować całkowite wyleczenie?

Tak. Pierwszą osobą na świecie, która otrzymała komórki CAR-T, była siedmio-

letnia Emily, dziewczynka z Filadelfii. Teraz ma 15 lat, jest zdrowa. Wierzę, że u naszego pacjenta terapia zadziała.

W jaki sposób przebiegało leczenie chłopca?

W listopadzie stwierdziliśmy, że stan Olka pozwala na rozpoczęcie leczenia: miał we krwi wystarczająco dużo limfocy-

tów T, żeby można było je pobrać z krwi. Zostały one pobrane dzięki procesowi leukaferzy, a potem zamrożone i wysłane w ciekłym azocie do laboratorium w USA, gdzie w styczniu tego roku poddano je modyfikacji genetycznej. Następnie zostały znów zamrożone i przywiezione do nas. 3 marca podaliśmy je chłopcu.

To nie jest jeszcze koniec leczenia, ponieważ po podaniu komórek zdarzają się objawy uboczne, spowodowane uwalnianiem cytokin zapalnych. Mogą się zdarzyć objawy neurotoksyczne. Przez minimum dwa tygodnie chłopiec musi być na oddziale w szpitalu. Potem może wyjść do domu, będzie już tylko pod kontrolą, czy nie pojawia się choroba resztkowa.

W Polsce było to czwarte podanie komórek CAR-T, a pierwsze u dziecka. Przylądek Nadziei we Wrocławiu jest jedynym ośrodkiem, w którym można takie leczenie zastosować u dzieci. Trudno było stać się taką placówką?

Każdy ośrodek musi przejść proces certyfikacji. Może o to ubiegać się jedynie ośrodek, który ma duże doświadczenie w pobieraniu, mrożeniu, rozmrażaniu, przeszczepianiu komórek szpiku, lekarze wiedzą, jak postępować w przypadku pojawienia się objawów niepożądanych, które mogą być poważne. Nasza klinika jest największym ośrodkiem w Polsce wykonującym przeszczepienia szpiku u dzieci, dlatego została wybrana jako ośrodek wprowadzania technologii CAR-T dla dzieci w Polsce. Proces przygotowań trwał około roku.

Ilu dzieciom w Polsce terapia CAR-T mogłaby uratować życie?

Przewidywaliśmy poddanie w ciąg trzech miesięcy leczeniu czworga dzieci. Niestety, jedno zmarło w styczniu z powodu progresji białaczki. Ta terapia nie jest w Polsce refundowana. Wystąpiliśmy o indywidualne zgody do Ministerstwa Zdrowia w ramach tzw. RDTL (ratunkowego dostępu do technologii lekowych). W przypadku drugiego dziecka, ponieważ nie było decyzji ministra o finansowaniu CAR-T, zdecydowaliśmy się na przeszczepienie szpiku. Obecnie dziecko jest po przeszczepie, jeśli minister zdrowia wyrazi zgodę na finansowanie CAR-T, to zastosujemy ją w przypadku wystąpienia wznowy po przeszczepieniu. Trzecie dziecko czeka na zgodę ministra na finansowanie CAR-T. Gdyby ona była, to moglibyśmy próbować pobierać limfocyty, ponieważ jego sytuacja zdrowotna jest bardzo trudna. Bez zgody

Większość pieniędzy na leczenie chłopca udało się zebrać dzięki zbiórkom pieniędzy. Resztę dołożył rodzic dziecka, które nie doczekało terapii CAR-T. Jednak tego typu terapie nie powinny odbywać się dzięki zbiórkom publicznym. Znalazienie pieniędzy na tę terapię jest ważne dla dzieci, ich rodzin, lekarzy, a także wizerunku Polski jako nowoczesnego państwa

na finansowanie dyrektor szpitala nie wyraził zgody na przyjęcie pacjenta, gdyż terapia kosztuje ponad milion złotych.

Czwartym chłopcem jest właśnie Olek, któremu podaliśmy CAR-T.

Czyli życie tych dzieci zależy od pieniędzy, zgody ministra zdrowia. A w jaki sposób udało się sfinansować pierwsze podanie CAR-T?

Na początku listopada wystąpiliśmy z pierwszymi wnioskami do Ministerstwa Zdrowia o finansowanie terapii CAR-T w ramach ratunkowego dostępu do technologii lekowych. Wniosek jest najpierw oceniany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. W połowie stycznia Rada Przejrzystości AOTMiT wydała pozytywną rekomendację. Z niewiadomych przyczyn dwa tygodnie później prezes AOTMiT wydał rekomendację negatywną. Minister zdrowia wydał również decyzję negatywną. Złożyliśmy od niej odwołanie (trzy wnioski), czekamy na decyzję – mając nadzieję, że jednak będzie pozytywna.

Nie doszłoby do podania CAR-T, gdyby nie to, że Fundacja „Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową”, która od wielu lat nas wspiera, dała obietnicę szpitalowi, że jeśli ministerstwo nie zapłaci i nie uda się zebrać odpowiedniej ilości pieniędzy w ramach zbiórek publicznych, to fundacja nam pomoże. Udało się zebrać większość pieniędzy dzięki zbiórkom, wykorzystując portal siepomaga.pl. Resztę dołożył rodzic dziecka, które nie doczekało terapii CAR-T. Dzięki temu udało się zebrać pieniądze.

Milion złotych zebrany dzięki zbiórkom; oczy wszystkich osób, które wpłaciły pieniądze, są zwrócone na Przylądek Nadziei we Wrocławiu, mając nadzieję, że terapia chłopca się powiedzie i nigdy nie dojdzie u niego do wznowy choroby. Jednak tego typu leczenie – którego nie można już nazwać eksperymentalnym – nie powinno odbywać się dzięki zbiórkom pieniędzy...

Jeśli minister wyrazi zgodę na sfinansowanie CAR-T, w ramach ratunkowego

dostępu do technologii lekowych – na co mamy nadzieję – to środki, które zostały zebrane dla Olka, wydamy na inne leki, na których finansowanie minister nie może wyrazić zgody, ponieważ nie mają jeszcze rejestracji w Europie. Stosujemy je, jeśli wyczerpaliśmy już wszelkie metody leczenia i pozostały nam tylko takie, które nie są zarejestrowane. Rozumiem, że ministerstwo nie może finansować terapii, które są niesprawdzone, są one pewnego rodzaju eksperymentem medycznym, które odważamy się zastosować, bo chcemy zrobić wszystko, by dziecko żyło, i są one ostatnią szansą.

Jeśli jednak chodzi o terapię komórkami CAR-T, to jest to leczenie zarejestrowane zarówno w USA przez amerykańską FDA (Food and Drug Administration), jak i w Europie przez Europejską Agencję Leków. Nie widzę powodu, dla którego nie znalazłby się pieniądze dla tej garstki dzieci w Polsce na tak nowoczesną terapię. Może być to rocznie ok. 10 dzieci. Wiem, że w polskiej ochronie zdrowia są problemy, mamy ogromne deficyty kadrowe w ochronie zdrowia, mamy obecnie problem koronawirusa, jednak znalezienie pieniędzy przez Ministerstwo Zdrowia dla 10 dzieci na terapię ostatniej szansy jest również ważne – zwłaszcza w ośrodku, który włożył wiele wysiłku w to, by stać się ośrodkiem certyfikowanym. To ważne dla tych dzieci, ich rodzin, dla nas, lekarzy i całego personelu, który walczy o ich życie, ale także dla wizerunku Polski jako nowoczesnego państwa. Mamy nadzieję, że pieniądze na ratunek tych dzieci się znajdą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**prof. dr hab. n. med.
Krzysztof Kałwak**

– specjalista transplantologii klinicznej, immunologii klinicznej, pediatrii, onkologii i hematologii dziecięcej.



Z dr. Michałem Gontkiewiczem,
ekspertem ds. informatyzacji w medycynie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Nowe technologie są po to, by pomagać

KATARZYNA PINKOSZ: Już ponad dwa miesiące lekarze mają obowiązek wystawiania e-recept. Jak pan ocenia to rozwiązanie? Lekarze i pacjenci już się do tego przyzwyczaili?

DR MICHAŁ GONTKIEWICZ: Wystawianie e-recept od dwóch miesięcy jest obowiązkowe, jednak było możliwe już od ponad roku. Pierwotnie to rozwiązanie było testowane w Siedlcach i Skierniewicach. Używam e-recepty od pierwszych dni, od kiedy można było to robić, i przyznam, że nie wyobrażam już sobie powrotu do wystawiania recepty papierowej. Niestety, czasem muszę to zrobić, kiedy np. nie mam dostępu do Internetu czy brakuje prądu. E-recepta mimo wszystko jest znacznie lepszym rozwiązaniem. Z kilku powodów, ale przede wszystkim ze względu na szybkość jej wystawienia.

Chyba nie zawsze tak jest. Ostatnio pani doktor, u której byłam na wizycie, bardzo narzekała na to, że e-receptę wypisuje znacznie dłużej, niż zajęłoby wypisanie papierowej recepty. Faktycznie, wypisanie e-recepty trwało dość długo.

Niektórym lekarzom nadal wystawienie e-recepty sprawia problem, część

z nich jest przyzwyczajona do formy papierowej. Ogromne znaczenie ma narzędzie IT, które lekarz wykorzystuje w pracy, czyli program gabinetowy. Nie zawsze jednak gabinet.gov.pl – czyli to podstawowe darmowe narzędzie, dostarczane przez Centrum Systemów Informacyjnych Ochrony Zdrowia (CSIOZ) – jest optymalne. Faktycznie, w tym przypadku przy wypisywaniu e-recepty lekarz musi sam wprowadzać wiele danych, co potrafi zająć sporo czasu.

Za pomocą gabinet.gov.pl można wystawić e-receptę, wkrótce będzie możliwe wystawienie e-skierowania. Wszystkie te dane znajdują się na Internetowym Koncie Pacjenta. Dla pacjenta jest to dobre rozwiązanie; jeśli zapomni, jakie leki otrzymał wcześniej, albo np. zagubi kod dostępu do recepty, może wejść na IKP, zobaczyć, jakie leki przyjmował, sprawdzić kod dostępu do recepty i wykupić leki. Wszystko to może zobaczyć również lekarz, pod warunkiem uzyskania zgody od pacjenta na wgląd do jego dokumentacji medycznej.

Jeśli jednak lekarz korzysta tylko z podstawowej wersji programu do obsługi gabinetowej, jakim jest obecnie gabinet.gov.pl, to wypisywanie e-recepty czy e-zwolnienia faktycznie może być czasochłonne i zajmować znaczną część wizyty. Przykład: po wystawieniu e-recepty, jeśli chce się wystawić e-zwolnienie, trzeba wejść na kolejną stronę (PUE ZUS), jeszcze raz się zalogować, na nowo wprowadzić dane pacjenta i dopiero można wystawić zwolnienie. Nie da się też opisać elektronicznie przebiegu wizyty, wgrać wyników badań, zdjęć USG czy RTG, by sięgnąć do tych danych podczas kolejnej wizyty. Lekarz musi więc nadal prowadzić dokumentację w formie papierowej.

Skoro jednak nie wyobraża pan sobie powrotu do papierowych recept i zwolnień, to znaczy, że korzysta pan z doskonalszego oprogramowania. Jednak z tym wiążą się wyższe koszty, które ponieść muszą lekarze. To chyba spore obciążenie finansowe?

Program gabinet.gov.pl jest darmowy, trzeba mieć jedynie komputer i łącze internetowe. Należy zaznaczyć,



Dla mnie ważna jest też możliwość wykorzystania narzędzi sztucznej inteligencji, np. w kwestii interakcji między lekami. Gdy wprowadzam nazwę leku, który zapisuję pacjentowi, program od razu pokazuje, czy wchodzi on w niebezpieczną interakcję z innymi lekami, które przyjmuje pacjent – zapisanymi na tej wizycie lub na poprzednich. To rzeczy, o których lekarz nie zawsze pamięta, ponieważ takich interakcji może być wiele.

Taką funkcję ma tylko ten program?

Nie, wiele programów komercyjnych również ją ma, jednak dla mnie dużą zaletą jest to, że jest on bezpłatny, a jednocześnie zapewnia wszystkie rozwiązania, których potrzebuję na co dzień: możliwość przeprowadzenia wizyty od wejścia do wyjścia pacjenta z gabinetu czy też bieżąca aktualizacja bazy leków. Nie muszę więc się zastanawiać, jaki jest poziom refundacji danego leku. Gdy mam wprowadzone dane pacjenta, wystawienie e-recepty czy e-zwolnienia trwa kilkanaście sekund.

Bardzo ważna jest także możliwość stosowania telemedycyny: mogę wystawić e-receptę po zebraniu wywiadu czy badaniu narzędziami telemedycznymi.

To znaczy, że gdy pacjent ma np. grypę, może się z panem skontaktować i wystawi mu pan e-receptę bez jego wizyty w gabinecie?

Warunkiem wystawienia e-recepty jest zbadanie pacjenta. Obecnie jednak jest to możliwe również po badaniu za pomocą narzędzi telemedycznych. To znaczy: pacjent może zadzwonić, skontaktować się za pomocą wideocztatu, Skype'a czy telekonferencji. Jeśli ma elektroniczny stetoskop, to po instruktażu, do jakich miejsc na klatce piersiowej go przyłożyć, mogę go w ten sposób „zbadać”. Możliwości badania telemedyczne są coraz większe.

Wykorzystanie telemedycyny ogranicza ryzyko transmisji wirusów. Mogę na odległość zbadać pacjenta, przeprowadzić wywiad, zaordynować leczenie, wypisać e-receptę i e-skierowanie. Oczywiście nie w każdej sytuacji jest to możliwe, warto jednak korzystać z telemedycyny.

Nie tylko leczy pan pacjentów i korzysta z programów gabinetowych, lecz także szkoli lekarzy i jako ekspert wspiera firmę IT w rozwoju programów dla nich przeznaczonych. Dlaczego pan się w to zaangażował?

Uważam, że trzeba wspierać narzędzia, które pomagają nam poprawić ja-

kość pracy personelu medycznego, a tym samym opieki nad pacjentami. Pacjenci zasługują na to, żebyśmy poświęcali im jak najwięcej czasu, a nie wypełnianiu kolejnych formularzy i dokumentów.

Dzięki rozwiązaniom IT ma pan więcej czasu dla pacjenta?

Zdecydowanie. Kluczowe jest jednak wykorzystanie dobrych programów gabinetowych, trzeba je przetestować i dopasować do siebie. Widzę, jak bardzo skraca to czas poświęcony na wypełnianie dokumentacji. Mogę użyć szablonu, w którym zmieniam tylko istotne informacje uzyskane w trakcie badania, nie muszę wprowadzać ich ręcznie.

A jak przekonałby pan lekarzy, że warto wprowadzać takie rozwiązania?

Mogę mówić z własnego doświadczenia, jak bardzo te programy okazały się pomocne w mojej pracy. Nie warto obawiać się nowych rozwiązań IT, lepiej je sprawdzać. Jeśli dany program lekarzowi nie odpowiada, to można przetestować inny. Nowoczesne technologie mają wspierać nas w codziennej pracy.

Również pacjenci nie powinni się obawiać, że e-rozwiązania oddalą ich od lekarza?

Zarówno e-recepta, e-zwolnienie, e-skierowanie, jak i programy opieki gabinetowej to rozwiązania bardzo propacjenckie. Podobnie jak telemedycyna, która potrafi „zmniejszyć dystans” oddzielający od lekarza. Przykład: mojemu pacjentowi na wakacjach kończy się lek, który przyjmuje na stałe. Musiałby szukać lekarza i prosić o wypisanie recepty. Nie wiadomo, czy lekarz, który nie zna pacjenta, chciałby ją wypisać. Jeśli w takiej sytuacji pacjent skontaktuje się ze mną, mogę wejść w jego e-dokumentację, sprawdzić, jakie przyjmował leki, wystawić e-receptę i wysłać kod SMS-em. Pacjent ma więc zapewnioną opiekę bez względu na to, gdzie się znajduje.

Jeśli chodzi o rozwiązania informatyczne, to ogranicza nas tylko nasza wyobraźnia i wyobraźnia programistów, dlatego lekarze muszą ich wspierać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Michał Gontkiewicz

– przewodniczący zespołu ds. monitorowania naruszeń w ochronie zdrowia w Okręgowej Radzie Lekarskiej w Warszawie.

że na rodzimym rynku są bardziej zaawansowane programy gabinetowe, które potrafią ułatwić pracę lekarza, umożliwiają wykorzystanie potencjału e-zdrowia – czyli to, o co naprawdę chodziło ustawodawcy. Zwykle są to rozwiązania komercyjne, często bardzo użyteczne, choć nie zawsze wysoka cena idzie w parze z jakością. Są jednak darmowe programy, za pomocą których lekarz może nie tylko wypisać e-receptę, e-zwolnienie czy e-skierowanie, lecz także opisać wizytę, przebieg badania, wgrać zdjęcia USG czy RTG. Nie ma ryzyka, że dokumentacja po latach gdzieś się zawieruszy, stanie się nieczytelna. Jak już wspominałem, na polskim rynku są komercyjne systemy do Elektronicznej Dokumentacji Medycznej, jednak jedynym tego typu kompletnym i w pełni bezpłatnym programem jest Gabinet drWidget. Inne programy oferują za darmo tylko wybrane funkcjonalności, są np. przeznaczone do wystawienia e-recepty albo w bazie może znaleźć się maksymalnie kilkudziesięciu pacjentów, a w przypadku większej ich liczby trzeba już wykupić licencję.

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI FRESH 'N REBEL CLAM ANC

Niewielka waga (260 g), niezły bas i możliwość redukcji hałasu podczas lotu samolotem lub pracy w głośnym biurze – to największe zalety słuchawek holenderskiej firmy.

Konstrukcja wokółusznych słuchawek Fresh 'n Rebel Clam wykonana jest z plastiku, a wewnętrzna strona nauszników wykończona została miękką sztuczną skórą. I chociaż na pierwszy rzut oka widać, że nie jest to produkt klasy premium, to wszystko jest przyzwoicie wyprodukowane.

Czytelnikom znudzonym klasycznymi modelami design tych słuchawek może się spodobać. Do gustu zwłaszcza młodszych gadżeciarzy przypadnie zapewne duży wybór dostępnych kolorów. Zaletą jest również to, że choć jest to model bezprzewodowy, to w razie potrzeby słuchawki mogą pracować nie tylko przez Bluetooth, lecz także za pomocą klasycznego kabla audio (który mógłby być jednak trochę dłuższy).

Wokółuszna konstrukcja sprawia, że słuchawki same w sobie dobrze izolują od szumu z otoczenia. Minusem może być duża siła nacisku, która sprawia, że po kilkudziesięciu minutach ich używania mogą wyraźnie ugniać. Komfort używania tego modelu zmniejsza również syntetyczna skóra na nausznikach, przez którą szybko możemy się zacząć pocić.

Plusem testowanego modelu jest za to technologia aktywnego tłumienia hałasu (ANC), która

pozwala zmniejszać uciążliwy szum z otoczenia. Docenią ją zwłaszcza osoby często podróżujące samolotami lub pracujące w głośnych biurach. W testowanych słuchawkach nie jest ona może na poziomie oferowanym przez słuchawki trzykrotnie droższych modeli, ale i tak wypada całkiem dobrze. Bardzo fajne jest to, że redukcję hałasu można uruchomić bez włączania samych słuchawek. Nieźle sprawdza się również mikrofon, służący do prowadzenia rozmów telefonicznych.

A jak grają? Dobrze, zwłaszcza z włączoną redukcją hałasu. Ich brzmienie szczególnie spodoba się miłośnikom basu. Jest go w tym modelu bardzo dużo. Średnie tony są już nieco przytłumione, góra brzmi zaś co najwyżej przyzwoicie. Głębia dźwięku jest na średnim poziomie. Jeśli się weźmie pod uwagę cenę tych słuchawek, to jest jednak całkiem nieźle.

Akumulator o pojemności 600 mAh pozwala używać słuchawek bez konieczności ładowania przez ok. 15–20 godzin. Cena: 529 zł. © ©



Jacek Przybylski

MASKA ANTYWIRUSOWA



Rynek nie znosi próżni. W dobie strachu przed koronawirusem pojawiło się zapotrzebowanie na specjalistyczne maseczki i maseczka jest. Producent nie informuje, czy chroni ona także przed wirusem w koronie, jednak może okazać się skutecznym środkiem zabezpieczającym przed np. wirusem grypy.

Maska oddechowa Guardian G-Volt Graphene to – jak sama nazwa wskazuje

– specjalistyczna maseczka oddechowa wykonana przy użyciu grafenu z elektryczną sterylizacją.

Urządzenie wykorzystuje filtrację laserową Graphene Indukowaną, dzięki czemu jego skuteczność wynosi ponad 99 proc., może być wykorzystywane przez długi czas, a sterylizacja następuje automatycznie po podłączeniu jej do urządzenia elektrycznego za pomocą portu USB.

Biorąc pod uwagę, że grafen jest przez wielu specjalistów uważany za naturalny antybakteryjny materiał, maseczka Guardian G-Volt stanowi istotne novum w dziedzinie filtracji powietrza. Producent przekonuje też, że jego maska jest w 99 proc. skuteczna w przypadku cząstek większych niż 0,3 mikrona i w 80 proc. skuteczniejsza, jeśli chodzi o mniejsze cząsteczki.

Maskę można zamawiać na portalu Indiegogo w cenie ok. 150 zł, dostawa w sierpniu.

KASK Z GADŻETAMI

Z takim kaskiem motocyklowym będzie się jeździć przyjemniej, ale czy na pewno bezpieczniej? EyeRide HUD to kask, który można „wzbogacić” o GPS, możliwość słuchania muzyki i połączeń telefonicznych. A wszystko to dzięki zamontowanemu w nim urządzeniu EyeRide, które łączy w sobie wyświetlacz przezierny, GPS, zestaw głośnomówiący i możliwość odbierania połączeń za pomocą komend głosowych. Oczywiście wszystko musi zostać wcześniej ustawione i zintegrowane za pomocą aplikacji w smartfonie. Zestaw kosztuje ok. 1,2 tys. zł, można go zamawiać na Kickstarterze, a dostawa w lipcu. © ©

Wojciech Wybranowski





ASTON MARTIN JAK DZIEŁO SZTUKI

V12 Speedster nie ma dachu ani nawet przedniej szyby. I chociaż zarówno kierowca, jak i pasażerka muszą (a przynajmniej powinni) na czas jazdy zakładać gogle i kaski, to eksperyment można uznać za udany. Najnowszy supersamochód z limitowanej kolekcji stworzonej przez brytyjską firmę Aston Martin wygląda bowiem po prostu obłędnie. Większość elementów nadwozia została wykonana z włókna węglowego. 21-calowe alufelgi skrywają zaś karbonowo-ceramiczne tarcze.

Auto wielkie wrażenie robi nie tylko z zewnątrz. Pod maską ukryto 5,2-litrowy silnik V12 o mocy 700 koni mechanicznych i maksy-

malnym momencie obrotowym wynoszącym 753 Nm. Superauto od zera do pierwszej setki rozpędza się więc zaledwie w 3,5 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 300 km/h. Do wykończenia wnętrza projektanci wykorzystali głównie chrom, aluminium, skórę, włókno węglowe oraz wydrukowane w 3D gumowe elementy.

Ceny tej przepięknej zabawki zaczynają się od 3,7 mln zł. Jeśli kogoś stać, to nie ma co się długo zastanawiać, bo na światowe drogi wyjechać ma jedynie 88 egzemplarzy tego modelu. Pierwsze auta zjadą z taśmy montażowej już w 2021 r. ©

KABRIOLET DLA NAPRAWDĘ BOGATYCH

Brytyjski producent luksusowych aut pokazał światu swój najnowszy superluksusowy dwuosobowy kabriolet, w którym również nie ma dachu (nawet składanego i dyskretnie ukrytego w bagażniku).

Bentley Mulliner Bacalar ma pod maską 6-litrowy silnik o mocy 659 koni mechanicznych oraz maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 900 Nm. Jego osiągi owiane są jednak mgiełką tajemnicy – oficjalnie poznać je mają jedynie przyszli nabywcy kabrioletu. Nieoficjalnie prędkość maksymalna wynosi 322 km/h. A auto od zera do pierwszej setki rozpędza się w 3,5 s.

W kabinie wzrok przyciągają fotele obszyte skórą w kolorze białego, ekskluzywne drewniane elementy wykonane ze starych brytyjskich drzew, które – według piarowców – 5 tys. lat przeleżały w angielskich bagnach, nabierając niezwykłego koloru.

Kabriolet zostanie wyprodukowany zaledwie w 12 egzemplarzach. Aby go kupić, trzeba było zapłacić 8 mln zł. Mimo to wszystkie sztuki są już wyprzedane.





JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni zwycięzca

Feliks Kazimierz Potocki herbu Pilawa, wojewoda sieradzki, krakowski, kasztelan i hetman wielki, był ostatnim zwyciężskim wodzem Rzeczypospolitej w XVII w. 9 września 1698 r. pod Podhajcami pokonał Tatarów i nikt nie przypuszczałby wówczas, że następną naszą wielką wiktoria staną się dopiero Zieleńce, za sto lat, w 1792 r.

Potocki był zwolennikiem zdecydowanych działań przeciwko Turkom i Tatarom, w tym oblężenia Kamieńca, czemu sprzeciwiał się świeżo koronowany władca Polski, August II Sas. Hetmana polnego wysłano zatem, aby ośłonił koncentrację armii koronnej i saskiej. Spodzielając się ataku Tatarów, postanowił poczekać na nich w Podhajcach i stoczyć tu bitwę obronno-zaczeptą. 8 września orda uderzyła na rozproszone oddziały polskie, na szczęście pod Zasławcami pobił Tatarów Nikodem Żaboklicki. Pod Podhajcami skierowały się główne siły kałgi Kapłana-Gireja – ok. 10 tys. wojowników. Dzień później orda uderzyła na Potockiego i jego 6 tys. żołnierzy. W trakcie bitwy Tatarzy usiłowali oskrzydlić Polaków – obchodząc stanowiska i uderzając na lewe skrzydło. Na szczęście ordyńcy rzucili się do rabowania taboru, więc hetman polny mógł wyprowadzić kontruderzenie i wyrzucić ich z obozu. Wstrząśnięty przeciwnik rozpoczął odwrót, Potocki nie ścigał jednak ordy, uważając, że ma zbyt małe siły, i pozwalając Tatarom odejść z łupami i jasyrem. Zamiast tego ufortyfikował obóz, czekając na nadejście głównych sił. Nie podjęto już w tym roku żadnych działań, a w następnym zawarty został z Turcją pokój w Karłowicach, na mocy którego Rzeczpospolita odzyskała Podole i Kamieniec, stracony w 1672 r.

Feliks Potocki, który dopiero w roku 1702, kilka miesięcy przed śmiercią, otrzymał buławę hetmana



FOT. WIKIPEDIA

wielkiego, wojował przez całe życie. Jego biografia to w zasadzie katalog kolejnych wojen i bitew, w których brał udział. Syn Stanisława „Rewery” Potockiego, hetmana wielkiego z czasów potopu, wojen z Moskwą i Kozakami, już w 1655 r. został rotmistrzem chorągwi husarskiej, którą utrzymywał przez prawie pół wieku – do śmierci. Potocki brał udział w walkach z Węgrami Rakoczego w 1657 r., potem dowodził pułkiem w wyprawie na Ukrainę w 1660 r. W bitwie pod Cudnowem i Lubarem dał dowody męstwa – uczestniczył w harcach, a w czasie walk postrzelono pod nim trzy konie. Następnie brał udział w wyprawie na Zadnieprze i Moskwę w latach 1663–1664. W rokoszu Jerzego Lubomirskiego wspierał buntowników, gdyż wspomniany Lubomirski był jego teściem i chociaż nie przebywał osobiście w obozie rokoszan, posłał mu chorągiew husarską, która w bitwie pod Mątawami w 1666 r., jak podaje Adam Przyboś, pierwsza uderzyła na wojska królewskie. W latach późniejszych Potocki, będący już podstolim wielkim koronnym, związał się z obozem antyfrancuskim, pozostając jednocześnie przyjacielem hetmana Jana Sobieskiego.

W 1669 r. został wojewodą sieradzkim i marszałkiem sejmu, a już dwa lata później uczestni-

czył w wyprawie Sobieskiego na Ukrainę. Przetrwał szczęśliwie zarówno walki z Tatarami, Kozakami, jak i na sejmie awanturę; prawie napad niejakiej Kunickiej, która usiłowała usunąć go z sali sejmowej. Herod-baba oznajmiła bowiem, że uzyskała na Potockim wyrok banicji; po czym z wielkim trudem została usunięta z sali. Awantura miała jednak ten skutek, że wojewoda wypłacił jej odszkodowanie i wydał zbiegłego chłopca.

Potocki należał do stronników króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, stając się członkiem i aktywnym uczestnikiem konfederacji zawiązanej pod Gołębim; wymierzonej przeciwko Sobieskiemu i prymasowi Prażmowskiemu. Uczciwie domagał się później osądzenia swojego krewnego Mikołaja Potockiego za poddanie Kamieńca w 1672 r. Rok później na sejmie doszło też do pojednania Potockiego z Sobieskim. Bohater walczył pod Chocimiem z Turkami, dowodząc pułkiem jazdy i zasłużył się, odrzucając Turków Hussejna, którzy usiłowali przebić się z oblężonego obozu.

Podniesiony do godności wojewody krakowskiego wziął udział w sławnej wyprawie wiedeńskiej, dowodząc pułkiem jazdy i w bitwie pod Wiedniem 12 września 1683 r. W kolejnych latach brał udział w pochodach mołdawskich Sobieskiego, wreszcie w 1692 r. został hetmanem koronnym. Potocki był bez wątpienia jednym z ostatnich wielkich dowódców, oficerów i towarzyszy Sobieskiego, podobnie jak Jabłonowski czy Sieniawski, którzy niestety w XVIII w. nie doczekali się godnych następców. Brał jeszcze udział w przygotowaniach do odparcia najazdu szwedzkiego w 1702 r., nie dożył jednak klęski armii polskiej pod Kliszowem, która zamknęła okres chwały armii Rzeczypospolitej. ©

IVAN KOMARENKO NA NAUCE U TAJWAŃSKICH MNICHÓW

Jestem zwolennikiem własnoręcznego przygotowywania potraw. Zauważyłem, że od kiedy zamieniłem jadać na mięsiec na to, co sam gotuję, czuję się zdecydowanie lepiej i nie tak „ciężko” jak kiedyś. Do zdrowego gotowania zostałem zainspirowany przez tajwańskich mnichów z buddyjskiego klasztoru pod Nowym Jorkiem, dokąd jeżdżę regularnie, by odpocząć i pomedytować, co dobrze na mnie wpływa zwłaszcza po okresie letnim, gdy w każdy weekend gram po kilka koncertów i zużywam mnóstwo energii. Oprócz różnych sztuczek na rozluźnienie i relaks przywożę stamtąd kuchenne inspiracje i przepisy. Jednym z moich ulubionych dań, które tam podpatrzyłem, jest wegańska potrawa oparta na ciecierzycy i dyni. Jest to danie pyszne i zdrowe.

Składniki:

- 1/2 kg ciecierzycy
- 1/2 średniej dyni
- puszka mleka kokosowego
- pomidor
- tacka grzybów shiitake
- tacka kielków mung lub soi
- kawałek imbiru (wielkości kciuka)
- dwa ząbki czosnku
- płatki chili
- pół łyżki oleju kokosowego

- kostka rosółowa
- świeże liście kolendry

Przygotowanie:

Ciecierzycę namaczamy w wodzie na minimum 7 godzin, a następnie gotujemy przez godzinę. Połówkę dyni wkładamy do piekarnika rozgrzanego do temperatury ok. 180 st. C na 50–60 min. Na oleju kokosowym smażymy (przez minutę-dwie) czosnek, imbir i płatki chili. Dorzucamy pokrojony pomidor i kielki, zalewamy mlekiem kokosowym i gotujemy na małym ogniu pod przykryciem przez 15 min. Dodajemy do ciecierzycy. Osobno gotujemy świeże (takie będą lepsze) lub suszone grzyby shiitake. Nie przesadzajmy z czasem – maksymalnie 10 min. Przetworzone robią się twarde. Kroimy je na drobniejsze

kawałki. Dynię z piekarnika blendujemy, zalewając ją kubkiem bulionu z kostki rosółowej, wlewamy do ciecierzycy z sosem, dorzucamy też grzyby i mieszamy. Konsystencja dania powinna przypominać gulasz – nie jest to zupa, ale łyżki też w tym daniu nie powinno dać się postawić. Do ozdoby możemy dodać pokrojone świeże liście kolendry. ©©

oprac. raw
Iwan
Komarenko jest
piosenkarzem
i aktorem.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wielbłądzi płaszcz

W trudnych latach 50. mój ojciec dostał paczkę od znajomego osiadłego w Anglii. Paczka zawierała kupon wielbłądziej wełny na płaszcz. W tamtych czasach to był dar bezcenny. W sklepach nędza, za oknem zima ze śniegiem i z mrozem. Rodzice odbyli nad kuponem naradę i doszli do wniosku, że na razie może on poczekać, gdyż obecny płaszcz ojca jest jeszcze całkiem dobry. Po czym materiał owinięto w papier, w którym przyszedł, zawiązano sznurkiem

i schowano na pawlaczu. O całej sprawie zapomniano, bo przyszła wiosna, lato, były inne potrzeby, a stary płaszcz wciąż był zupełnie dobry.

Ta historia przypominała mi się, gdyż na obecnych pokazach mody obejrzałam sporo takich płaszczów. Kolejna wolta mody, która powraca do dawnych lat. Wszak płaszcz z wielbłądziej wełny to klasyk ubrania, jedno z najlepszych wspólnych dokonań człowieka i natury. W złotych latach Hollywood na pokładach luksusowych statków pasażerskich okrywały się nimi Lauren Bacall, Katherine Hepburn, Jacqueline Kennedy. Potem „kamele” stały się uniformem pracujących kobiet i mężczyzn na stanowiskach, ludzi, którzy ponad modę stawiają wygodę i ciepło. Wielbłądzi płaszcz w zimie nie ma sobie równych dla zdrowia i urody.

Wielbłądy strzyże się raz do roku lub zbiera kłaczki wełny, które zostawiają, liniejąc. Najlepszą wełnę, o średnicy 18 mikronów (włos ma 200), uzyskuje się ze zwierząt rocznych. Medycyna ludowa od dawna przypisywała jej lecznicze właściwości. Zawarta w niej lanolina najlepiej wchłania się przez ciało właśnie w temperaturze ok. 37 st. C. Dzięki lanolinie wielbłądzia wełna

nie powoduje alergii, nie elektryzuje się, jest odporna na brud i higroskopijna. Nomadzi w Kazachstanie i Azji Środkowej zalecali

okładanie się nią przy bólach korzonków, artretyzmie i reumatyzmie. Przy postępie technologii tekstylnej okazało się także, że dobry efekt daje łączenie przędzy wielbłądziej z kaszmirem i alpaka, przędzą z lamy. W ten sposób otrzymuje się owo niepowtarzalne, lekko lśniące poszycie tych cudownych płaszczów.

Ale wróćmy do historii płaszcza mojego taty. Po paru latach, kiedy przyszła kolejna sroga zima, przypomniano sobie o angielskiej paczce. Mama wdrapała się na pawlaczu i wyciągnęła pakunek. Wydał jej się podejrzenie lekki... Kiedy go rozpakowano, ze środka wysypały się skrawki wełnianej materii, a w powietrzu wzbila się zaskoczona eskadra moli...

I, niestety, stare palto taty musiało pozostać na służbie. ©©



FOT. ADRIAN STOLK

HONOROWY PATRONAT



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



WIZJONERZY ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2020–2023”

GAŁA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020”

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY MERYTORYCZNI



Polskie
Towarzystwo
Diabetologiczne



ORGANIZATOR



Polska Koalicja
Pacjentów Onkologicznych



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Ten felieton jest odwołany

Rodacy! W dniach próby, w poczuciu odpowiedzialności i lenistwa! Ponieważ czytają mnie tu państwo, zbierając się tłumnie w celu analizy zdań i wyłapania piętrów sensów, a niektórzy z państwa nawet leciutko śliniętymi paluszkami przewracają kartki, kierowany dygotem przed rozprzestrzenianiem koronawirusa zmuszony jestem odwołać dzisiejszy felieton. Odwołuję! Tak że mają państwo wolne. Proszę się rozejść. Tego felietonu nie ma!

Na dramatyczną dla państwa decyzję, że nie ma dziś znakomitego felietonu, który zawsze przecież był, który intrygował, bawiąc, uczył i dawał oddech uśmiechu w tym codziennym znoju, wpływ miał także fakt, iż niektórzy z was (nie będę wskazywać palcem, bo też ślinię) pożyczają mimo groźby epidemii jeden egzemplarz do przeczytania kilku osobom, co musi budzić wirusem grozę. Nalegam na kupowanie jednego egzemplarza dla każdego jednego człowieka. Dla państwa to kwestia bezpieczeństwa dużo atrakcyjniejszego niż maseczka, a przy okazji redakcję ucieszy tabelka sprzedażowa.

Czyż nie o radość bliźniego w życiu chodzi? Czyż redaktorzy nie są bliźniemi? Tak więc odwołuję. Felietonu nie ma i nie będzie. Trochę jak Rostowskiego „piniendzy”, ale może będzie w przyszłym tygodniu, zobaczmy, sytuacja jest rozpełzająca się. Tym bardziej odwołuję, że cała ta sprawa stała się sprawą polityczną. Brudną grą mimo

mycia. Byliśmy świadkami publicznego pojedynku Miętusa i Syfona na mycie rąk, który z nich lepiej umyje, który dozownikiem, kciukiem i łokciem rywala powali (Co, pomyliłem bohaterów? Może to już gorączka...).

Odwołuję, bo niektórzy próbują zbijać na tym kapitał polityczny, ciesząc się po cichu, że źle idzie albo źle pójść może, a po głośnemu ubierając to w szaty słów fałszywie szeleszczących troską. Odwołuję, bo niektórzy posuwają się za daleko, żarty sobie nawet strojąc, że skoro wirus omija szerokim łukiem dzieci, to część klasy politycznej wykazującej od lat daleko idące zdziennienie może się czuć bezpiecznie. Nawet padają konkretne nazwiska rzekomo niezagrożonych polityków, dużo nazwisk, bardzo dużo nazwisk. Odwołuję, wiedząc, że słynne słowa Krzysztofa Kononowicza, właściciela wzorzystego, zdaje mi się tureckiego, swetra, który w tym akurat roku z nieznanym powodów nie kandyduje na urząd prezydenta (pan Krzysztof, przecież nie sweater), groźnie wiszą w powietrzu. Chodzi oczywiście o jego syntetyczny program, którego nie udało się wcielić w życie: „Żeby nie było bandyctwa, żeby nie było złodziejstwa, żeby nie było niczego”. Groźnie to dziś słowa, groźnie.

Dlatego dziś nie ma felietonu. Odwołuję, gdyż dziś będąc zawsze razem, tworząc wielką wspólnotę, musimy być jednak trochę osobno, ale jeszcze chwycimy się za dłonie. Za umyte (co najmniej 30 sekund). Odwołuję. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Kościół otwarty

Zamknięte szkoły, uczelnie, kina, muzea, biblioteki, przełożone koncerty i imprezy masowe, mecze bez publiczności. I tylko ci uparci katolicy nie chcą odwołać mszy świętych, sugerując, żeby odprawiać ich... więcej. Wszystko po to, aby wierni mogli się modlić w świątyniach w mniej licznych gronie, ograniczając możliwość zarażenia koronawirusem.

Wystarczył prosty komunikat episkopatu powyższej treści, połączony z dobrowolnością chodzenia do kościoła, aby wylała się fala troski środowisk, które na co dzień tych progów nie przekraczają. „Kościół Katolicki zaczyna zachowywać się jak państwo w państwie. Zamiast odpowiedzialności, troski, dobra wspólnego ważniejsze są własne dogmaty. Panie Premierze Morawiecki, proszę pokazać skuteczność w ochronie zdrowia i życia Polek i Polaków...” – zaapelowała Sylwia Spurek, sugerując interwencję rządu. „Ludzie nie są idiotami. Jeśli wszystkie instytucje publiczne, a z czasem także de facto firmy (te, które zatrudniają rodziców) będą zamknięte albo przejdą na zdalną pracę, to wówczas biskupi, którzy nawołują do większej liczby mszy, sami się ośmieszają. A kościoły pozostaną puste” – wieszczył Leszek Jażdżewski.

Ile było śmiechów, gdy jeden czy drugi publicysta stwierdził, że logika wiary „nie jest z tego świata”, a brak dostępu do sakramentów – szczegó-

nie w okresie Wielkiego Postu – stanowi materialny brak możliwości uczestniczenia we wspólnocie eucharystycznej. A zatem w samej istocie istnienia Kościoła na Ziemi.

Internet zaroził się od żarcików o tym, jak to pielgrzymka miała („ale ciemnogród, he he”) ocalić Europę od czarnej śmierci. Jak cudowne ikony Matki Boskiej („O ludzie, oni w to wierzą?”) powstrzymały zarazy przed wejściem do miast. I owszem, nic nie uchroni katolików przed brakiem rozsądku, a wiara nie zastąpi żelu antybakteryjnego oraz dostosowania się do zaleceń służb sanitarnych. Te dwie rzeczy nie muszą się jednak wykluczać. To, czego nie widzi spora część zsekularyzowanych, piszących z perspektywy zupełnie innego paradygmatu komentatorów, polega na uzupełnianiu się porządków wiary oraz świata.

Dopóki da się zachować niezbędne środki ostrożności, zmienić np. reguły przekazywania znaku pokoju albo otrzymywania Komunii, dopóty kościoły muszą pozostać otwarte. Bo w nich – właśnie w takich sytuacjach – można i trzeba szukać wiary, która wykracza poza to, co doczesne. W innym wypadku Kościół, który zamyka swoje bramy w sytuacjach kryzysowych, nie byłby niczym więcej niż instytucją charytatywną z ceremoniałem liturgicznym.

A do zbawienia potrzeba czegoś więcej. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Świni się, wazelinuje, dworakuje...



JOANNA SIEDECKA

Minęła właśnie 40. rocznica śmierci Jarosława Iwaszkiewicza, zmarłego w marcu 1980 r., tuż przed solidarnościową rewolucją, udało mu się więc uciec przed sądem historii literatury. Pozytywnym oczywiście dla jego twórczości – był wybitnym poetą, który niczym wino im był starszy, tym lepszy, autorem znakomitych filmowanych opowiadań: „Brzeziny”, „Panien z Wilka”, „Tataraku”, „Kochanków z Marony”, o wiele słabszych powieści: „Czerwonych tarcz”, „Sławy i chwały”, nazywanej „Słabą i chałą”, a także kilku socrealistycznych pawi: ody pt. „List do prezydenta Bieruta”, w którym czapkował małemu sowieckiemu agentowi, czy „Opowiadania o Felku Okoniu”. Ale to wszystko.

Pisania na zamówienie od niego nie wymagano, dostał zadania inne. Krytycznie natomiast musi wypaść ocena jego życiowej postawy i to właśnie dlatego, że twórca tak wybitny zgodził się uwiarygadniać i legitymizować system swoją z nim współpracą, stał się symbolem konformizmu i zniewolenia PRL-owskiej literatury, którą reprezentował jako dożgonny prezes Związku Literatów. Romansował z każdą komunistyczną władzą, do końca i bez żadnych wahań. Z Bierutem, Gomułką, Gierkiem. I nigdy nie zaprotestował w sytuacjach dla literatury dramatycznych, uciekał wtedy do ukochanych

Włoch. Chociaż był pośłem właśnie z Poznania, milczał, gdy w czerwcu 1956 r. strzelano do strajkujących robotników i dzieci. W 1964 r. zabrakło podpisu prezesa pod „Listem 34”, pierwszym nieśmiałym, ale ważnym proteście pisarzy przeciw zaostrzającej się cenzurze i brakowi papieru. Milczał w Marcu '68, w odróżnieniu od Słonimskiego, Jasienicy, Kisiele, protestujących przeciw zdjęciu ze sceny „Dziadów”, pałowaniu studentów. Nie pomógł żadnemu z sądzonych i więzionych pisarzy: Wańkowiczowi, Janowi Nepomucenowi Millerowi, Iredyńskiemu. W 1975 r. nie dołączył do pisarzy protestujących przeciw zmianom w konstytucji. W 1976 r. nie szczędził brutalnych słów rodzącej się opozycji, KOR-owi (Komitetowi Obrony Robotników). „Po pierwszym – mało, po wtórym – gawno” – pisał w dzienniku.

„Dlaczego to potężne drzewo gnie się tak przed komunistami?” – pytał Gustaw Herling-Grudziński, który szukał do tego klucza. A był nim niesłabnący z wiekiem apetyt Iwaszkiewicza parweniusza, syna skromnego buchaltera, spragnionego pieniędzy, komfortu, podróży, salonów i zaszczytów. Zapewniło mu to małżeństwo z bogatą dziedziczką Lilpopów („Wszystkie jeścia są od teścia”, przyznawał). A w PRL służba komunistom, którzy nagradzali go za nią ponad miarę. Nie odebrali mu więc Stawiska – majątku i dworu jego żony, obsypali lukratywnymi funkcjami: posła na Sejm, prezesa Związku Literatów, członka Międzynarodowego „Ruchu Obrońców Pokoju” – fasady maskującej sowieckie zbrojenia, dzięki której jeździł po świecie, bankietował. Otrzymał też najwyższe wtedy odznaczenie Budowniczego Polskiego Ludowej, sowiecką Nagrodę Leninowską, przypieczetowaną słynnym pocałunkiem z Breżniewem. Dostał też „Twórczość”. „Własne pismo, o pederastycznym

wdzięku – wyzłościwiał się Kisiel – gdzie pisywało o niczym wielu młodych, zdolnych chłopców”, a także święte usługach krytyków, którzy go okadzali, mianowali pisarzem nietykalnym, wyłączonym spod krytyki. Przemykano też oczy na jawnie manifestowany homoseksualizm – otaczający go zawsze, także w Związku Literatów, męski dwór – sekretarzy, szoferów, kolejnych przyjaciół. Mimo wiedzy o jego orientacji pozwolono mu adoptować młodego chłopca. Wiesia, który zamieszkał na Stawisku, a wkrótce dołączył tam również jego brat.

Nie krył wcale swojej roli tastera młodego, literackiego narybku. W grudniu 1931 r. zanotował w swoim dzienniku, jak „chędożył Czesia Miłosza”, i to w Mickiewiczowskiej celi Konrada u bazylianów. W 1955 r., w Poznaniu – pierwsze spotkanie sam na sam z Włodzimierzem Odojewskim, który go oczarował „romantyzmem w każdym geście, wyglądem niczym książę Myszkini. Pocałowałem go w usta i w rękę, chciałem paść przed nim jak przed Mitą Karamazowym. Trzeba by go pchnąć na szeroką arenę”. Czy to on pomógł mu więc w błyskawicznej karierze i „pchnął” początkującego jeszcze wtedy pisarza do Warszawy, na kierownicze stanowisko w prestiżowej redakcji Teatru Polskiego Radia?

Jednak za swoją uprzywilejowaną pozycję zapłacił Iwaszkiewicz brakiem szacunku swoich najwybitniejszych kolegów po piórze. Maria Dąbrowska nazywała go pisarzem posłusznego wzrostu, Gustaw Herling-Grudziński Petainem polskiej literatury, Giedroyc człowiekiem z gumy, Słonimski – „tym panem, z którym on się nie zna”. I tylko Kisiel napisał: „Świni się, wazelinuje, dworakuje, ale twardo pisze o miłości, smutku, śmierci, przemijaniu. O świnio-watości ludzie zapomną, a książki zostaną”. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



fol. Jerzy Gumowski



Skatologia (1)

Ubiegłoroczna jesienna afera z tzw. „gównami Trzaskowskiego” (gigantyczny wyciek do Wisły stołecznych lewobrzeżnych fekaliów), a także publiczne warknięcie prezesa PZPN-u, Zbigniewa Bońka: „Złota Piłka to jedno wielkie gówno!” (gdy w rankingu Złotej Piłki skrzywdzono Roberta Lewandowskiego, plasując go dopiero na 8 miejscu) — przypomniły rodakom siłę skatologii. Termin „skatologia”, wywiedziony ze skatolu (greckie „skatos” — kał), substancji chemicznej rozciągającej zapach ekskrementów — jest określeniem tyjącym w szeregach (fizycznego, lecz i metaforycznego, retorycznego) używania odchodów. Co bardziej konserwatywni Czytelnicy „Tygodnika Łisickiego” mogą być zbulwersowani faktem, iż Łysiak podejmuje felietonowo temat aż tak cuchnący, jednak niech sobie przypomną, iż nie żyłymi się gdy wiele razy podejmowałem tematy równie paskudne (od polityki, do bezprawia). Modny dziś francuski pisarz Michel Houellebecq twierdzi zresztą, że „nawet o łajnie da się opowiedzieć w sposób interesujący, trzeba tylko mieć odrobinę talentu”. Poniższy tekst spodbija się zwłaszcza natury filozofującym: „Wszystko to gówno. Za wyjątkiem moczu”.

Uniknąć skatologii się nie da, funkcjonuje ona bez przerwy w życiu codziennym, tak domowym (fizjologia), jak też pozadomowym, ulicznym (brak kultury u właścicieli psów obsrywających chodniki), wreszcie w potocznym języku, gdzie zdomowały się liczne palnięcia typu „— Gówno prawda!”, „— Gówno cię to obchodzi!”, „— Gówniany interes!” itp. Miotają tym „elity” i „doły”, zaś kolokwializmy owe stanowią sól wielu anegdot, spośród których wybieram do prezentacji „międzywojenną”, pyszną bez dwóch zdań. Wzięty ówczesny adwokat Gustaw Beylin próbował poderwać znaną aktorkę/tancerkę/piosenkarkę kabaretową, Lenę Żelichowską, zalewając ją perlistym potokiem komplementów, lecz zniecierpliwiona diva skwitowała te wysiłki kwaśno, przezywając mu:

— Wszystko co pan gada, to jedno wielkie gówno, mój panie!

Beylin jednak miał z rozpraw sądowych rutynę zjadliwego odszczekiwanie się, więc grzecznie wysylabizował:

— W pani ustach to słowo nabiera zapachu...

Przebieg tego starcia znamy dzięki relacji aktora kabaretowego Ludwika Ławińskiego, natomiast dzięki relacjom biologów i przyrodników wiemy, że łajno odgrywa ważną rolę w „gospodarce naturalnej” oraz w badaniach świata fauny i flory. Sławny brytyjski biolog i dokumentalista filmujący

przyrodę, David Attenborough, powiedział dziennikarzom „Spiegła” rok temu (2019): „— Najlepszym sposobem zwabienia pięknego motyla jest nasze własne gówno”. Dyktator Korei Północnej, Kim Dzong Un, sądzi to samo o ludzkich stolcach dla użyźniania gleby. 29 stycznia 2019 roku Radio Free Asia poinformowało cały glob, że północnokoreański satrapa właśnie ogłosił, iż ludzki kał jest bezkonkurencyjnym „nawozem naturalnym”, dzięki któremu warzywa stają się delikatniejsze, a plony rosną rekordowo. Swoje przemówienie Kim zakończył rozkazem, by każdy obywatel KRL-D dostarczał dziennie do państwowych magazynów 100 kilogramów własnego lub cudzego stolca. To nie pomyłka, proszę Państwa: 100 kilo dziennie! (tymczasem człowiek wydal 50 kilogramów rocznie). Kto tego „obo-



wiązku patriotycznego” nie wypełni, musi zapłacić sowitą grzywnę, a kto i tu się nie wywiąże, idzie do „reedukacyjnego” łagru. Komunizm już tak ma.

Użyźniające walory ekskrementów znane były ludziom zawsze. O działaniu połu-dniowoamerykańskiego ptasiego „guana” (z peruwiańskiego słowa „huano” — gnój) wypisywano poematy. Dzisiaj uczeni wypisują rozpaczliwe raporty na temat katastrofalnego zmniejszenia się tonażu kup zwierzęcych użyźniających glob, czemu winne jest głównie wyginięcie olbrzymich ssaków (mamutów, mastodontów, waleni, etc.). Profesor Joe Roman (Vermont University), czołowy ekspert problemu, alarmuje, iż „nawożenie gleby produktami przemiany materii wynosi obecnie zaledwie 8% tego, jakie było u schyłku ostatniego zlodowacenia”, przy czym szczególnie dotkliwy jest spadek naturalnej (fekalnej) dystrybucji fosforu („Rozprzestrzenianie się tego pierwiastka spadało o 77% od czasu popularyzacji łowów na

wielkie ssaki morskie”). Kupy zwierząt hodowlanych (a tym bardziej ludzkie, chociaż populacja wciąż rośnie) nie są w stanie wyrównać tych braków. Stąd „ekologia defekacyjna” stanowi dziś modną (progresywną) gałąź walki o przetrwanie gatunku „homo sapiens”.

Defekacji dokonujemy teraz raczej rzadko w krzakach, zwykle w klozetach. Odkąd są znane? Od Antyku. Starożytne rzymskie ruiny Półwyspu Apenińskiego i Maghrebu ukazują nam nieźle zachowane resztki latryn z marmurowymi sedesami (niektóre splukiwano już wodą). Będący eksponatem Muzeum Watykańskiego porfirowy „tron” ze sporym otworem w siedzeniu interpretowano — odkąd gruchnęła bujda o papieżu-cy Joannie (XIII wiek) — jako fotel, którym sprawdzana była męskość nominatów do papieskiej funkcji. Zostało to nawet zobrazowane pikantną sceną głośnego serialu „Rodzina Borgiów” (2011), tymczasem jest to mit, bo ów „tron” pochodzi z późnego Antyku, a jego siedzisko stanowiło sedes do wypróżnień.

Toalety dla wypróżnień — dysponujące fotelami z otworem w siedzisku (legenda mówi, że na takim fotelu zginęła caryca Katarzyna II Wielka, rażona od spodu aparaturą, którą wieńczył bagnet) lub sedesami kamiennymi bądź drewnianymi — znały nowożytne dwory królewskie i książęce, przy czym (ciekawostka!) Francuzi uczyli się tu od Polaków! Ten „wynałazek” przywiózł z Krakowa do Paryża król uciekinier, Henryk Walezy (XVI w.) — wcześniej francuscy wielmożę i szlachcice obsrywali wnętrza swych pałaców (korytarze, komnaty, klatki schodowe), później zresztą też, i to jeszcze długo (królewski Wersal cuchnął na kilka kilometrów, choć służba co jakiś czas zdrapywała ekskrementy ze ścian oraz zbierała z podłóg i wynosiła do ogrodów). W podróży, gdy „przycisnęła potrzeba”, opuszczano karęć i dawano sobie ulgę wewnątrz lasu lub zarośli, lecz żeby elegancym damom gołe pupy nie przemarały zimą, wymyślono dla wnętrza karoc ruchome klozeczki podróżne (rodzaj dużego kufka ze zdejmowanym sedesem, mobilnym pojemnikiem i klapą górną) — mam w mych zbiorach takowy (vide zdjęcie), będący niegdyś własnością księżnej Izabeli Czartoryskiej, pani na Puławach. Dzisiaj Rosjanie są dumni ze swego najnowszego superczołgu T-14 Armata, wewnątrz którego konstruktorzy upchnęli „kibel” dla pancerniaków. I to stały, nie zaś przenośny, jak te plastikowe dla budowlańców, czy ten, który Kim Dzong Un wziął ze sobą do strefy demarkacyjnej na historyczne spotkanie między nim a Donaldem Trumpem. Lecz to już sfera polityki, a o skatologii politycznej będę trwał w przyszłym tygodniu. ©©

Waldemar Łysiak



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



VEDYCJA NAGRODY

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:

